

NAD SPREĄ.

OBRAZKI WSPÓŁCZESNE

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.



POZNAŃ.

NAPŁADEM TYGODNIKA WIELKOPOLSKIEGO.

1874.

Krasz. 263



Weiber sind Katzen mit glatten
Bälgen und scharfen Tatzen.

Przysłowie.

P óżnym wieczorem, jesienią r. 1858 wesołe gronko akademickiej berlińskiej młodzieży, bursze czystej wody, połowa z nich w charakterystycznych czapczkach, które cudem zdawały się trzymać na głowach, z wstęgami na piersiach, w długich butach, cygara w ustach, włosy na ramiona w tył zarzucone... dla dystrynkeyi połowa ich w okularach, podśpiewując *Gaudeamus*, ową odwieczną pieśń młodzieńczą, która nigdy nie starzeje — pobrawszy się pod ręce wracali czy szli — dokąd? sami nie wiedzieli może. Ale byli w złotych, w brylantowych, w humorach, które skrzydła przypinają do bark, dają odwagę i godzą ze światem. Wracali z komersu, na którym piwo było doskonałe, i wypili go obfitość wielką.

Butna to była młodzież, a między nią najtęższym Jan Fryderyk Riebe, przez towarzyszków zwany pieszczono Hänschen.

Hänschen chociaż uczęszczał na wydział filozoficzny i przykładał się do nauk matematycznych, myślami po obłokach latał. Słuszny i barczysty, piękny, z włosami blond, z oczyma niebieskimi, z minką pogardliwą i zarozumiałą, jak na potomka Arminiusza przystało, — miał wielką miłość u młodzieży może dla tego, że nią nielitościwie pomiatał. Szyderski, szorstki, nie przebaczący, umysłu żywego, pojętny

czuł swą wyższość nad towarzyszami i mocno im ją czuć dawał. Był on wyrzeczną w swojej nacyi a należał, jeśli się nie mylę, do Turynghii. Kolory jęj nigdy z jego piersi nie schodziły, miał je na czapce, u kija, który nosił, i przy fajce, jeśli fajkę palił. Ale ta już naówczas wychodziła z użycia, wisiała tylko na gwoździu nad łóżkiem obok rapira i innych godeł burzowstwa.

Dochodzili podśpiewując do mostu i Sprei. Kilku pożegnało się i rozepało dążąc do domów.

Hänschen z dwoma towarzyszami szedł z podniesioną głową patrząc na wsze strony. Miał wielką ochotę zrobić jakie głupstwo, zaczepić filistra i wywołać kł tnia, zarumienić jaką spokojną przechodzącą dziewczynę, wytłuc gdzie okno lub nastraszyć jakiego staruszka powracającego do domu. Taki trefny Spass byłby mu bardzo do smaku, ale próżno szukał oczyma celu i niecierpliwy poprawiał czapkę złotem suto wyszywaną. Spotykali tylko wojskowych lub ludzi, którzy, zoczywszy z daleka burzów w dobrym humorze, unikali zetknięcia z nimi.

A tu piwo i młodość depominały się koniecznie jakiegś wybryku.

Na brzegu brudnej Sprei stało przyczepione lekko czółno bezpieczeństwa.

Poruszająca się woda nadawała mu melancholичny ruch jakiś, kołysało się dziwnie jak kolebka dziecięcia, które usnęło a matka jeszcze zwoła trąca je nogą, aby się robaczek nie ocknął.

Hänschen stanął i począł się czółnu przypatrywać.

— Słuchaj, odezwał się do idącego z nim małego, ospowatego, niepoczesnego adjutanta — umiesz ty pływać?

— Jaktó? — zapytał drugi podnosząc oczy — pływać?? a no — zdaje mi się, że dotąd nie, ale matka natura, która uczy ryby tak, że od pierwszego dnia po urodzeniu już doskonale w wodzie wirują, musiała mi tę umiejętność w podarunku ofiarować a jam jęj nie użytkował tylko.

Trzeci rozeminał się słysząc to.

Był otyły do zbytku, przysadzisty, mały, okulary

miał na oczach wypukłych, policzki jakby wydęte, rumiane. Na szerokiej piersi wstęga burszowska wspinała mu się rozwijała jak orderowa oznaka.

— Co ja — rzekł przez zęby szepleniąc — to z z wodę żadnych nie mam stósunków i brzydzę się nią, nie piję nigdy — i marynarzem nie mam ochoty być wcale.

Ramionami wstrząsnął — Brr!!

— Mnie bo się zachciewa tę łódkę odczepić i użyć z wami przejażdżki wodnej. — Zrobilibyśmy podróż odryć, — dokąd też ta paskudna Sprea płynąć może??

— Słyszałem — odezwał się ospowaty, że wypływa z pewnej praczkarni, w której się pierze cała brudna bielizna pruska i brandenburska, a ścieka tajemnymi drogami do studzien stołecznych, z których ją za źródła sprzedają.

— Dowcip ci się nie udał — rzekł Hänschen. Cóż ty mówisz, Frycu?

I odwrócił się do tłustego.

Tłusty śmiał się po cichu.

— Sprea wypływa z piasku a wpada do błota — mruknął Fryc. . . . Pływają po niej tylko wyrzucone ze śmieciiska gałgany — a i tym się trafia często osiąść na mieliznie.

— Przecież czółno stoi, ktoś pływać musi, — czemu byśmy po ojczystej rzeki falach przejechać się nie nieli.

I zawrócił się ku rzece.

Towarzysze wzięli to zrazu za żart, ale Hänschen szedł szybkim ku czółnu krokiem.

— A ty umiesz pływać? — zapytał ospowaty.

— Gdybym pływać, robić wiosłem albo kierować czółnem umiał — odparł żywo bohater — nie byłoby w tém nic osobliwego, żebym was na czółno zapraszał. Sztuka jest w tém, że żaden z nas pływać nie umie, żaden wiosłem nie robił w życiu, a jednak opanujemy statek, zdobędziemy go i w tryumfie puścimy się na odkrycie ziem nieznanych, nucąc chórem pieśń studencką.

To mówiąc zbiegł już w dół, sznurek na kołku

zadzierzgnięty odczepił i w środek lichego czołenka skoczył tak silnie, iż zadrżało pod nim, i potrzebował całej zręczności swęj i siły, aby się na nogach utrzymać. Dwaj towarzysze stali na brzegu niepewni, co poczną, spoglądając na siebie. Nie chcieli mniej pokazać odwagi i fantazyi a zimnej kąpeli nie życzyli sobie oba.

— Kto mój przyjaciel, za mną!

Fryc, widząc tam leżący drag, który posłużył nam za wiceło — daj mi go tu!

Z wielką trudnością tłusty Fryc podjął leżący obłożony drag i unosząc go do góry podsunął Riebeemu — sam jednak do czołna się nie spieszył. Ospowaty wejrzeniem rozkazującym wezwany ostrożnie burt przestąpił i stanął, trzeci już nie mógł mniej odwagi pokazać od dwóch swych towarzyszków. Choć ociągając się nieco i ostrożniej od nich wszedł do czołna.

Zaledwie się w niem pomieścić mogli. Hänschen kijem się o brzeg oparłszy odpychał już wątlą barkę, która się na weze strony wahała... Fryc na nogach się nie mogąc utrzymać przysiadł... Hänschen stał... Czołen wydobywał się na mętne wody Sprei, której pęd zaczynał go unosić... lecz niedosyć starannie rozłożony ładunek na jedną stronę tak przeważał, iż woda zaczynała zaglądać. Fryc rzucił się w przeciwną zbyt gwałtownie tak, że ztąd znowu zajrzała woda... Łódka się ustatkować nie mogła, a butny Hänschen wcale jej pokierować nie umiał. Tymczasem coraz dalej odbijali od brzegu...

— Stój! stój! krzyknął Fryc — dosyć tego żartu i brawady! Kat ją wiel rzeka, choć ma minę, że pomijami płynie, może mieć zdradliwe głębiny... Donnerwetter! utonąć w Sprei to i śmiesznie i niesmacznie... Zalane mieć gardło wszystkimi brudami miejskimi... Stój — niech cię kaci porwą...

Wołał jeszcze oburącz trzymając się łódki, w której głab padł był także ospowaty, gdy Hänschen niezważający na nic, w chwili, gdy miał już pieśń burzowską zanucić, stracił równowagę i na wznak padając głową w wodę się zanurzył... Rozprysnęły się szeroko fale, dwaj studenci pozostali o mało także nie

wypadli i winni byli chwyceniu się łódki, iż przy niej zostali. Hänschen zniknął.

Spree nad wszelkie spodziewanie była w tém miejscu głęboką...

Krzyk przerażenia wyrwał się z piersi towarzyszków...

Na chwilę roztwarta paszcza wody zamknęła się za szalonym chłopakiem... W chwilę potem ręka jedna i głowa pokazała się nad powierzchnią wody... widać było wysiłek próżny tonącego... zniknął powtórnie... przechyloną łódkę prąd wody zwolna od miejsca, w którym się to stało, unosił.

Przechodzący, którzy patrzali z brzegu, poczęli krzyczeć i nawoływać — kupka ludzi ciekawych ale do ratunku nie ochoczych zbiegła się u mostu i na wybrzeżu. Wszyscy rękami wskazywali miejsce, jedni zachęcali drugich, ale nie szedł nikt. Zdawali się oczekiwać, czy śmiałek nie wypłynie...

Jeszcze raz zdawało się, iż ręka jego na jedno oka mgnienie wydobyła się z wody... Hałas nad brzegiem się wzmagął.

W téj chwili młody chłopak, który zdala zapewne musiał widzieć wszystko, biegiem szybkim zdążył do miejsca, od którego czółno odpłynęło.

Był to słusznego wzrostu, pięknej budowy młodzieniec, skromnie a raczej ubogo ubrany... Po długich włosach i po paczce książek, którą rzucił na ziemię, poznać było łatwo studenta... Stanąwszy nad brzegiem i uwolniwszy się naprzód od papierów, które miał z sobą, zrzucił surdut i kamizelkę, oddając je pierwszemu lepszemu z ciekawych, a sam, jak stał, skoczył w wodę i popłynął.

Patrząc, jak dzielnie i silnie rękami robił, jak żywo posuwał się ku środkowi rzeki, pomimo że mu odtąd zawadzać musiała — przytomni przyklaskiwali.

Ten jednak, komu młodzieniec surdut i książki oddał w opiekę, znać słabszych będąc nerwów od innych i nie mogąc patrzeć na tak straszne widowisko, zapomniawszy pewnie, iż cudzą własność z sobą unosi, wysunął się zżęcznie i zniknął gdzieś w oddaleniu.

Z mostu i z brzegów przypatrywano się ciekawe-

mu ratunkowi tonącego. Śmiały chłopak poszedł na dno, nie było go dosyć długo, ukazał się potem ale walcząc z ogromnym Hänschem, który resztą sił pochwycił go pod wodą za nogę i, zamiast siebie uratować, zbawcy swemu groził utopieniem. Choć mniejszy może silny lecz zręczniejszy od niego, dobywając ostatka sił... nieznajomy wypłynął na powierzchnię, potrafił nogę od konwulsyjnego uwolnić uścisku i razem z uratowanym zbliżał się ku brzegowi.

Ogromny okrzyk dał się słyszeć zewsząd, z mostu, z okien domów... z wybrzeża, na którym tłumy się już były zebrały... Witano z uczuciem ludzkim zanego zbawcę, który własne życie poświęcił dla uratowania nieznajomego. Znalazło się nareszcie dwóch rybaków, którzy podali linę i kij, aby się zmęczony pływak mógł ich chwycić.

W chwilę potem na wilgotnej ziemi leżał Hänschen prawie bezprzytomny, siny, a przy nim otrząsając się z wady niespokojnemi oczyma szukał swych książek i sukni młody chłopak, aby się co prędzej oddalić i uniknąć podziękowań i niemiłych pochwał, któremi go obsypywano.

Policyant już nawet, za późno przyszedłszy, rozpędzał tłum, aby mógł zdać szczegółowy raport zwierzchności. Znalazł się i lekarz, który przykląkwszy zajął się cuceniem omdlałego bursza... Zbawca tymczasem napróżno do koła się oglądał dopominając się swych sukni... Chłodny dosyć wieczór powrót do domu w obmokłej koszuli bez wierzchniej odzieży czynił bardzo przykrym.

Studentowi też znać nie tyle już może szło o surduty co o książki, które razem z nim znikły.

Oburzali się przytomni, kłął policyant — lecz nie było na to rady...

Nerwowo ów jegomość nie powracał, odzież i książki przepadły. Chłopak znać sobie pomyślał, że na świecie najczęściej się tak opłaca poświęcenie dla ludzkości — uśmiechnął się smutnie i już tak, jak stał, chciał się co najprędzej wyrwać z cizby i pójść gdzieś ogrzać przynajmniej po niepotrzebnej zimnej kąpieli.

Tymczasem łódkę z dwoma towarzyszami Häns-

chen'a przyprowadzono do brzegu, wylękli bursze stali sinutni nad ciałem towarzysza, który wprawdzie znaki życia dawał ale nie był jeszcze przytomnym...

Fryc zbliżył się do zmnokłego zbawcy...

— Cześć wam i chwała — kolego, rzekł. Postąpiliście sobie po bohatersku a wiercie mi, nie ocaliliście niewdzięcznika... Riebe najpocziwszy chłopak w świecie, chociaż szalona pałka. Nic mu przecie nie będzie... a ojciec wam za jedynaka podziękuje...

Widujemy was na lekcyach, pozwólcie spytać o nazwisko?

— Ale to najprostsza w świecie rzecz, com zrobił — odparł słabym nieco głosem zmnokły... pierwszy lepszy umiejac plywać uczynilby toż samo...

I nie chcąc nawet powiedzieć nazwiska odchodził.

— Proszę was, imię wasze!!

Pochwycił go za rękę Fryc...

— Bardzo was proszę...

— Nazywam się Wolski... rzekł chłopak... spotkamy się gdzieindziej. To najgorzej, że mi moje książki skradziono.

— I surdut! zawłał Fryc...

— A! już mniejsza o surdut stary — ale książki! książki...

I westchnawszy wysuwał się już, gdy zatrzymano go zięblego znowu.

Dziwnym trafem niedaleko stamtąd koło kościoła św. Jadwigi mieszkającemu radzcy komercyjnemu p. Gottliebowi Riebe dano znać o wypadku syna i o uratowaniu go szczęśliwém. Radzca, żona jego i córka już byli zdyszani przybiegli łamiąc ręce... Lekarz ich uspokoił, że kochanemu Hänschen nic nie będzie, pokazano radzcy komercyjnemu biednego zbawcę trzęsącego się od zimna. Czując się do obowiązku wdzięczności pobiegł zaraz uściskać jego rękę. Był to sporego wzrostu Niemiec, ryżo-siwy, biały bardzo, otyły dosyć i mocno piegowaty. W dziurce od guzika miał nieopuszczający go nawet w domu order korony klasy trzeciej i jakiegoś orła klasy czwartej.

Te oznaki wdzięczności mogły co najmniej febry nabawić zatrzymując na zimnie mokrego bohatera.

Skłoniwszy się więc wyrwał się nareszcie z ciżby a spostrzegłszy naprzeciw knejpę, której cała służba w progu stała... co prędzej do niej się wsunął.

Gospodarz może w innym razie gościowi takiemu nie koniecznieby był rad, bo z niego woda jeszcze ciekła, ale obrachował, że ciekawi za nim podążą i zrobi się mały geszefcik, bo się muszą czegoś napić. Powitał go więc otwartemi rękami i zajęto się zaraz posiłkowaniem młodzieńcowi do odmiany sukien i osuszenia.

Pan Kajetan Wolski, którego widzieliśmy tak ochoczo rzucającego się w wodę dla ocalenia życia nieznajomemu... rozmyślał teraz w małej izdebce na tyle restauracyi, co miał począć z sobą.

Był to piękny chłopak może dwudziestoletni, ciemnych oczów, orzechowych włosów polepionych teraz na skroni, zwykle wyglądający blade a od zimna zsiśniały. Melancholiczny wyraz jego twarzy stał się posępny i chmurniejszym niż zwykle. Żał mu było książek i notat zatraconych, a prawdę powiedziawszy, surduta i odzieży, bo ich do zbytku nie miał.

Ubogi, żyjący z małego zasiłku, jaki z domu odbierał, z lekcyi i przepisywania rozmyślał właśnie, co pocznie. Spoglądał na siebie i zdawał się obrachowywać, czy suknie przyległe do ciała, buty i to, co na sobie miał, przydadzą się na co jeszcze. Myślał też, jak się dostać do domu, bo mieszkał dosyć daleko... a posyłać nie mógł i nie chciał.

Położenie dość było przykre. Chodził po izdebce machinalnie patrząc na mokre ślady, jakie po sobie zostawiał, rachując i to, że gospodarzowi trzeba też będzie indemnizować wodę, którą przyniósł z sobą, i grzane wino, którym go poczęstował — wypite w pierwszej chwili bezmyślnie dla pozbycia się uczucia przykrego wewnętrznego chłodu.

W kieszeni miał wprawdzie sakiewkę, ale w niej nie było więcej nad kilka srebrnych groszy. Sądził, że najlepiej uczyni nie przyznając się i do tych a dając tylko adres swój i nazwisko z zaręczeniem zapłaty.

Rozmyślał tak jeszcze, gdy się drzwi otworzyły i w nich pokazała się figurka niepoczesnego, trochę garbatego, dosyć wyelegantowanego na złość temu garbowi młokosa, który ręce otworzył z razu, krzyknął, chciał się rzucić w objęcia Wolskiego, ale się powstrzymał.

— Jesteś mokry jak ryba, — zawołał, uścisknął cię inną razą. Ale mi ślicznie wyglądasz. Przechodząc dowiedziałem się od jakiegoś bursza o nazwisku bohatera, które mimo przekręcenia poznałem a raczej domyśliłem się, że nie kto inny jak ty mógłś takie głupstwo zrobić, żeby w zimną plusnąć wodę — gdzie? do Sprei! po co? aby Niemca ratować! A toć ich chwala Bogu tylu jest... nie zbywa na nich! Gotów jesteś dostać febry.

— Febra toby była najmniejsza rzecz — odezwał się Wolski, — ale wystaw sobie — rzuciłem książki i odzienie na brzegu i ktoś skorzystał z zamieszania, aby mi je ukraść.

Garbus zaczął się śmiać serdecznie.

— A to przedziwnie! otóż to tobie masz, naucz się, co kosztuje chcieć grać rolę bohatera i zbawcy.

Słyszałem od ludzi — stała ich tam kupa, nie pospieszył nikt na ratunek tonącemu rodakowi, trzeba było, żebyś ty plusnął w wodę.

— A Pan Bóg ciebie tu przyniósł — przerwał Kajetan — abyś ty mnie ratował. W istocie jestem w najprzykrzejszym w świecie położeniu, nie mam się czém okryć a bodaj, że w knajpie nie będę miał czém zapłacić.

Wyelegantowany garbusek, który wyglądał jak z igły i zdawał się zamożnym, chwycił się jedną ręką za głowę a drugą za kieszeń.

— A! niechże cię... ja bodaj nie mam więcej nad pięć srebrników.

— Ty?

— Ja! cóż chcesz... student też jestem a studenckiego nihil a me alienum puto! Co może być bardziej studenckiego nad goliznę?

Jednakże czekaj — dodał, — nie mam pieniędzy, to prawda, lecz umyśl mam obfity w resursa...

Wiem, jak czułą opieką otacza cię poczciwa gospodyni twoja, wdowa Richterowa... lecę do niej, nastraszę ją, żeś się o mało nie utopił, pożyczę... przyniosę ci odzież, daj mi tylko klucz.

Kajetan głową potrząsał smutnie.

— Klucz gdzieś także na mulastém dnie Sprei, spoczywa — rzekł zmokłe opatrując kieszenie... a u Richterowej za nic w świecie pożyczać nie chcę..... kobieta biedna — jam i tak jój winien... i nie wiem, kiedy będę mógł oddać.

— Zlitujże się, tu nie czas ceremonie robić... — krzyknął garbus. — Nie masz klucza... mniejsza o to — wytrych się znajdzie, reszta moja sprawa. Czekaj tu na mnie.

Nie czekając na odpowiedź, garbus się zawrócił, w progu tylko powtórzył jeszcze — Nie rusz się ztąd i czekaj na mnie.

Wolski znowu smutną wędrówkę rozpoczął po małej izdebce. Gospodarz trochę niespokojny pokazał się wkrótce na progu. Zaczynał się domyślać, że zmokły gość mógł być niewypłacalnym i już grzanego wina żałował.

Kajetan, który z rysów jego oblicza odgadł, co go trapiło — odezwał się żywo:

— Poślałem mego przyjaciela po suknie i po pieniądze... boni i suknie i sakiewkę zostawił gdzieś w rzece... Nie zabawi to długo — bądź pan spokojny.

Gospodarz sklonił się w milczeniu.

— Prawdę powiedziawszy — bąknął po namyśle — panby się bardzo słusznie i sprawiedliwie mógł o swą szkodę dopomnieć u radzcy komercyjnego von Riebe. To człowiek bardzo majątny. Tak! tak! bardzo... bardzo. Ocaliłeś mu pan syna — i to jeszcze jedynaka... Pani radczyni niemłoda i chorowita, wątpię, żeby się kiedy drugiego doczekała... Jedynak syn, dla którego on sobie von wyrobił. A co go to panie kosztowało!

Ruszył ramionami.

— Pan musi znać radzcę komercyjnego von Riebe? spytał spoglądając z ukosa.

— Nie — rzekł Wolski.

— Ale pan w przyjaźni z jego synem?

— Poznałem się z nim bliżej na dnie Sprei.

Gospodarz się rozśmiał.

— Więc pan nie zna ani jego matki — ani pięknej siostry jego?

— Ani brzydkiej, ani pięknej, nie wiem nawet, czy ma jaką?

— A rzucił się pan do wody za nim?

— Tak samo jakbym się rzucił ratować pana, którego znać też nie mam przyjemności — rzekł Wolski....

Po chwili namysłu gospodarz podniósł oczy i rzekł cicho:

— Pan Polak??

W zapytaniu tém tak było głębokie znaczenie, takie pokryte szyderstwo, takiego coś okrutnego, że Wolski nie odpowiedział zrazu. Nie chciał podnosić znaczenia tego zapytania.

Gospodarz tymczasem popatrzywszy nań krzeselko poprawił i wyszedł.

Wolski stał zamyślony... Nie wiedział jeszcze, czy się ma gniewać czy cieszyć pytaniem, gdy gospodarz powrócił ze szklaneczką glühweynu na tacce...

— Niechno pan pije — to pana rozgrzeje...

Kajetan chciał podziękować i rzekł śmiejąc się...

— Pieniędzy nie mam przy sobie...

— To nic, to nic — dodał stawiając wino gospodarz... ale pan Polak... I wyszedł z ukłonem...

Pierwsze pytanie naprawiło się zupełnie drugą odpowiedzią.

Wolski, czując przykre dreszcze, nie drożył się już i wino wypił.

W pokoiku zaczynało się robić ciemno... przeniesiono świecę... wszystko to w duchu rachował biedny Wolski, bo musiał za to płacić. Śmiesznie było przez oszczędność chcieć zostać po ciemku. Chłopak likwidował teraz w myśli kosztą swojego dobrego uczynku... Książki, odzież... to, co musiał zapłacić w restauracyi... Zdrowia i wysiłku nie rachował wcale...

Z niecierpliwością oczekiwał na garbusa... Nareszcie zaturkotała doróżka, zaczęto głośno rozmawiać w pierwszej izbie, wtoczył się kolega a za nim posługacz niosący odzież...

— Zabawiłem długo — rzekł Wojtuś (tak garbusa zwano) — trzeba było ślusarza poszukać, aby zamek otworzyć. Pocziwa Richterowa o mało nie omdlała... Dalipan, gdyby nie to, że lat więcej czterdziestu, powiedziałbym, że się w tobie kocha! Ledwie ją mógł uspokoić...

Wiesz, że nieboraczka polskiego języka choć Polka zapomniała prawie zupełnie... powraca jęj tylko ta mowa połamana, gdy bardzo jest wzruszona lub mocno się na kogo pogniewa. Tym razem po niemiecku i po polsku — Herr Jesu! i — Chryste Panie! wołała desperując nad tobą.

Summa summarum pocziwa kobieta... Przyrzekła gorącej kawy zgotować, abyś ją zastał z powrotem.

Wojtuś mówił, a Wolski się już przebierał co prędzej, zrzucając mokrą bieliznę...

— A pieniądze? — zapytał nagle...

Garbus nic nie mówiąc sięgnął do kieszeni, dobył z niej cztery talary bite i położył je na stole.

— Od Richterowej? — zawołał Wolski.

— A od kogożbym je wziął! Cztery talary, sumę neapolitańską!!

— Ale po cóż było brać tyle?

— Przyznam ci się, że jednego z tych czterech... musisz mnie pożyczyć... — dodał Wojtuś — to darmo, ręka rękę myje... jestem goły... Skorzystam z twego heroizmu... ty na to jesteś stworzony, aby z ciebie wszyscy korzystali...

Ale ci oddam.

Wolski nic nie odpowiedział, a Wojtuś jednego z talarów mknął do kieszeni. Zaledwie przebieranie się skończyło, wszedł gospodarz. Rozpłacenie się poszło gładko — Wolski targować się nie śmiał. Policzono mu przyszłe szorowanie podłogi.

U drzwi stała doróżka, siadającego w nią Wojtuś pożegnał, miał talara i korzystał z niego, aby pójść do

Spargnapaniego pokazać się rodakom a opowiedzieć im całą przygodę. Kajetan czując się zmęczony mocno rzucił się w powóz, na którego dnie zmokłą swą odzież umieścił, i kazał się wieźć do domu. Jeszcze się z różkarzem rozpłacał, gdy po wschodach kroki słyszeć się dały niespokojne. Ze świecą w ręku biegła przodem nie młoda kobieta, w czepku, którego wstażki były rozpuszczone, w szlafroku ciemnym i pantoflach na nogach. Z twarzy jej łagodnej i dobrej znać było, że niegdyś musiała być piękną. Znękanie i wiek, praca i ubóstwo nie odjęły jej pewnego wdzięku, który daje serce prawdziwie niewieście, dobroć i spokój ducha. Za nią w filcowych ciężkich trzewikach, zdyszana szła otyła służąca z zakasanemi rękawami i niebieskim fartuchem. Była to gospodyni pani Richterowa, wdowa po urzędniku od akcyzy miejskiej, u której Wolski mieszkał, ze sługą.

Gospodyni z wielkiego wzruszenia rzuciła się niemal ścisnąć zmieszanego Kajetana, który jej, jak mógł i umiał, dziękował.

Służąca mimo poczwarnęj fizyognomii i postawy nosząca poetyczne Laury imię zabrała węzłki mokre i już szli na górę... a całą drogę Richterowa gderала po polsku i po niemiecku.

— Czy to się tego godziło... Herr Jesel! panie Kajetan! Matka pana jednego ma... Mein lieber Gott... Schauderhaft! mógł pan się upić! (utopić.) Ale pan tak zawsze, o drugich pamięta — o sobie in keinem Falle! Herr Jesel! Herr Jesel!

Pomimo że nie pora była jeszcze palić w piecach a szczególnie ubogim studentom... Richterowa w izdebce Kajetana kazała napalić. Kawa była gotowa... radziła mu zaraz iść do łóżka. Pocziwa kobieta krzątała się sama, posyłała sługę i nie uspokoiła się, dopóki podziękowawszy jej za to macierzyńskie serce, Wolski się nie zasunął ze środka i nie położył w istocie, aby odpocząć.

Mimo młodości, siły, zdrowia — kąpiel, walka z topielcem, cała ta przygoda oddziaływała silnie na niego. Czuł mocny ból głowy i powoli rozpościerając się gorączkę... Obrazy dziwne snuły się po mózgu...

dom, matka... garbus... topielce... komercyjny radca... gospodarz z restauracji... książki zgubione, surdut skradziony... wszystko to razem kłębiło się, wiło, przewracało jak w kaleidoskopie. Dziwne głosy... burzy, muzyki, krzyku i śpiewu brzmiały mu w uszach... turkot powozów po bruku, uroczysty chór organów, wisk zwierząt razem mu w uszach szumiały...

Usypiał, lecz nie był to sen uspokajający a raczej senność chorobliwa, która gra na wstrząśnionym mózgu poruszając wszystkimi jego fibrami. Po kilkakroć usiłował się pozbyć przykrego tego wrażenia, jakie gorączka wywierała na nim, lecz jak brzemień ołowiane uciskała go i obejmowała. Zdawało mu się, że wieki tak się przemęczył.

Gdy nakoniec otworzył powieki znużone... stukano silnie do drzwi... biały dzień wpadał przez jedyne okno izdebki. Za drzwiami słychać było niespokojne głosy Richterowej i Wojtusia.

Chciał się zaraz okryć i zerwać Kajetan, ale uczuł tak słabym, że zaledwie mógł się poruszać. — Usta miał spalone, głowa ciężka, w uszach szumiało.

Słabym głosem też odezwał się po chwili, że drzwi wkrótce otworzy... Narzuciwszy na siebie płaszcz, powłókł się do nich, odryglował z wysiłkiem i padł na krzesło... Wchodzący Wojtuś, zobaczywszy go skurczonego na krześle, krzyknął przestraszony.

— Ty jesteś chory... doktora ci potrzeba.

Richterowa zaglądała przez szparę, Wolski mówić jeszcze nie mógł, lecz wzmianka o doktorze przeraziła go.

— Na miłość Bogal — zawołał — dajcie mi tylko wypocząć... młodość to najlepszy doktor... żadnego lekarza nie chcę... nie chcę... proszę...

Richterowa zniknęła, Wojtuś pozostał.

— Idź do łóżka, masz gorączkę, — odezwał się, — ja posiedzę przy tobie. Kąpiel wczorajsza nie posłużyła ci widocznie, byłeś ją tylko drogo nie przypłacił. Słiczna rzecz chroby się nabawić, ażeby niezdarne takiego bursza za uszy z błota wyciągnąć.

Wojtuś usiadł przy łóżku.

— W uniwersytecie dziś o niczym nie mówią tylko o tobie. Turynia gotuje uroczysty komers na cześć twoją. W srebro okuty róg czyszczą, aby go spełnić za zdrowie bohatera. Ale kiedy kto ma szczęście jak ty, to mu się jeszcze uda, życie narażając wyciągnąć z wody takie stworzenie z pozwoleniem jak tobie. Widziałem go, chodzi zdrowiuteńki bestya, ogromny bałwan. Znają go wszyscy... sławny brutal i pojedyńkowiec... despotycznie władający Turyniami. Syn bogatego radcy komercyjnego von Riebe... Ojciec na rozmaitych handlach dorobił się szlachectwa, dekoracji, tytułu i majątku. Całe szczęście, że ma mieć bardzo piękną siostrę, która, jak wieść niesie, taksowana jest na giełdzie na minimum stotysięcy talarów.

Żebyś się jednak nie łudził jej wdzięcznością, muszę cię ostrzedz, iż się o nią stara junkier, oficer z gwardyi baron von Liebenthal. Widzisz, żem na twoją intencją dowiedział się o najmniejszych szczegółach.

Teraz potrzeba ażebyś wyzdrowiał jak najrychlej, gdyż komers i pijatyka cię nie miną. Gdybyś odmówił, Hänschen cię wyzwie i pokierkuje za to, żeś mu życie wyratował.

Nie ręczę, żeby i radzca komercyjny nie chciał ci okazać swęj wdzięczności salatą kartoflaną ze śledziem i prawdziwem piwem bawarskiem.

Paplał tak Wojtuś, a Kajetan leżał z zamrużonemi oczyma na łóżku, gdy pukanie dało się słyszeć.

Garbus widząc znużenie i zamknięte oczy przyjaciela, wybiegł co prędzej, ażeby go od niepotrzebnych jakichś uwolnić odwiedzin.

W progu zastał ogromnego Hänschen, w nowęj czapeczce na głowie, w butach paradnych, ze świeżą wstęgą na piersiach, z laseczką w ręku, a przy nim dwóch wczorajszych towarzyszków w podobnych strojach... Hänschen już się nieco namarszczył, że go zaraz nie wpuszczono.

— Przebaczcie, panowie, odezwał się garbus.

— Czy tu mieszka Herr von Wolski?

— Tak jest, ale mój przyjaciel von Wolski nie-

szka w téj chwili w łóżku i ma silną gorączkę, prze-
bachzycie więc. . .

— A! a! a! ozwało się trzy głosy — chory!

— Zaziębił się wczoraj. . .

— Chciałem mu podziękować. . . mruknął Riebe,
ocalił mi życie. . .

— A! nie ma za co — z uśmiechem niewinnym
niby a w istocie szyderskim dodał Wojtuś — mała
rzecz! . . .

— A ja dziś ani czuję nic — odezwał się piękny
młodzian z góry spoglądając na garbusa. Więc po-
wrócimy później . . . gdy odpocznie. Niech pan od
nas. . .

Skłonili się sobie. — Wojtuś podjął się wyrazić
wdzięczność i pozbył się nareszcie studentów.

Wolski był ciągle drzemiącym. . .

O godzinie dwunastéj dało się słyszeć powtórne
pukanie do drzwi i nie czekając pozwolenia, nie na-
wykły, aby go odprawiano o! progu, wtoczył się sa-
piący komercyjny radzca von Riebe. Wojtuś chciał już
zbyć się go u drzwi, lecz nie dał się wstrzymać i
zbliżył do łóżka. Rozpalona gorączką twarz Wolakie-
go sprawiła na nim widoczne wrażenie . . . stał niemy
patrząc na niego . . . ustami tylko poruszając z nieu-
kontentowaniem. . . Oglądał się po ubogiej izdebce . . .
zmięszał nieco i dawszy znak garbusowi odciągnął go
do kąta.

— Pan jesteś przyjacielem tego pana? — szepnął
zakłopotany.

— Tak jest — odparł Wojtuś — do usług.

— Chory widzisz. . .

— Tak — chory. . .

— Niezmiernie mi przykro. . .

— Mnie jeszcze bardziej, bo go znam i kocham.

— A jam mu życie syna winien. . . mruknął
radzca komercyjny. To mówiąc schylił się do Wojtu-
sia i wziął go za guzik od sukni. — Widzi pan,
wdzięczność wdzięcznością a rachunek rachunkiem. . .
Pański przyjaciel nie jest zamożny . . . to łatwo po-
znać. Mam rachunek z nim do załatwienia.

— Jaki? ofuknął Wojtuś.

— A no... suknie... podobno mu skradziono... i jeśliby chorował, doktor i apteka... Oczywiście to, co było pomoczone... to wyschnie i tego nie ma co liczyć. Stracone nie jest. — Garbus wlepił w niego oczy zdziwione, osłupiałe.

— Pan jesteś komercyjny radzca Riebe? spytał Wojtuś zimno.

— Von Riebe, poprawił radzca.

— Przepraszam... mówił garbaty — panu jako radzcy handlowemu wolno rachować w ten sposób, ale my ludzie nie komercyjni i nie radzcy przysług, które czynimy ludzkości, nie zwykliśmy sobie likwidować... Mówmy ciszej; gdyby mój przyjaciel usłyszał rozmowę, mogłoby mu to powiększyć gorączkę. Pan zupełnie nic nie jesteś winien memu przyjacielowi — dodał złośliwie, bo nawet wdzięczność trzeba odłożyć do czasu, gdy się pan przekona, że z syna mieć będziesz pociechę.

Na te szybko wypowiedziane słowa radzca nie umiał czy nie chciał nic odrzec. Stał potrzęsając głową... patrzył na garbusa, to na łóżko, potarł brodę, chrząknął. Spojrzał na dziurkę od surduta, czy w niej znaki orderowe widoczne były... uklonił się z lekka i zadumany wyszedł. Nie był pewnym, czy nie obraził téj pysznej a ubogiej szlachty polskiej, której próżność znaną mu była z odgłosu... nie wiedział, ani jak to naprawić, ani jak się pogodzić z tą myślą, że ubogi chłopak z jego przyczyny stracił kilka talarów. Już był za progiem, gdy nagle mu myśl przyszła szczęśliwa, wywołał garbusa.

— Gdy przyjaciel pański wyzdrowieje, rzekł po cichu z miną uradowaną, ich muss mich revanchiren — nie odmówi mi, napiwezy się wody z przyczyny mojego syna — napić się wina u mnie i pozwolić, bym jego szlachetną dłoń uściskał.

Wojtuś się uśmiechnął, minę nastroił wielce poważną, uroczystą i w milczeniu oddał ukłon radzcy komercyjnemu, który swobodnie oddychając — po wyrzeczeniu — ich muss mich revanchiren... posunął się już na wachody spokojny na duchu i na sumieniu.

W izdebce Wolskiego zapuszczono franki. Richterowa gotowała rosół z kury i stała zafrasowana w kuchni. Garbus wziął szlafrok swego przyjaciela, który miśternie skrócił, bo był dla niego za długi, zapalił cygaro i został przy chorym na straży. Kajetan ciągle był drzemiący i senny... niekiedy prosił słabym głosem o wodę. Gospodyni koniecznie chciała sprowadzić lekarza, lecz Wojtuś ją zapewnił jako medyk, że jeszcze nie widzi niebezpieczeństwa, a gdyby je spostrzegł, w takim razie uprosi jednego z profesorów... Wolski zarówno z nim na medycynę chodził.

Wątpię, by który z czytelników moich, nawet z tych, co wino szampańskie lubią i smakują w niem, zapragnął bliżej poznać sposób, w jaki się ono wvra-bie. Jest to proces bardzo ciekawy. Wino zaprawiają enkre i, nie wiem, jakimi tam dodatkowemi ingrediencyami i zakorkowują je w butelkach. Po upływie pewnego przeciągu czasu, gdy fermentacja się w niem wywiąże, któraby niechybnie flaszkom boki porozsadzała, dobywają korki, dają gazom zbytęcznym ulecieć i dopiero potem zamykają znowu do — wiadomego użycia.

W ten sposób praktyczny obrachowane jest wychowanie młodzieży nienieckiej. Gdy zbytęk gazów w głowie i w organizmie się wyrobi, puszcza ją młodzież swobodną na uniwersytety... aby odkorkowana pozbyła się wszelkiego zbytęku niebezpiecznej siły. Młodzieniec hula, pije, puszcza wodze bucie i fantazyi przez lat trzy lub cztery, i gdy zużyty, wycieńczony, pokłóty, odarty ze wszech złudzeń powróci potem do domu, już go bezpiecznie do wszystkiego użyć można — stanąć się z niego człowiek praktyczny, wystygły i doskonały — do wiadomego użycia...

Jest to cała tajemnica, za pomocą której w Szampanii robią dobre wino a w Niemczech doskonałych Regie-rungerathów. — Ten, którego dziś zowią księciem żelaznym, niegdyś ubogi szlachetka na Schö-nhausen w drugim Jerychowskim okręgu na Pomorzu, miał być burszem zapamiętałym i znać mimo odkor-

kowania nie pozbył się wszystkiego gazu zbytelnego, bo w polityce jego jeszcze dziś czuć niemieckiego bur-sza. Może dla tego tyle w nićj fantazyi i siły.

Lecz — nawiasowo tylko wspomnieliśmy o tém, aby wytłumaczyć czytelnikom, iż Hänschen, mimo burzowskich obyczajów nie był tak nieznosném stworzeniem, jak się na pierwszy rzut oka wydawał. Je-szcze z niego złe i dobre gazy nie były się zupełnie ulotniły. Hänschen był niezmiernie liberalny, wierzył w prawa ludzkości, cenił swobodę, z pogardą wyrażał się o zbytelnym militaryzmie, wyznawał wolność su-mienia i burzowskie prądy unosiły go ku opozycji, chociaż solie jasno nie zdawał sprawy ze wszystkich do nićj pobudek.

W Niemczech jeszcze gdzieś niegdzieś naówczas przechowany z r. 1831 błakał się wysoki szacunek dla „heroicznych synów Polski.“ Nazwisko Polaka oznaczało obrońcę zasad liberalnych, żołnierza swobody, syna wolnego a ujarzmionego ludu. Szlachetném było wyznawać cześć dla męczeńskiego narodu. Hänschen téż znalazłszy te tradycye w uniwersytecie wziął je do serca. Bardzo mu było przyjemnie życie być dłużnym polskiemu baronowi — tak bowiem Niemcy zowią każdego Polaka, który jest szlachcicem. Wprawdzie wyobrażał sobie to baronestwo nie na trzeciém piętrze i nie w tak ubogiej stancyjce od tyłu, — ale przykre położenie potomka znakomitej arystokratycznej rodziny dodawało jćj jeszcze blasku.

Schodząc ze wschodów spotkał Riebe panią Richterową i, domyśliwszy się w nićj gospodyni, zatrzymał się, aby o p. von Wolski popytać. Zaczna niewiasta, która swojego lokatora wysoce szacowała — bardzo chętnie rozpowielała o nim p. Riebe, okrywając go pochwałami. Nie mogła znaleźć wyrazów na opisanie jego dobroci, pracowitości, szlachetności, urosł w jćj ustach na ideał. Hänschen powróciwszy do domu do ojca w kilku słowach mu to powtórzył. W uniwersytecie téż mówiono o Wolskim z wielkiém współczuciem.

Matka bobatera, chora, kaszląca, nie młoda, wiecznie milcząca i bardzo zajęta domem kobieta, wysłuchiwała także tych pochwał nie okazując, by na nićj ja-

kie czyniły wrażenie. Najbardziej zaentuzjazmowaną była Helmina czyli Wilhelmina, siostra jedyna studenta, przywiązana wielce do brata i lubiąca latać po obłokach a szukać aniołów, z którymi się na ziemi spotkać nie mogła. Jakim sposobem istota tak piękna mogła wyrosnąć w tém gnieździe, było tajemnicą natury i zapewne jakiegoś atawizmu. Przypomniła ona twarzą nieco przystojnego brata, ale on przy niej pospolitą, realistyczną wydawał się karykaturą.

Był to typ niemiecki, lecz jakby zapożyczony przez państwo radczostwo komercyjnych z obrazka Schwinda, z rysunku Richtera, z fresku Kaulbacha, z ilustracji Overbecka.

Chociaż wychowana w mieście, Helmina miała w sobie urok jakiegoś dziewictwa wiejskiego, naiwnego, jakby troźziwonego i nieświadomego życia. Tworzyła trochę długa, regularnych rysów z wielkiemi oczyma niebieskimi, — cała osłonięta obfitością złotych włosów, — usteczka wpół uśmiechnięte pytaniem jakieś i jakby gotowe równie czy się rozplakać czy wesołością wybuchnąć — dopełniały tylko całości, jaką stanowiła postać zręczna zarazem i niewymuszonej prostoty nosząca piętno na sobie. Trzeba ją było widzieć poruszającą się, idącą, gospodarującą w domu, aby poznać, jak była piękną. Ruch dopiero darzył ją całym właściwym jój wdziękiem. Piękna Helmina znaną była wszystkim towarzyszom Rieiego młodego a oprócz tego większej części młodzieży wojskowej i już wycieczkowanej. Widywano ją i zabiegano jój drogę na przechadzkach, w teatrze, gdziekolwiek się tylko pokazała.

Matka była nią dumna, ojciec obrachowywał, że taka piękność, używająca tytułu von przy nazwisku, mogąca mieć sto tysięcy talarów i ojca radcę komercyjnego — nieochybnie wyjść powinna za czystej krwi junkra pruskiego lub starożytnego szlachcica meklemburskiego, — używającego dotąd rzemienia na chłopów dla przechowania starożytnej tradycji. — Postanowił też był sobie wyczerpiwać, wypatrywać i łada komu jój nie oddać. — W jego przekonaniu stósunki były też kapitałem procentującym, a że się one przez córkę zawiązać mogły, Helmina w oczach jego

przedstawiała téż kapitał, który na ogólną korzyść matki powinien być być zużytkowany.

Matka inném wcale okiem spoglądała na ukochane dziecię, które ją, dobrą, spokojną gospodynią i kucharkę całą głową fizycznie i moralnie przerosło. Uwielbiała w niej kobietę idealną nowych czasów, z rozwiniętymi władzami umysłu, zdolną do wszystkiego, pojmującą wszystko, czytającą Schopenhauera i Heinego razem, Gervinusa i Freitaga, Gutzkova i Schellinga — rozkoszującą się Goethem, grającą Schumanna z wirtuoztwem Klary Wieck i szkicującą z natury — jakby ją który z Achenbachów uczył.

Ojciec przywiązywał wielką cenę do wychowania córki, wcześniej ją do wyższych sposobów losów — nie żałowano na nauczycieli... uczono ją może do zbytku, szczęściem zdrowa i silna natura nie dała się ani zwichnąć, ani skrzywić — tylko życie, które u kobiety mieszką w sercu i piersi, u Helminy paliło się całe w głowie. Żyłła myślami, czucie u niej rodziło się z myśli, nie, jak naturalnym trybem rodzić się powinna myśl z uczucia.

Zrozumie mnie, ktokolwiek się nad człowiekiem zastanawiał, gdy dodam, że przez to samo Helmina była daleko więcej wyegzaltowaną niż inne kobiety, które serce tylko unosi.

Ona i brat kochali się z sobą bardzo i rozumieli lepiej niż z rodzicami. Radzca komercyjny niegdyś pono dojechał był z wysileniem do sekundy niższej, dalej zdawało mu się już sięgać niepotrzebném a przynajmniej zbyteczném. Żyłka go ciągnęła do handlu. — Wychowanie szkolne wielce się życiem zatruiło, zapomniał wiele a w obejściu z ludźmi skorzystał mało. Można więc śmiało powiedzieć, że był nieukiem, chociaż chciał uchodzić za wykształconego człowieka i łatwo mu to przychodziło wśród tych, co go zwykle otaczali. Niewiele więc córkę i syna rozumiał, usiłując tylko w obec nich się nie skompromitować. Matka nie udawała mędrzej niż była, owszem chętnie się przyznawała do braku wychowania, ale lepiej daleko rozumiała córkę i można powiedzieć, że dozorując jej wychowania sama się wiele rzeczy nauczyła, bo głowę

miała otwartą i pojętną. W domu więc młodzież stanowiła jakby świat oddzielny i inny — z którym stosunki odbywały się przez pewne wybitne dróżki — dla wszystkich przystępne.

Jak Helmina tak Hans miał bystre pojęcie, uczył się, gdy chciał, łatwo, lecz wolał żyć niż się uczyć i zamęczać. Zarozumiałość kolosalna wedle wyrażenia burszowskiego była jednym z jego najwybitniejszych przymiotów. Radzca komercyjny, którego syn dosyć lekceważył, największą w świecie miał trudność obok niego się na prawowitem utrzymać stanowisku. Musiał się pilnować ogromnie, bo mu syn żadnego baka, żadnego niewłaściwie użytego wyrazu nie przebaczył. Jak matka w istocie wiele przy córce nabrała wiadomości, tak ojciec przy synu nauczył się — milczeć — nauczył tak zręcznie wykręcać słowa, aby o żaden ostry kant nie zaczepić. Synby mu nie darował i śmiałyby się niełitościwie.

Kto właściwie w tym domu panował, nadzwyczajnie trudno dóść było. Najgłośniej mówił i najmocniej głowę zadzierał radzca komercyjny, lecz żeby był głową wszystkiego — uznać trudno.

Najcichszą, najmniej znaczącą była pani radczyni, która czasem rankami wyglądała na kucharkę lub służącą — czy ona tu w istocie rządziła tak po cichu — to wątpliwa. Być może, iż kierowały wszystkiém dzieci, a z dwojga ich więcej Helmina niż brat jój, którego ojciec chciał trzymać ostro a nie umiał. Siostra wyrabiała dlań, co było potrzeba, sama lub przez matkę...

Jedna rzecz najnieдоступniejszą była dla rodziny — kasa. Radzca komercyjny rozumiał to dobrze, iż póty tylko jest panem, dopóki ma od niej klucze. — Wprawdzie skuteczne do niej przypuszczała szturmy Wilhelmina, otwierała się ona na znak dany przez matkę, lecz radzca stał na straży tej arki najnowczego przymierza i w głębinę jój tajemnicze nikomu okiem sięgnąć nie dopuszczał. Zkąd szły, ile ich było, jak rozporządzał pieniędzmi — o tém nikt nigdy nie wiedział... Zdobywcami nie chwalił się nigdy, na złe czasy uskarżał się nieustannie...

Po obiedzie radzca zwyczajnie na dzienniki szedł

do swojego klubu. Dawniej chodził do zwykłej piwiarni, gdzie czytywał ciocię Voss i mógł zajrzeć do rządowego Anzeigera, ale zostawszy radcą komercyjnym, dobiwszy się uszlachcenia, nie mógł jak prosty śmiertelnik obok szewca lub krawca noże sięść przy białém piwie z gazetą. Czuł, że von go do czegoś obowiązywało... postarał się więc o przyjęcie do klubu szlachty i wojskowych, w którym téż czasem ukazywali się podsekretarze obcych poselstw lub geheimraty pracujący po ministerstwach. Tu można było przyśługując się zapalką lub przy innéj jakiej zręczności zawiązać stósunek nawet z Ekscelencyą. Później kłaniało się jój w ulicy, ludzie to widzieli i to stawiało człowieka w przyzwoitém świetle. Radzca więc teraz chodził po obiedzie do klubu swojego, o czém rad głośno mawiał, lecz nazajutrz po strasznym wypadku, który najsmutniej skończył się dla Wolskiego, p. von Riebe wyjątkowo siedział przy pocobiedniej kawie z całą rodziną.

Kawa ta podawaną była zwykle nie w saloniku, który jako przybytek szanowano zwłaszcza od czasu, gdy cały nowy garnitur mebli czerwonym wybitym aksamitem został tu wprowadzony — ale w pokoju saméj pani skromnie nader urządzonym. Przypominał on radzcy, smutnie czy wesoło nie wiem, początki jego zawodu i miodowe małżeństwa miesiące i złotą mierność pierwotną. Mebliki były proste i stare, a cacka porozstawiane i religijnie zachowywane — nie ładne i tanie. Lecz pocziwa radczyni skrzętnie tuliła te swoje drogie wspomnienia przeszłości. Tu i stół do kawy okrywano starą serwetą, któraby już gdzieindziej nie uszła dla pana radzcy. Na stoliku stały imbryki i filiżanki z berlińskiej porcelany i niesmaczne i niewykwintne. Jejmość siedziała pokaszlując i patrząc na córkę w fotelu splewiałym, starszym pewnie od jój dzieci. Obok niéj Helmina książkę złożoną trzymając w ręku zabawiała się nią zamyślona, piękne jój oczy niebieskie w okno były wlepione. Na niskim foteliku rozłożony z nogami wyciągniętymi palił cygaro Hänschen od niechcenia pokręcając młodego wąsika. Na ostatek tyłem do okna z rękami w kieszeniach rozsiadł

się wygodnie sam radzca. Rozmowa toczyła się jeszcze o wczorajszym wypadku. Młodzieniec nie przyznawał się do winy, — mówił, że go towarzysze wciągnęli, że mniej nad nich odwagi okazać nie chcąc musiał do łódki wskoczyć.

Ojciec miał go za wytłumaczonego, od czasu jak mieli von,] trzeba było, jak powiadał — okazywać się zawsze nobel... Syn więc w jego przekonaniu nic nie był winien, postąpił sobie, jak przystało na syna radzcy — nobel.

— Ja go widziałem, bom wszedł zaraz do izdebki — mówił cicho radzca... leżał w łóżku... zdaje się, że był nieprzytomny... ale młody, nic mu nie będzie. Piękny chłopiec tylko mizerny... i w mieszkaniu bardzo ubogo.

— Ale kochany ojcie — przerwał żywo bursz, z mieszkania akademika wnosić nic nie można...

Rozśmiał się trochę z naiwności ojca i ciągnął dalej.

— Akademik istota wyjątkowa... mój ojcie... dla młodzieży trzecie piętro, mała izdebka ma siłę atrakcyjną. Jest coś poetycznego na poddaszach... Potem... któż wie... jeśli sobie zrazu cugle puścił, teraz ich musi przykracać rad nie rad. Ale szlachcie, znakomitęj rodziny... to nie ulega wątpliwości... Wiem to od innego Polaka studenta, że to miejsce, na którym Polacy królów obierali, zwało się Wola... i było w posiadaniu jego rodziny. A że w ich języku jest śmieszny zwyczaj dodawania do nazwiska ski... zwali się Wołski.

— Jakto? przerwał radzca, oni mieli dziedzictwem to pole, na którym królów wybierano?

Zamyślił się chwilę i uderzając po kolanie jakby mimo woli zawołał:

— Co oni za dochód musieli mieć z tego!!! Ba! polnische Wirthschaft, wszystko przebulali!! U nich tak...

Machnął ręką i westchnął.

Bursz popatrzał na ojca.

— Znalazł się względem mnie bardzo szlachetnie, winienem mu wdzięczność i tę mu poprzysiągłem...

Turyngia sprawi dla niego komers... ale należy go choć raz zaprosić do nas. Ojciec jakby mimowolnie spojrział przelotnie na córkę, która, nie wiedzieć dla czego, zarumieniała się, spuściła oczy i wnet podniosła je z udaną jakąś odwagą.

— To rzecz niezawodna — potwierdził radzca, że prosić go potrzeba — ale młodzież zbierać w domu... ubogą, tam, gdzie jest taka piękna i bogata panna...

Helmina ruszyła ramionami i rozśmiała się a ojciec zmięszał i zamilkł czując, że mógł powiedzieć niedorzeczność.

Bursz się na głos rozśmiał.

Siostra zerwała się z krzeselka... Wtém dzwonek się dał słyszeć w przedpokoju i służąca przybiegła rumieniąc się i dając znać, że baron von Lieben-thal pragnął złożyć swe uszanowanie.

Kawa co najprędzej porzuconą została a gospodyni pierwsza poprawiwszy włosów wyszła do salonu. Za nią pospieszył radzca, potem Wilhelmina, która mimo oznajmionego barona ani w zwierciadło nie spojrziała ani ubrania raczyła poprawić, szła za nimi z najzupełniejszą obojętnością; na ostatek dźwignął się olbrzymi bursz z foteliku stękając, cygaro rzucił pod piecyk i wyciągając się posunął za rodzicami.

Właśnie z przeciwnej strony w surducie mundurowym z dwoma wstążeczkami — wchodził zapięty ciasno, sztywny i obracający się z militarnym wdziękiem junkra, chcącego być pięknym — młody baron von Lieben-thal. Mała biała twarzyczka, ostry nos, wąziuchne usta, fizyognomia nic nie znacząca ale trochę nadęta — wąsik chudy i głowa wcześniej nadłysiała, krótko ostrzyżona — mimo młodości nie czyniły go wcale ani pięknym ani miłym. Coś ostrego, szorstkiego przebijało się przez przesadnie grzeczne ruchy pana barona, który, jak widać było ze szlif, piastował już wysoką godność ober-lejtnanta... Z nadskakującą uniżonością i przesadnymi ukłonami powitałszy kobiety, uściskawszy rękę radzcy — zwrócił się przybyły z objawem nadzwyczajnej czułości ku ocalonemu burszowi, winszując mu, iż go Sprea nie poknęła. Czy powinszowania te były szczere — i czy

baron nie pomyślał dowiedziawszy się o wypadku, o ileby to powiększyło posag panny, — za to ręczyć nie podobna.

Helmina zaledwie spojrzawszy na barona, siadła z dala na krześle z miną zrezygnowaną i obojętną. Radzca żywo począł opowiadać, matka jak zwykle milczała.

Nieprzyjemnie tknęło to bursza, iż baron przy pierwszej wzmiance o pochodzeniu polskiém wybawiciela bryznął zużytym sarkazmem na Polaków. Wszyscy zmilczeli, Hänschen usta wydał i wąsika pokręcił, baron poczuł może niewłaściwość tego wybryku i zwrócił rozmowę.

— Szanowny panie Janie — odezwał się, niech to wam przypomni, że jako szlachcic...

Stary Riebe nadął się przyjemnie, uczyniło mu to sensacyą niewypowiedzianie miłą.

— Jako szlachcic — kończył baron — powinienś umieć pływać, konno jeździć i bić się... doskonale. Sport wszelki szlachecka rzecz.

— O! bić się — odparł Haenschen, uśmiechając się i gładząc po twarzy, na której miał już szram od rapira — bić się nie powstydzę.

— Anglicy nawet boksować się uczą — pierwszych familii — zawołał baron.

— O! pierwszych familii — podchwycił Riebe — to już ekscentratyczność (omylił się, syn nań spojrzął groźno i jak winowajca umilkł).

— Tak jest, ciągnął baron... A! nie ma jak angielska szlachta!! Wzór dla nas wszystkich.

Radzca westchnął czując, jak dlań wzór ten był niedoścignionym.

Baron, który widocznie chciał zawsze okazywać, iż go tu sprowadziła panna, zwrócił się wdzięcząc i uśmiechając do niej.

— Na pani też musiało to uczynić okropne wrażenie.

— Tak, cicho rzekła Helmina — pojmie to tylko, kto jak ja kochał jedynego brata...

— Zazdroszczę wybawcy — odezwał się baron — wdzięczności, na jaką sobie u pani zarobił...

— Oplaca ją teraz chorobą — odpowiedziała Helmina.

— I nie widzieli go państwo? zapytał baron.

— Ja u niego byłem — rzekł radzca.

— I ja — dodał Haenschen.

— A ma to być, słyszę, akademik jak pan — mówił oficer, i pewno znajomy.

— Nigdy go w życiu nie widział a on nie wiedział też, kogo ratuje, rzucił się, spostrzegłszy tonącego człowieka.

— Przepyszniel zawolał z przekąsem baron i zamilkł a po chwili dodał:

— Należy mu się medal za ocalenie życia — nie wiem, na jakiej wstążce się on nosi — ale że jest, to pewna.

Radzca to żywo podchwycił.

— A tak! w istocie na myśl mi to nie przyszło! doskonałą uwagę uczynił pan baron... powinienem mu się o medal postarać, to go uszczęśliwi... Będzie go mógł nosić... Nie prawdaż?

Oficer odpowiedział potwierdzająco. Radzcy twarz się rozjaśniła — mógł się więc postarać o medal i w ten sposób świetnie zrewanżować, to rewanż ów nie wychodził mu z myśli... Twarz studenta milczącego dowodziła, że nie chcąc się przy orderowym ojcu i orderowym gościu źle odzywać o znakach tych honorowych, nie zupełnie podzielał ich zdanie pod względem wagi, jaką do nich przywiązywali. Zagryzł usta, spojrzał na siostrę i szyderski wyraz rozlał mu się po całym obliczu. Wstał z krzesła, poczynając się przechadzać po saloniku.

— Co to jest niemiecka nasza krew i zdrowa, silna natura germańska — dodał oficer. Hans chodzi zdrow, jakby nie wziął kąpieli w Sprei, a tamten nieborak odchoruje, że się trochę popłukał. Jak to zaraz znać obumierające plemię...

Nikt na to nie odpowiedział i baron obejrzawszy się poczuł, że drugi raz popełnił omyłkę — zagadał więc coś o powtórnie kwitnących jesiennych fiołkach.

Piękna panna odpowiedziała mu, że fiołków nie

lubi i że się jęj pretensjonalnemi ze swą wyszukaną wydają prostotą... Odwróciła się potem ku bratu.

Baron spojrział na zegarek, porwał się udając, że spieszyć musi, i z niezmierném szastaniem nogami cały w ukłonach i łamańcach opuścił salon przeprowadzany przez radzcę i jego syna aż na wschody...

Gdy ojciec do saloniku powrócił, córki już w nim nie zastał.

— Wiesz, — odezwał się z cicha do żony, zdaje mi się, że Helmina zbyt zimno przyjmuje barona. To źle, — ani go nazbyt ośmielać, ani go też odpychać należy. Dowiadywałem się o niego... wioska, słyszę, licha i rodzeństwo liczne, ale imię ładne i wojskowa karyera może być świetna. Chłopiec zręczny, oszczędny bardzo, nieposzlakowanych obyczajów... ma przyszłość przed sobą... i baron.

Radczyni powoli podniosła oczy na męża.

— Ale zdaje mi się, że Helmina lepszego czegoś warta... szepnęła.

— Zapewne! ale któż się dziś żeni? rzekł radzca, zupełnie to wyszło z mody. Szczególniej u arystokracji, chyba starcy, gdy już młodość do odrobiny wyszafowali.

— E! podchwycił Hans biorąc się w boki, Helma ma czas poczekać i wybrać. Takiej drugiej tu nie ma. Baronowie się teraz żenią z aktorkami, to dla niej mało księcia...

— Słowo honoru! — dodał Hans, dziewczyna jak malowana i rozumna i bogata! Co mi przy niej taki chudy baron znaczy!

Na tém się skończyło.

W kilka dni potem Wojtuś z talarem w kieszeni przyszedł odwiedzić towarzysza już mającego się znacznie lepiej po przebytej gorączce. — Wolski siedział błady i pokaszlujący nad książkami. Rękę miał zatopioną w bujnych włosach i dumiał a z namarszczonego czoła widać było frasunek.

— Widzisz, rzekł po przywitaniu kładąc na stole talara, jaki jestem bezprzykładnie słowny. Nie

zdumiewasz się, twarz twoja nie promienieje radością, nieczuły człowiecze!!

— Ale słuchaj, — przerwał nagle, — co ci jest? Siedzisz smutny jak noc...

Wolski się zerwał z siedzenia milcząc i po pokoju gwałtownymi krokami chodzić zaczął.

W istocie był tak widocznie skłopotany, przybity, że Wojtuś, który wszedł wesół jakby nigdy garbatym nie był, nagle też zląklszy się posmutniał. Zbliżył się, wziął go za ręce i natarczywie począł.

— Ale mówże, co ci jest! Komuż się już zwierzysz jeśli nie mnie. Co ci jest? przerażasz mnie.

— Dopiero teraz, wybuchnął Wolski, prawdziwie żałuję, że maie skorciąło Niemca z wody ratować.

Książki mi zginęły, dykeyonarza jeden tom, na którego kupienie od gęby sobie odejmowałem, najlepszy surdut... jedyne buty... Wszystko to jeszcze mniejszaby było, ale ten kłopot... ten kłopot.

— Jaki? trzy talary zadłużyłeś się gospodyni, wielka mi rzecz, wołał garbus. Richterowaby ostatnią suknią zdjęła, aby ci usłużyć!

— Nie o to idzie.

— A o cóż u Boga?!

— Przyszło im na myśl... zaprosić mnie na wieczór.

— Więc cóż? bo nie rozumiem.

— Tępy jesteś jak stara brzytwa, zawołał Wolski, możesz-że nie rozumieć tego, że na wieczór do radzcy komercyjnego potrzeba mi fraka i całego frakowego garnituru, potrzeba kapelusza, rękawiczek.. przyzwoitego paletota, wszystkiego tego, czego nie mam i mieć nie mogę.

Wojtuś popatrzał na towarzysza i rozśmiał się.

— Gdybym był na twojem miejscu, poszedłbym, jak stoję. Pal ich kat! ale tu twoja próżnoetka nie pozwala, chcesz wystąpić. Pewnie wiesz już o bardzo pięknej pannie.

— Właśnie mi panna w głowie — wołał Wolski. — Przecież w łachmanach nie idzie się z wizytą.... Przyznasz ty, co tak elegancyą lubisz, że nie mogę iść,

jak stoję. Znasz całą moją garderobę, boś ją nieraz wyśmiewał.

Wojtuś zaczął papierosa kręcić — dumając niby.

— Nie wiem — rzekł — ale zdaje mi się, że chyba zbytnia aplikacya musiała ci odjąć wszelką umysłu żywość.

Jak można tak nadzwyczaj prostą rzecz nie domyślić się... że w mieście jak Berlin na wieczór się występuje świetnie bardzo, — choćby nie mając kosztuli.

— Jakimże to sposobem?

— Najproszym w świecie! — zawołał Wojtuś. Począwszy od fraka najmuje się wszystko.

— Jak to najmuje?

— Tak, jak mówię, idzie się do wynajmującego suknie, który od stóp do głów cię wy kierowuje na eleganta a nazajutrz odbiera odzienie. Sądziszże, iż przybywający ze wsi klienci, którzy zmuszeni są do ekscelencyi iść w białych krawatach i czarnych frakach, sprawiają je sobie na jeden wieczór? Zatem proszę cię i bądź o to spokojny, ja wszystko ułatwię, żebyś tylko był zdrow.

Wolski się wzdrygnął.

— He! zapewne — odezwał się ponuro — gdy konieczność zmusza, trzeba przejść przez tę próbę. — Przyznam ci się jednak, że kłaść choćby najpiękniejszy frak, który już na niewiedzieć czyich spoczywał ramionach, iść w sukui pożyczanej...

— Więc jest jeszcze lepszy sposób... djabłu duszę zapisać i sprawić sobie garnitur z sajety. Trzeciego środka nie widzę.

Gdy te słowa kończył, wesoły głos odezwał się ode drzwi — głośno aż do przestraszenia odezwał się:

— Ja mam trzeci!

Obrócili się zdziwieni, drzwi po cichu utworzone stały szeroko a w nich ładny i zręczny chłopak ubrany jak lalka, — w którym trudno było poznać studenta.

W paliowych świeżych rękawiczkach, z lornetką na wstążce morowej, w paletociku jak ulanym, — ze szpicrutem w ręku.

Stał śmiejąc się prawie dziecinnie uradowany i wesoly.

— *Deus ex machina!* — zawołał Wojtuś. — Co ty tu robisz Ryszardzie?... ty? na trzeciém piętrze... to kompromituje twą elegancyą.

Wolski z nim się witał.

— Ale mi się za Kajciem stęskniło... dziwnie miękko jakoś szepleniąc głosem niemal kobiecym — rzekł Ryszard.

Był to student chodzący na prawo.

Z powodu imienia Ryszarda dodawano mu przydomek *Lwie serce*, choć serce miał gęśle — a że chodził na prawo nie bardzo regularnie, Wojtuś mówił nań, że chodził raczej — na lewo... Ryszard był hrabiątkiem z Poznańskiego, młodzieńcem wielkich nadziei sukcesyi i milionów; — ale dobre z niego było chłopię... — tylko niepomierne stratne i lekkomyślne...

Zbliżywszy się do Kajetana — począł go ścisnąć.

— Jak mnie kochasz... Kaj... phoszę cię... zaklinam... jesteśmy jednego wzhostu... ja ci dam, co potrzeba... zobaczysz... Co masz bhać jakieś tam wachmany po chohych Niemcach... Swowo honohu... kiedy cię phoszę!!

— W istocie Ryszard znalazł sposób trzeci, który jest jedynym... dodał żywo Wojtuś — nie ma rady...

— Ale ja ci odzienie paradne zniszczę.

— To je zniszcz... to mi wszystko jedno... phoszę cię... takie guupstwo... wołał ściskając Wolskiego Ryszard... Kiedyż ten wieczór! dziś?

— Nie — jutro...

— Dziś będziesz miał *gaudeuobę*... i zaimponujesz Niemcom — śmiejąc się mówił Ryszard.

— Tak — śliczna rzecz — podchwycił Wolski, wnosząc z niej wezmą mnie za majątnego człowieka... To rodzaj kłamstwa.

— A tak! z udaną powagą bardzo śmieszną lamentując rzekł Wojtuś — trzeba się nad tém zastanowić! Ma słuszność ten człowiek sumienny... to będzie okropne, szkaradne, nie przebaczone, mogące za

sobą pociągnąć straszliwe sumienia wyrzuty — kłamstwo... Biegnę do księdza... *casus conscientiae*, niech rozwiąże! Potém przy konfesyonale, gdy się przyznasz — Pater! peccavi! poszedłem na wieczór w pożyczanym fraku, ksiądz weźmie za waryata i rozgrzeszenia nie da! Zaczęli się śmiać, ale Kajetanowi ogromny ciężar spadł z piersi.

— Przyszedłeś tu jak Opatrzność, rzekł ściskając mięciuchną dłoń Ryszarda... który był uszczęśliwiony i śmiał się powtarzając — Zobaczysz, jak ja cię wystrychnę.

Rozmowa zwróciła się na inne przedmioty i chwila szybko przeszła — Ryszard pożegnał Wolskiego, Wojtus także... konwalescent pozostał sam z książkami...

Przed wieczorem paradny służący hrabiego Ryszarda w jeszcze paradniejszym zawinięciu przyniósł dwa pełne ubiory do wyboru, z troskliwością największą aż do najmniejszych szczegółów zebrane. Wolski wziął pierwszy z brzegu, spróbował tylko, czy na niego wejdzie, a że leżał garnitur wybornie... zasnął spokojny. Nie był jednak bez trwogi przebudziwszy się, gdy przypomniał sobie, że mu na ten wieczór iść trzeba było odegrywać smutną rolę wybawiciela fetowanego przez rodzinę.

Wszelkiego rodzaju owacye dla ludzi, co mają delikatniejsze uczucie, są ciężką przeprawą. Nie jeden przez różgiby iść może wolał — ale są czasem nieuniknione szczęścia, które przełknąć człowiek musi, choć się niemi dławi.

Wolski jak żyw w towarzystwie niemieckiem nie bywał, choć język umiał do brzei władał nim wprawnie; domyślał się, że tu obyczaj, mowa, myśli, wszystko być musiało inne jak u nas. Godziny szły jak na złość z utrapioną szybkością i straszna się owa, której się tak obawiał, zbliżała. Wzdychając wdział piękny, do zbytku wytworny garnitur Ryszarda, spojrzał w zwierciadło... trudno mu się poznać było, tak jakoś nie swojo, inaczej, dziwnie sobie samemu wyglądał. Rumieniec okrył mu twarz blada. Pomimo szyderstw Wojtusia czuł, że i ubiór kłamstwem być może; czuł, że nie

miął mowy ani ruchu stósownego do tego stroju. Było mu w nim obco, cudzo i straszno.

Przypominał sobie matkę w ubogić izdebce, w szlafrocuku perkalikowym, w białym czepcu... i iza mu się zakreśliła w oku...

Biedna matka przestraszyłaby się pewnie, gdyby skromnego, pocziwego swojego Kaja zobaczyła prze-strojonego na jakiegoś eleganta. Była chwila, że Wol-ski chciał zrzucić suknie, zapakować rzeczy i uciec bo-daj z Berlina — ale pracował dla matki, dla jęj spo-kojnęj przyszłości... i dla nięj wszystko znieść mu-siał, nawet tę upokarzającą naskaradę.

Z westchnieniem więc narzuciwszy palto, wyszedł z izdebki, unikając spotkania z p. Richterową, która go, wnosząc ze stroju, o płochość posadzić mogła.

Udało mu się prześliznąć niepostrzeżonemu i wy-sunąć na ulicę. Szedł dalej z bijącym sercem... ale mu się w oczach cięnilo.... Strój ten palił go jak o-gniem....

Już stał przed drzwiami domu oznaczonego zło-wrogim numerem trzynastym, miał przed sobą tylko wschody pierwszego piętra... w którego oknach rzę-siste światło przebijało się przez zapuszczone story.

Jak skazany na ciężką pokutę... poszedł... za-dzwonił.

Lokaj w białych rękawiczkach, najęty na ten wie-czór umiślnie, aby dać gościowi wspanialsze wyobra-żenie o domu pana radzcy komercyjnego, przyjął go głębokim w progu pokłonem. Tuż z przeciwnych drzwi wybiegł ocalony Haenschen bez godel burszowskich, we fraku na przyjęcie przybywającego. Pewne zadzi-wienie odmalaowało się w twarzy studenta, gdy spoj-rzał na strój wytworny i białe rękawiczki kolegi.

Kajetan wyglądał w tym nie swoim ubiorze tak arystokratycznie piękny, tak mu było z tą zaniedba-ną ni-co elegancją dobrego smaku do twarzy.., iż Hans mimo swęj młodzięnczjęj piękności ledwie mu nie pozazdrościł.

Lecz tuż przez pół otwarte drzwi wyglądał radzca komercyjny z obudwoma orderami, nie przez znaki skrócenia wyrażającemi się, ale in naturalibus.

Ogromne dwa krzyże wisały na cześć gościa w pętlicy jego fraka. Krawat biały włożył znowu dla tego, że ilekroć brał krzyże wielkie, zawsze im zwykł był ten znak poszanowania towarzyszyć.

Nie wiedział sam, jak ścisłany za rękę, mruczając coś dostał się do salonu. Niedaleko od drzwi czekała nań w czarnej sukni jedwabnej, wzruszona w istocie pani radczyni. Nie mogła się zebrać na długą mowę ale serdecznie uściśnęła jego rękę.

W tej chwili Kajo podniósł głowę, czując jeszcze kogoś przed sobą i — osłupiał.

W białej sukni z niebieskimi wstążkami, z rozpuszczonymi na ramiona włosami, trochę blada i zmieszana stała Helmina. Wyciągała ku niemu małą dłoń... ale Kajo tak był oślepy jej pięknnością, iż chwilę stał prawie nie przytomny.... I panna i cała rodzina widzieć to musiała.

— Pozwól pan, bym i ja za kochanego brata życie podziękowała szlachetnemu wybawcy. Gdybyś pan me własne ocalił... nie byłabym panu wdzięczniejszą.

Głos brzmiał jak muzyka i upajał.... Wolski odpowiedzieć nie umiał, ale to jego pomieszczenie pewnie mu nie zaszkodziło w oczach panny. Spojrzała nań długo swe niebieskie topiąc w nim oczy, ścisnęła mocno jego rękę i cofnęła się parę kroków.

Towarzystwo składało się z rodziny tylko, do której należał wuj samą pani, stary pastor z długimi siwymi włosami i szeroko zawiązaną chustką białą na szyi — brat radcy komercyjnego, kupiec, prosty Riebe bez żadnego von i człowiek ubogi, jego córka skromnie a niesmacznie ubrana panienka — a — naostatek kuzynek jakiś, chowający się w kącie.

Wolskiemu i nawyknięcia do towarzystwa i przytomności umysłu brakło; ratował go jakiś instynkt, zupełnie jak tonącego człowieka, który już nie myśli, nie rozumuje, lecz chwytą wiedziony potrzebą ocalenia, co mu nasterczy Opatrzność.

Przez chwilę po zajęciu miejsc toczyła się jeszcze rozmowa o przypadku, którego bohaterami byli Häuschen i Wolski. Nieszczęśliwego Kajetana wszyscy bombardowali tytułem barona, który padał na niego jak ka-

nień. Dniem wprzód wypraszał się od tego najusiłniej u młodego przyjaciela — nie to nie pomogło... musiał baronostwo i frak pożyczany znosić razem. — Jedna Helma jakoś umiejętnie unikała tytułu, za co jej prawdziwie był wdzięcznym.

Nie rychło rozmowa z ogólniej zaczęła przechodzić w podzieloną. Wolski znalazł się na chwilę przy Helminie, która bardzo śmiało i zręcznie pytała go o życie w Berlinie i naukę. Przez brata dosyć była oswojoną z temi przynajmniej obyczajami burszowskiemi, o których pannie wiedzieć się godzi; zajmowało ją nawet to bujne i rzeźwe rozwijanie się młodzieży, puszczającej cugle fantazyi i umiejaczej podolać razem nauce i zabawie, książce i światu. Zdziwiła się, gdy Kajetan, który wcale innym się (mimo fraka) wydawać nie chciał niż był w istocie, odpowiedział jej, że był zupełnie odcunięty od wspólnych i tłumnych zabaw młodzieży, nie należąc do żadnej z nacyi uniwersyteckich i pędząc czas w bardzo szczupłym kółku znajomych lub nad swojemi książkami.

Helmina wyraziła swe podziwienie. Z tego tematu wszczęła się rozmowa o młodości i poezyi. I tu dwie istoty z dwóch tak różnych światów — jak niemiecka panna i ubogi polski chłopak znaleźli się z odmiennemi zupełnie wyobrażeniami; ale Kajetan miał tę wyższość nad nią, że niemiecka literatura, życie, pojęcie przyswojone zupełnie obcemi mu nie były, a to, co wyniósł z rodzinnego domu, dopełniało i prostowało jednostronne poglądy germańskie, gdy panna o całym tym słowiańsko-polskim, dzikim — według pojęć ich — świecie — miała zaledwie powierzchowne, mętne i bardzo niedostateczne wyobrażenie. Wolski wydał się jej dziwnie oryginalnym i zajmującym jak studyum nieznanjej książki. — Helmina była chciwą wiedzy... młodzieniec obudził w niej ciekawość. Czegoś podobnego nie spotkała jeszcze. Mówił doskonale po niemiecku, ale ideami polskimi, które czasem jak stal brzęczały, czasem błyskały jak ogniki, czasem przeciągały jak mgły sine, z po za których czarowne migają krajobrazy. — Rozmowa więc stała się niezmiernie ożywioną. Wmieszał się do niej Hänschen

i gwarzyli dosyć wesoło. Oczy pięknego dziewczęcia jakby akompaniamentem cichej muzyki towarzyszyły słowom. A jak zwykle u młodych bywa... polecieli wszystko troje pod niebieskie stropy, zaczepiając jak o gwiazdy o najwznioślejsze zadania ludzkości.

Szczęściem dla nich, aby im nie dać zalecieć zbyt daleko, zkąd powrót na ziemię jest trudny — najęty kamerdyner otworzył drzwi jadalnego pokoju i pani radczyni poprosiła na wieczerzę. Nie wiem, jak się to stało, że Wolskiego posadzono między siostrą i bratem. ...

Wieczerza wzięta z restauracyi — przynajmniej co do zewnętrznej swej fizygnomii — była wcale wytworną.

Wina stały we flaszkach, których korki ze srebrnemi główkami wyobrażały jakieś fantastyczne istoty. Na bokach butelek lśniły etykiety chromolitografowane tak przepysznie, iż gdyby Wolski miał cokolwiek doświadczenia, to jednoby mu dowiodło, że — nie były warte. — Wszystko razem wzięte udawało przepych pański... nieumiejętnie naśladowany — ale dla Kajetana wydawał on się rzeczywistym i najpięszcziej wody.

W środku stołu w dwóch koszykach mocno zużytych, lodem otoczone panoszyły się dwie butelki niemieckiego szampana.

Radzca był uszczęśliwiony, czuł, że baronowi polkiemu swoim ravanchem zaimponował, wprawiało go to w tak dobry humor, że oczy syna musiały ciągle stać na struży ust ojca, ażeby błka jakiego nie wystrzelił.

Jak się to najczęściej trafia, że gdy człowiek wielce się czego lęka, to właśnie sprawi mu przyjemność, a gdy się czego z trzpragnieniem spodziewa, trafia na zawód bolesny — wieczór upłynął nieskończenie miłej i łatwiej, niżby Kajetan mógł przypuszczać.

Pastor był człowiek czytany, miły i łagodny — kupcówna skromna ale dobrze wychowana panienka, bursz zwykle zuchwały, w domu rodziców dochodził prawie do ugrzecznienia, a Helmina zachwycającą się wydała Kajetanowi.

Była zawsze niepospolitą istotą, ale tego dnia jakieś dziwne usposobienie spotęgowało jej wdzięki, do wcip, wszystko, czém ją obdarzyła natura. Rodzice nawet znajdowali ją niezrównanie świetną.

Nie było to wyszukane, wymuszone, przygotowane umyślnie na pokaz — była mimowoli w tym blasku, płynącym z duszy i niezrozumiałym dla niej samej. Wolski słuchał jej zachwycony... Była śmiałą, wesołą i potęgą jakąś opanowała stér rozmowy — zaczęła wszystko, co ją otaczało.

Ojciec był nią dumny, brat pódzielał jej tryumfy i dopomagał do nich, reszta rodziny słuchała w milczącym podziwie. Właściwie ona, pastor, Hänschen i Wolski wiedli rozmowę, która coraz się wyżej nastrajała. — Radzca komercyjny sam uznał, że na tak wysoko rozciągniętéj linie — dla niego taniec był niebezpieczny, miewał się więc tylko cichemi uśmiejch i znakami potwierdzającemi.

Wino otworzyło usta jeszcze, rozjaśniło humory, nadało więcéj swobody myśli i słowu.

Przy pieczytém radzca komercyjny wniósł toast za zdrowie szlachetnego wybawcy syna i z uczuciem tryumfu oznajmił mu — sądząc, iż nadzwyczajne wywołanie wrażenie i wdzięczność — że wysokie ministerstwo, przyczyniając się do próśby jego, raczyło obdarzyć i p. barona von Wolski medalem za uratowanie człowieka do noszenia na wstędze... orderu jakiegoś...

Wolski kłaniając się pobjął i zmięszał niezmiernie, wzięto pomięszanie za wyraz uradowania; radzca komercyjny ubolewał tylko, że pewne formalności nie dozwoliły mu natychmiast wręczyć téj zasłużonéj ozdoby młodemu tryumfatorowi...

Nastąpiły serdeczne powinszowania i Wolski uczuł się dopiero teraz należycie skonfundowanym. Że jednak miał to być dlań ze wszech miar wieczór szczęśliwy, więc los i długie trwanie téj konfuzji nie dopuścił. Stało się coś niespodziewanego.

Baron von Liebenthal, którego nie proszono na tę fetę familijną, mający jednak w ogóle wolny wstęp do domu, w wielkim uniformie wracając z zamku wstąpił do państwa von Riebe. Być bardzo może, iż

ciekawym był... że niespokojny, że się dnia tego domyślał lub o nim dowiedział.

Z razu radzca spojrział na żonę zafrasowaną nieco, ale tajemniczy znak przez nią dany a oznaczający, iż pieczonego, ciasta i wina dosyć było jeszcze — wnet go uspokoił.

Świetnie teraz wyglądał gwardzista w pełnym mundurze, ordercy na piersiach, w ręku hełm połyskujący. Musiało mu się zdawać, że występował jako zwycięzca bez walki... Veni, vidi — vici... Mundur pełny czynił na nim to wrażenie, że w zwykłym krygując się śmieszczyć, w nim rzucał się, trząsł, poruszał na sposób Poliszynella... Było to coś, co się opisać nie daje — ukłon jakby się łamał, w rozmowie rzucał ręką, nogą i dźwiganie szlifów na ramionach i potrząsanie piersią i obracanie głową — wszystko to przy sztywniej wyprostowanej postawie — sprawiało wrażenie nicoptacone! Tego wieczora czy był już po militarnym jakim poncezku, czy tak uszczęśliwiony recepcją doznał — czy z siebie zadowolony — czy zaćmić pragnąc filistrów — baron von Liebenthal grał rolę jun'ra pomorskiego czy meklemburskiego jak wirtuez niedorównany.

Zasiadłszy krzesło wnet oczyma i pytaniami rzucił się na Helming.

Spojrzał zdała na zaprezentowanego mu Wolskiego jako na małe stworzonko zniknąć mające w jego blasku i puścił się w głośnie, dowcipną berlińskim akcentem rozmowę.

Jest to pewnik doświadczeniem wieków stwierdzony, że wchodzący w towarzystwo rozbawione człowiek nowy bardzo rzadko trafia na ton właściwy.

Jest on jak opóźniony skrzypek... co instrumentu nie mógł do orkiestry nastroić. Rozmowa była dosyć już wybujała, gdy gwardzista wpadł na nią z brukową kroniką i piękne kwiaty stratał bez miłosierdzia. Wszyscy zamilkli i sam on zmiarkować musiał, że zaintonował fałszywie. Ocaliło go pieczone, które mu postawiono wraz z kieliszkiem madery i szampana.

Radzca przysiadł się do niego... został pastor;

kupcowna, kuzynek szukający cienia, Helmina, Haenschen i Wolski wysunęli się do salonu, gdzie uproszona do fortepianu piękna panna zanuciła głosem sympatycznym i pełnym wyrazu Schumanowską pieśń:

Mein Herz ist betübt,

Jeh sag' es nicht --

Mein Herz ist betübt nun Jemand ...

Wdzięczny głos zabrzmiał po salonie... a po pierwszej piosence nastąpiła druga Schuberta a potem jakaś fantazyja na fortepianie.

Wolski, który bardzo lubił muzykę, choć zajmować się nią nigdy nie miał ani sposobności ani czasu, czuł się do głębi poruszonym tym dźwiękiem dziewiczych piersi, który rozbudza w sercu wszystkie śpiące marzenia. Helmina śpiewała jak mówiła bez przymusu, z prostotą, naturalnością, która śpiew jej jeszcze milszym czyniła. Ile razy słowa i muzyka potrafiły o wiekuistą ludzką tęsknicę... brzmiała pieśń wyrazem głębokiego uczucia. Zdawało się, że temu szczęśliwemu dziecięciu radzostwa komercyjnych, dziedzicze stu tysięcy bitych talarów pruskich, otoczonej wszystkiem, czego tylko mogła zapragnąć — brakło jednak wśród prozy żywota, oprawnej w suto złożone ramy, czegoś, coby sercu i duszy czyniło zadość.

W pieśni najmniej było wesoła.

Baron von Liebenthal, który zawsze odegrywał rolę entuzjasty przy muzyce Helminy, tym razem jeść musiał kołety z akompaniamentem śpiewu zdala od ideału... i rozmawiać z radcą komercyjnym o nierozsądnem wznoszeniu się cen na wiktuały i paszę dla koni.

Wolski zapominał zupełnie o godzinie, w salonie nie było widomego zegara. Obiecywał sobie nie prześiadywać dłużej nad dziesiątą. Klucz od głównych drzwi miał wprawdzie w kieszeni, ale pieszo potrzeba było iść ogromny kawał drogi.

Muzyka się przeciągała — spojrzał ukradkiem na swój srebrny, skromny zegareczek, nie odpowiadający ubraniu i przestraszył się, bo wskazywał już pół do jedenastej.

Haenschen, który to dostrzegł, szepnął mu na u-

cho, żeby się nie spieszył i nie frasował, bo — choć deszcz, począł lać jak z wiadra — każe mu dorózkę sprowadzić.

A! w istocie dorózka dla pożyczanych sukni stawała się nieuchronną — ale kasa — kasa Wolskiego jakże strasznie ucierpieć miała. W ostatnich dniach od tego nieszczęśliwego wypadku zapożyczył się był u Richterowej do dziesięciu talarów... a z kąd było wziąć, aby jej oddać? Matce od ust odejmować? Wolski wolałby był głód cierpieć niż prosić ją wiedząc, że mu i tak daje więcej niż może, sobie na starość, przy chorobie nie zostawiając nic nad nieuchronnie potrzebny chleba kawałek.

Smutne te myśli przeciągnęły jak chmura... nowa piosenka ozwała się i Kajetan zapomniał o wezystkiem. Czarodziejka nakoniec wstała, przyszła do niego i zaczepiwszy go o coś chodzić z nim zaczęła po salce.

Byli sami, bo Haensehen poszedł do barona. Helmina z poufalością niemal dziecięcą usiłowała się zbliżyć do Wolskiego. Udało jej się to łatwo, oczarowała biednego chłopca... ożywił się i przez ten krótki przeciąg czasu dał jej się poznać lepiej. Zdawała się tego pragnąć.

Spytala go o rodzeństwo.

Wolskiemu nie wiedzieć, dla czego pilno było wypowiedzieć jej wezystko o sobie i nie zwodzić jej ani swém baronostwem ani elegancją. Przed nią w pożyczanych nie chciał stawiać piórach.

— Mam tylko matkę, rzekł żywo — dobrą, drogą, ukochaną matkę... jestem ubogim sierotą. Nikogo więcej na świecie... Dla niej więcej niż dla siebie chciałbym co prędzej dobić się czegoś na świecie... niezależności... Tytuł, który mi tu państwo łaskawie dawać raczycie, nie należy mi wcale. Jestem szlachcicem polskim jak tysiące innych... Rodzina moja była uboga, a w ostatnich czasach i z tegośmy wiele stracili... Nadzieja matki na mnie... a moja w pracy.

Helmina słuchała, nie zdając się wcale rozczarowaną.

— I obrałeś pan sobie medycynę? zapytała.

— Tak pani, bo przez nią ludziom być można użytecznym, wiadomości nabywa się wiele..., a doktor jest najpotrzebniejszy i najłatwiej mu na skromny kawałek chleba zapracować.

Panna spojrzała nań z żywem zajęciem.

— Jaki to urok ma dla mnie, odezwiała się, ta śmiała walka z losem... to dobijanie się przyszłości o siłach własnych...

Gdybym była mężczyzną — wołałabym takie położenie niż gotowy chleb i los. Jest coś godnego człowieka samemu sobie przyszłość i położenie w świecie stworzyć.

— Tak, dodał Wolski — i ja to czuję — lecz jeśli się do tego łączą ofiary i niepokój tych, których się kocha — pragnęłoby się dojść co prędzej do mety.

Panna spytała go, gdzie mieszka matka, troskliwie zaczęła go badać o jej zdrowie, o wiek.... Zajęło go wielce to okazane mu współczucie.

W przeciągu pół godziny zbliżyli się i poznażomili, możnaby powiedzieć, spoufalili więcej niż całego wieczora. Helmina miała czas jeszcze szepnąć mu, żeby o nich nie zapominał, żeby przyjaźń zachował dla jej Hansa.

— Haenschen — rzekła — dobry, poczciwy chłopak, ale mu życie płynie łatwo i on je z braku walki często tak szalenie wyzywa, jak tego dnia... który pan o mało nie przypłacił życiem.... Wpływaj pan na niego — zbliż się — stań mu się przyjacielem — serce ma dobre....

W czasie tej miłej rozmowy baron dojadł wicherzy, dopił wina i całe towarzystwo wyszło do salonu.... Wolski niespokojny chwycił za kapelusz... Hans kazał mu się jeszcze zatrzymać, pókiby nie znaleziono dorózki... bo deszcz lał ciągle.

Na ogólną już rozmowę upłynął ten kwadrans ostatni.... Hans skinął, iż dorózka stała u drzwi, Wolski jak najczuliej pożegnał gospodarzy, dziękując im, oni jemu, Helma podała mu rękę, zapraszając głośno, aby ich odwiedzał często, co rodzicom może nie

bardzo było do smaku ... i Wolski znalazł się w przedpokoju. ...

W téjże chwili baron von Liebenthal, wyszastawszy się i wyklaniawszy, wyszedł także, narzucił płaszcz na ramiona i poświstując wyszedł przodem.

Gdy Wolski, przebywszy trochę ciemne schody, znalazł się na dole — w porę właśnie nadażył, by usłyszeć, jak siedzący w jego doróżce gwardzista komenderował woźnicy.

— Dorotheenstrasse 21.

Doróżka zaturkotała a Kajo został bez parasola na deszczu myśląc, co ma począć nie z sobą ale z garderobą Ryszarda.

W trzy miesiące po opisanych wypadkach Wolski siedział wieczorem przy lampie w swojej izdebce zadumany ... zziębły mimo odzieży, którą się obwijał — blady i smutny.

Przed nim leżała roztwarta Fizyologia i notatki do niej ... ale na rozrzuconych kartkach ... widać było roztwarty list ... na którym spoczywały jego oczy wlepione nieruchomie — list kobiecą pisany ręką, — po niemiecku. ... Drobnym i pięknym charakterem jak sznureczkami plecionemi udatnie zasypiana była cała ćwiartka na wszystkie strony ... ćwiartka wielkowna, biała, lénigca, na której górnyin brzegu misternie związana cyfra łączyła w sobie dwie głoski W. i R. szlachecką pokryte koroną.

Kajetan czytał i odczytywał zadumany, pogrążony, smutny jak noc ... smutny jak dzień pogrzebowy. W okna bił wicher wczesnej wiosny, która się jeszcze mogła zimą nazywać ... w domu panowała cisza ponura ... w izdebce przejmujące zimno jak na dworze a od okna chwilami dął jeszcze chłodniejszy wiatr. ...

Dość było spojrzeć na Wolskiego, żeby odgadnąć, że mu na świecie było tak strasznie ciężko, tak okrutnie smutno, tak nieporatowanie i rozpaczliwie źle, iż nie wiedział, co pocnie z sobą. Siadał na chwilę, patrzył na ten list, czytał go, odsuwał, chodził znowu,

naostatek schowawszy go do szufladki stolika rzucił się w róg starłej sofki, podparł na dłoni i zadumał.

Stuknięcie do drzwi, którego się mógł spodziewać, bo wprzód daleko słyhać było chód po wschodach, ale tego nie uważał zamyślony Kajo, — przstraszyło go tak, iż się zerwał cały drżący i chwycił za głowę. Wzrok jego padł naprzód na stolik, bo nie był pewnym, czy list schował — i dopiero słabym głosem chciał się odezwać, aby wszedł ten gość wieczorny... gdy nie czekając pozwolenia wtoczył się płaszczem obwinięty garbus.

— A niechże ich z tym berlińskim klimatem!... Na podwórzu choć psy gon! Ale ba! i u ciebie widzę nie palono... czy co?...

— Nie palono... późno... wkrótce pójde spać — węgla nie ma... kłopot... dzwonić... prosić... rzekł Wolski.

Garbus nie zdejmując ani kapelusza ani płaszcza, wzdychając usiadł na stolku. Popatrzał na towarzysza i głową pokiwał.

— Coraz goręzy z ciebie desperat, rzekł. Proszę cię, powinienbyś ze mnie brać przykład. Nie mogę tego zataić ani przed sobą ani przed światem, że jestem odrobinę garbaty... je tem goly — nauka mi idzie nierównie ciężej niż tobie... żadna Niemka (tu chrząknął) nie zekochała się we mnie, coby mi mogło urozmaicać przyjemnie egzystencją, mam długi, perspektywa egzaminu nie pocieszająca — a spojrz-że na mnie, wyglądam rażniej i weselę od ciebie.

Pfel pfe! i dziesięć od pfel! Należać chcesz chyba do téj kasty ludzi, którzy żywota nie widzą i nie czują nic jak jego nudę. Zgadza się na to, że życie najpiękniejsze ma zawsze damokleżowy miecz zawieszony nad sobą, ale jak skoro jest co nieuniknionem, człowiek rozumny i silny oswaja się z tém i nie stęka. Stękanie na nic się nie zdało a nudne jest dla drugich i dla siebie. To dzieciństwo. Dzieci tylko płaczą i lamentują, mężczyzna szuka środka do zaradzenia złemu a, jeśli go nie ma, po rzymsku zawija się w płaszcz i powiada losowi — z pozwoleniem — kpie

losie, bij — i niech cię kaci porwą. Możesz bić, ale jęku mojego nie posłyszysz.

— Alboż ja jęczę? odezwał się Kajo.

— Twarzą, postawą, oczyma — powiadasz, żeś nieszczęśliwy a nieszczęśliwym być nie powinienes.

Wolski się gorzko uśmiechnął, założył ręce na piersiach.

— Cóż dalej? zapytał.

— Żal mi cię, rzekł garbus — mówmy otwarcie, z kośćcami mnie znasz, spodziewam się, że w przyjaźń moją wierzysz a zwierzyć mi się z żadną swą biedą nie chcesz. Chociaż żaden z nas nie łatwo słucha kogo... zawsze lżej radzić we dwóch i podzielić się gorczyzą. Mów, co ci jest, bo jak nie powiesz... zgadnę.

— Ciekawym! rozśmiał się Wolski i przeszedł z głową spuszczoną po pokoju.

— Nie wyzywaj, powiadam ci, mam oczy ostro-widza. Zgadnę...

— Cóż możesz odgadnąć? co! że nie mam ani grosza? że mam długi? że w piecu nie palę, bo węgla nie ma za co kupić?

— To są wszystko curae posteriores, odezwał się Wojtuś, z tegobys ty się śmiał jak ja.

To mówiąc wstał, zniżył głos i począł seryo.

— Na sercu mi leżało od dawna, żeby się rozmówić z tobą. Czekałem, ażebyś ty rozpoczął, lecz widzę, że do tego nie przyjdzie nigdy — muszę sam palce włożyć między drzwi — ale z dobrej woli, żeby cię ratować. Nic mi nie potrzebujesz mówić, nie szpiegując wcale, łąco się było domyśleć wszystkiego. — Zrobiłeś jedno pierwsze głupstwo, żeś niepotrzebnie skoczył w wodę Niemca ratować! Co się było mięszać nie w swoją sprawę? Zatem poszło, żeś się z całą dostojną poznał rodziną, że w rodzinie znalazła się bardzo piękna panna. Nie przeczę, piękna, mówią, że rozumna, przypuszczam, że anioł dobroci — ale — Niemka.

Grzech pierworodny nie zmazany nigdy i niczém... Zakochałeś się w niej, zakochała się w tobie i brniesz po uszy w sentymencie, z którego wypłynąć na suchy

brzeg nieskończenie trudniej niż z mętnej i smętnej Sprei. Hier liegt des Pudels Kern.

Rodzice panny świeżo uszlachceni i bogaci córki takiemu jak ty biedakowi nie dadzą; matka, którą kochasz, gdybyś jej, nie wiem, jak bogatą przyprowadził synowę, nie umiejacą po polsku, będzie rzewnemi płakała łzami... ty sam nie wiesz, jakby ci było wchodzić w ten świat, którego nie znasz, z którymbyś wiązać się musiał a który ci nie przebaczy tego, żeś się uredził Polakiem. Oto twoje położenie...

— Zkądże wiesz? jakże możesz... przerwał gwałtownie Wolski.

— Nie zaprzeczaj mi, tak jest — dodał Wojtuś. Co się nawarzyło, trzeba wypić. Ale w położeniach tego rodzaju na heroiczne lekarstwo zdobyć się potrzeba... Napisać rozpaczliwy list z pożegnaniem do pięknej panny, zapakować tłumoczek i przenieść się z resztą medycyny do Halli lub do Lipska, aby pokusę z oczu stracić...

Wolski słuchał — westchnął, milczał chwilę... z trudnością dobyło mu się wreszcie z piersi:

— Rozpaczliwe położenie...

— Tak! nareszcie się przyznajesz...

— Ale ja ją kocham — zawołał Kajo gorąco — ale ona mnie kocha — nasze dusze się rozumieją.

— Wiem, wiem... wiem... daj ty mi z tém pokój... stare to dzieje... będzie bolało, lecz lepiej odczekać chwilę niż męczyć się całe życie... Na co to roić próżno? Wiem od Häuschena, który mi to nie pytany powiedział, że rodzice przyrzekli siostrę jego baronowi Liebenthal... tobie jej nie dadzą.

Masz z Niemcami do czynienia — pamiętaj. Gdybyś pannę wykradł, zrobisz ci proces i wsadzą do cuchthauzu, pannę bądź co bądź odbiorą i jutro baron się z nią ożeni... a matka umrze z żalu i ze wstydu.

Wolski milczał znowu... począł się przechadzać po pokoju.

— Masz słusność — odezwał się ochryplym głosem po chwili — masz słusność — rozum mówi przez

twoje usta... ale rozum bywa głupi... gdy idzie o serce.

— Pięknie powiedziano — ale nie do rzeczy — ozwał się uparty Wojtuś. Rozum trzeba mieć zawsze. Jeszcze jedno ; rzępuszczenie. Wykradasz pannę... Baron Liebenthal zrzeka się raz już kradzionej, rodzice ci ją zostawiają — lecz... radzca komercyjny — na to jest radzcą i komercyjnym, ażeby rachował, zyskuje na tém posag panny i zostawia was waszemu szczęściu sielankowanemu bez złamanego szeląga. Co dalej? panna czyta, gra i śpiewa, ale szyć ani na maszynie ani bez maszyny nie umie... istota idealna... Ty jeszcze nie masz patentu i marzniecicie oboje w nieopalonej izbie, co doświadczona rzecz, wymraża wszelką miłość najidealniejszą.

Szybko skończywszy mówić Wojtuś, który zmarzł, bo w izdebce było zimniej może niż na dworze, począł chodzić i trzeć ręce — parę razy się wzdrygnął i nie mówiąc słowa ani się żegnając wyszedł.

— Wracam natychmiast — rzekł w progu.

Wolski jak stał z założonemi rękami w środku pokoju, ze zwieszoną na piersi głową tak pozostał — zdawał się skamieniały.

Po krótkie chwile powrócił Wojtuś a za nim służąca z koszykiem węgla a za służącą chustką wełnianą otulona Richterowa.

— Otóż to widzi Herr von Wolski, na co mnie... compromittirt... Ludzie pomyśleć, że ja panu nie chcę kredyt dać na jeden mizerny Korb Steinkohlu. Pan jest nie dobry... pan jest niewdzięczny, Herr von Wolski... jak można z pańskie zdrowie chcieć marznąć... a mnie taki Kummer zrobić...

Wolskiego ten czuły macierzyński głos poruszył, zbliżył się chwytając za rękę panią Richterową.

— Pani szanowna, rzekł, ja i tak nadużywam dobroci waszjej, jestem wam dłużny...

— No to co? to mi pan kiedyś to oddasz — poczęła gestykulując żywo gospodyni. 's geht nischt!.. pfuj! To jest nie ładnie...

Zbliżyła się do pieca szepcząc coś służącej i wyszła...

W piecu się zaczynało już palić... była choć nadzieja, że się kiedyś ociepli, a że piec był starożytny, żelazny, nie potrzebował nawet na to wiele czasu...

Milczący jakiś czas stali przeciw sobie towarzysze, Wolski popatrzał na garbusa, wziął go za rękę i nie mówiąc słowa uściśnął ją.

— Poczciwy, dobry Wojtusiu... nigdy nie ratuj tonących z wody i tonącym jak ja nie podawaj ręki.. bo co przeznaczone... to nie minie.

— El! co ma wisieć nie utonie! rozśmiał się Wojtuś — bądź dobrej myśli — kochasz się — przekonasz... Miłość jak węzełka choroba przechodzi, niezmiernie rzadki wypadek, ażeby przesła w stan chroniczny... Patologia uczucia naucza téj prawdy. — Jesteś młody...

— A to moja pierwsza miłość!

— Wiem, taka bywa najstraszniejsza, gwałtowna... lecz — wierz mi — najkrótsza... Znowu się zwrócił do teorii, ogólne prawo bytu — co silne to krótkie..

— Tego prawa nie znam... nego!

— Uczy cię go proste wpatwienie się w świat... a mów, co chcesz, prawa bytu i fenomenów są ogólne i jedne...

— Tak — mówił cicho Kajo — można przekochać się, ale można i umrzeć.

— Jak Werther i Kleist... zgadzam się na to. Ale jabym takich kochanków chował na cmentarzu przy domu waryatów... Miłość jest tak wyśmienitą rzeczą, że kochać się, nawet bez nadziei, dla samej satisfakcyi kochania... nieopłacone szczęście, a ci zabijają się dla tego, że... osły!!

„Płomień ich nie może być uwieczniony.“

Osły!! Samobójstwo takie jest zaprzeczeniem miłości samej lub dowodem, że to nie była miłość ale fikacya...

Kochaj się i — nie mówmy o tém... Niech Wilhelmie wydają za barona — ty się kochaj — niech żyje z nim... ty się kochaj, — póki tylko możesz się kochać.

A! westchnął Wojtuś — smutnie kiwając głową — gdybym ja umiał i mógł się kochać — w kim

chcesz — w mężatce, mniszce... pannie, wdowie, rozwódce, osobie stanu nieokreślonego i określić się nie dającego, byłem się kochał.. ale — nie mogę.

Mimowolnie zaczął się śmiać Kajo... choć był smutny. ...

— Dla czego? spytał.

Wojtuś wskazał swój garb....

— Na co mi się to zdało, kiedy żadna w świecie nie może mi „wypłacić się wzajemnością.“ Jestem skazany na wiekiisty post serca....

Garbusowi zdawało się, że powinien był przyjaciela rozweselić i czarne jego myśli rozpędzić. Spojrzał nań, Wolski stał znowu pograżony i jakby już nie wiedzący, co mówili i z czego się uśmiechnął przed chwilą.

Westchnienie głębokie wyrwało mu się z piersi.

— Wiesz — zawołał — wypowiedziano mi dom.

Scena była przykra — jeszcze mi się zimno robi, gdy o tém pomyśle... Helma kazała mi przyjść pod jakimś pozorem... wiedziałem, że tam na mnie złém patrzy okiem posądzając, że nieuczestnie korzystałem z ich obowiązków, jakie mają dla mnie, aby nie o córkę ale o posag jej się starać.

Cóż chcesz! ma to pozór taki w istocie! Jestem ubogi — ona bogata! Bóg widzi, że ile razy przyszło mi próg tego domu przestąpić, dreszcze przechodziły po mnie. Lecz Helma kazała, dla niej rzuciłbym się w ogień.

— I rzuciłeś się w istocie — w piekło... mruknął Wojtuś.

— W przedpokoju, kończył po cichu Wolski... spotkał mnie pan radzca, sztywny, zimny, gniewny. Zobaczywszy mnie, nie mówiąc słowa — ręką wskazał mi drzwi swojego gabinetu. Domyślałem się, co mnie czeka... Weszliśmy. Stary otworzył drzwi od drugiego pokoju, aby wyjrzeć, czyśmy sami. Nie prosił mnie siedzieć, — zbierał się widocznie na wystąpienie urzędowe. „Musimy się z panem rozmówić, rzekł w ostatku odtechnawszy. Widzi pan, jestem ojcem — mam obowiązki. Nie mogę zaprzeczyć, żeśmy panu wiele winni — starałem się część méj wdzięczności o-

kazać mu, wyrabiając oznakę honorową, której pan, widzę, nigdy nawet nie nosisz.... Pan uczęszczałeś do mojego domu, który dlań był otwarty... ale się nie godziło z tego korzystać, aby mi córkę bałamucić. Tak! tak jest — bałamucić, powtórzył, widząc, że mu chcę przerwać — nie mogę tego inaczej nazwać jak bałamuceniem — bo — widzi pan, trudno przypuścić, abym ja mógł córkę moją, której sama edukacja kosztuje z piętnaście tysięcy talarów, wydał za studenta medycyny.

Sam pan mówisz, że nie masz nic, nawet tego baronostwa. Jakże to może być! jak to może być, abyś pan sobie to wyobrażał.... Byłbym ostatecznie głupim i wyrodnym ojcem, bez wewnętrznego dla własnego dziecięcia....

Więc, widzi pan — dokończył — Wilhelmina wychodzi za barona Liebentha.... który odebrał znaczną sukcesyą i wkrótce będzie majorem... byle wojna, pułkownikiem... niechże pan jój nie kompromituje.

Milczałem, jak słup stojąc....

— Wiesz pan co — dodał radzca — nie jestem człowiekiem bez serca, chcę panu okazać wdzięczność moją....

Tu się zawahał. — Pożyczę panu na prosty rewers bez procentu tysiąc talarów, abyś spokojnie dokończył nauki w Getyndze, w Bonn, gdzie pan chce.

Usłyszawszy to odskoczyłem jak oparzony, skłoniłem się panu radzcy i wyszedłem.

Wojtuś słuchał z wielką ciekawością oddech wstrzymując, tak go to zajmowało.

— Zdaje się — dodał Wolski po chwili — że mimo wyglądu radzcy Helma była podedrzwiami i całą rozmowę słyszała.

— Ha! tak... mruknął Wojtuś, — ale dla czegoż się tego domyślasz?

— Wnoszę z jój listu.

Mimowolnie prawie wygadawszy się z listem, Wolski sam siebie nastraszył i dłonią potarł niespokojny po czole.

— Pisujecie więc do siebie, tegom się domyślał. Żadna młodzieńcza miłość bez pióra i kałamarza obyc

się nie może. Koniecznie potrzebuje się uwiecznić, choć w ten sposób...

Wojtuś począł się śmiać a Wolski, któremu to przykrość czyniło, zamilkł zachmurzony.

— No, mów dalej — słowo daję — uszanuję waszą miłość. Cóż pisze panna...

Na to pytanie długo nie było odpowiedzi. Kajo się przechadzał po izdebce krokami wielkimi i wzdychał. Tarł włosy rozrzucone, łamał ręce.

— Helma na wszystko gotowa — rzekł jakby sam do siebie — ona wie, że ojciec nie zezwoli na to małżeństwo. Zdaje się, że ma za sobą matkę... Z matką nigdy nie mówiłem o tém. Gotową jest opuścić dom rodzicielski i iść ze mną w świat...

Wojtuś chwycił go za rękę gwałtownie.

— Szalony! zlituj się! nie mów mi tego! nie daj się wpłatać... opamiętaj... Matka... kraj... przyszłość! Zgubionym jesteś człowiekiem, jeśli to uczynisz. Rodzina będzie bez litości... Ściągniesz na siebie nieszczęście. Otrząśnij się, — uchodź! zaklinam cię...

Wolski stał nie dając po sobie poznać, co myślał.

— Jest gorzej niż li sądziłem — począł garbaty, — za dalekoscie zasli. Już nie o samego ciebie mi idzie, chodzi mi i o los kobiety egzaltowanej, nieopatrzonej, poświęcającej się nie rozmierzywszy głębiny, w którą chce skoczyć.

Odepchnięta przez swoich, nieprzyjęta przez naszych, — ona także byłaby nieszczęśliwą. Nie wiesz, co to jest być przesadzonym w świat nowy lub oderwanym od wszelkich z ludźmi stosunków... Jestem starszy od ciebie... chłodniejszy od ciebie... Błagam cię, zostanów się bacznie. Za chwilę szalu życia oddawać się nie godzi.

— Za chwilę niebieskiego szczęścia! — zawołał z zapalem ręce składając Wolski.

Garbus spojrzał nań, głowę zaczął potrząsać, usta wydał i jakby stan ten uznał zrozpaczonem, rzucił się w krzesło gniewny i smutny.

Po namyśle zerwał się jednak z siedzenia.

— Słuchaj Kaju, rzekł zimniej, — o jedynąbym

cię rzecz prosił, którą dla mnie uczynić możesz.

Wolski się odwrócił z pytającą twarzą.

— Rób, co chcesz, kończył Wojtuś — nie powiem nic, — proszę cię o jedno, nie spiesz się, błagam cię, — daj ję i sobie czas do rozmyśłu.

— A jeśli ją naglić będą o wyjście za Liebenthala?

— O! nie frasuj się! jeśli nie zechce wyjść, potrafi zwlec, choćby nie przyszła falbana. Kobiety są w takich razach nieskończenie zgrzeczniejsze od nas. Potrzeba namysłu, potrzeba próby samych siebie. W chwili takiego szalu nie widzi się nic — ona sama rozmyślać nie może.

Wolski się uśmiechnął dziwnie.

— Wierzę najmocniej, że cię kocha, że ubóstwia — i nie mogło być i aczej, przyniosłeś ję z sobą woń poezji i ideału, gdy dotąd żyła wśród najobrzydliwszej prozy. Rozumiem, pojmuję, nie dziwu ę się — wierzę — ale zarazem błagam... Nie spiesz się...

— Wszakże o pospiechu mowy nie ma — westchnął Wolski. Dla mnie on już dla tego jest niepodobieństwem, że — jak widziałeś — dodał uśmiechając się smutnie, węgli nie było do pieca. Od trzech dni marznę w nieopalonej izdebce...

Dobył z pod szufroku, którym był okręcony, nogę i pokazał Wojtusowi but w ruinach...

Garbus się uśmiechnął, jakby go na ten raz ta nędza wielce uradowała.

Oddychał wolniej.

— No — rzekł — godzina późna, czas do domu, mam jeszcze coś pić.

Podał rękę Wolskiemu.

— A propo — wtrącił — jest rzeczą prawdopodobną, że będę musiał na kilka dni wyjechać do Lipska.

— Po co? zapytał Wolski...

— Mam głupi ineres studencki, nie warto i mówić o tém..... Wró ę prędko, spodziewam zastać w dobrém cię zdrowiu... i może trochę ostygniętego...

Powtarzam ci — kochaj się — nie mam nic przeciwko temu — platonicznie!... doskonale. Nie platonicznie! wola twoja... eterycznie czy somatycznie —

ale nie żęń się na miłość bożą nie mając grosza przy duszy i to z dziewczicą, która może być kolekcją doskonałości i kompendium wszystkich cnót, ale rasa inna, plemię odrębne. Niemka! Niemka! Niemka! człowiecze, niech cię to przejmie zgrozą i trwogą i da ci jasnowidzenie przepaści, nad którą stoisz!

Więcej nie powiem! — Dobranoc!

I drzwi zatrzasnął za sobą.

Garbaty Wojtuś mimo swojego usposobienia żartobliwego i ironii, z jaką się był zwykł wyrażać o wszystkiem, miał najlepsze serce. Zdawało mu się tylko, że się z niem wydawać nie powinien, że toby oznaczało słabość — krył się więc ze swoją dobrocią, jak drudzy z zepsuciem się tają. Dla Wolskiego miał przyjaźń starszego brata, a czując, że nieopatrzne chłopię potrzebowało opieki, nie wypuszczał go z niej nigdy. Nie narzucał mu się wiedząc, że toby wyegzaltowanego mogło podrażnić — lecz przychodził w porę i miał talent przemawiania do niego tak, że często go Kajo posłuchał. Oba byli rodziców nie majątnych synami. Ojciec Wojtusia przez całe życie profesorował w jednej z wyższych szkół w Poznańskiem, a że najrzadziej profesor coś dzieciom zostawić może oprócz wykształcenia, Wojtuś i jego siostra nie wzięli po rodzicach nic oprócz biblioteki, ruchomości i mało znaczącego kapitaliku, który Wojtuś szwagrowi w całości ustąpił z warunkiem, żeby mu procent od niego opłacał, dopóki medycyny nie skończy. Szwagier trzymał dzierżawę nie wielką od proboszcza w, szło mu nie ciekawie, procent przychodził bardzo nieregularnie. Wojtuś też lubił trochę żyć, stroić się i po cukierniach przesadywać, choć się i uczył — ztąd często talara brakło, ale się tēm tak bardzo nie frasował.

Wyszedłszy od Kajetana, ręce w kieszeniach, zamysłony, garbus pociągnął spojrzawszy na zegarek do cukierni Spargnapaniego, gdzie, jak się zdaje — jeszcze któregoś z towarzyszków spotkać się spodziewał. W istocie, chociaż godzina była spóźniona, w drugim pokoju siedzieli jeszcze znajomi a między innymi par

extraordinaire hr. Ryszard Lwie Serce. Był to kasyer wszystkich towarzyszków w potrzebie, pożyczali u niego zawsze a nie oddawali mu prawie nigdy, co tém mniej mu się czuć dawało, że nazajutrz nigdy nie pamiętał, czy kto co wziął u niego.

Zobaczywszy go siedzącego na kanapce ucieszył się Wojtuś i wprost poszedł doń, odciągając go na stronę.

— Chcesz spełnić dobry uczynek?

— Ale zawsze... odparł Ryszard....

— Potrzebuję nie w swoim interesie, ale dla... kogoś... dla jednego z kolegów iechać koniecznie do Poznania a nie mam grosza przy duszy.

Ryszard chwycił za pugilares. — Wieleż potrzeba? zawołał.

— Byłem miał tam i nazad do Poznania... i żeby w drodze z głodu nie umrzeć.

Ryszard rękę trzymał na pugilaresie.

— No — ale wieleż?

Wojtuś czuprynę tarł.

— Gdybym wiedział, że szwagra zastanę w Poznaniu.

— Rachuj, jakbyś go nie miał zastać, trzydzieści będzie dosyć? he? Mam pieniądze.

— Aż nadto.

Ryszard schylił mu się do ucha. — Ty jedziesz dla Kaja... przysięgam.

— Ha... inoże....

— Wszyscy mówią, że się żeni....

Wojtuś ruszył ramionami.

— Niech go Bóg uchowa!! zawołał.

— Panna jak aniou....! Ryszardowi oczy zaświeciły.... A! jaka piękna!

— A widziałeś hrabia ojca, jaki brzydki? spytał Wojtuś wdychając.

Po chwilce poszeptawszy się rozeszli.

Wojtuś zniknął. Nazajutrz nie było go w Berlinie a towarzysz, który stał z nim razem, mówił, że ma silny katar i lekarz mu przez dni kilka wychodzić zakazał.

Wieczorem nazajutrz pocciwy garbus był już w

Poznaniu, lecz że pora nieco mu się zdała spóźnioną, odłożył do jutra zajęcie, przekąsił po spartańsku i spać się położył. Wielka rezygnacya i chłodna krew dozwalały mu usnąć nawet, gdy miał najsilniejsze zmartwienie.

Nazajutrz wyszedł wcześniej z domu a nie chcąc być widzianym, bo miał tu mnóstwo znajomych — bocznemi uliczkami udał się na Chwaliszew. Tu w małej obrukaniej kamieniczce, której dół szewc, właściciel jęj zajmował, — wszedł już był do sieni i miał ciągnąć dalej na wschody, gdy z bocznych drzwi w skórzanym fartuchu, welnianej czapeczce i ogromnych okularach mosiężnych na koniec nosa spuszczonech, w pantoflach z butów wykrojonych zastąpił mu drogę nie młody mężczyzna wesołej twarzy. Mijając okulary popatrzał nań chwilę i zawołał...

— Pan Jezus przy dziecięciu... Pan Wojciech! a pan tu co robi?

— Tęty... jestem incognito, panie Zarwański... proszę mnie nie nazywać po imieniu.

Szewc wielkimi oczyma nań spojrział.

— Cóż to pana za przygoda spotkała?

I pilno gołemi oczyma okulary obniżywszy patrzył na przybyłą.

— Nic... nie... mam tu interesik...

— Do kogo?

— Wszak pani Wolska tu mieszka?

— A jakże! na drugim piąterku... pocziwa kobieta. Szanowna osoba... tak — tak... Czy nie z sydem jaka bida? he? To zawsze był szalaput...

— Nie — nie — to mój własny interes.

— Ale pan jęj teraz nie znajdziesz, bo chodzi regularnie co dzień na ranną mszę do Tumu.

Szewcowi bardzo się czegoś chciało dowiedzieć a Wojtusiuwi jak najmniej mówić.

Pożegnali się. — Nie bez kozery! mruknął Zarwański do siebie.

Garbus był nierad, że go wyszpiegowano. Poszedł na górę. Pierwsze tylko piąterko i szumnie drukiem nazwane poddasze zawierała kamieniczka. A że między sklepami na dole a wielkimi oknami piętra

było coś w sposobie entre-solu — poddasze liczyć się mogło śmiało za trzecie.

Wschody drewniane, rozchwiane nie były ani wygodne ani piękne... Zwęzając się ku górze, stawały się coraz gorsze... Mieszkanie znał z dawna garbus, bo wdowa od dawna je też zajmowała. Drzwi znalazł zamknięte na klucz i nie prędko się dostukał. Służąca była sama, wyszła do niego ze szczotką na ramieniu.

— A kogo to panu potrzeba?

— Pani Wolska?

— Pani Rejentowa na mszy św. — o tej godzinie zawsze u fary...

— Długoż to potrwa?..

— Bóg święty wiedzieć raczy, może będą supliakcy i Przed oczy...

Ruszyła ramionami. — Albo to ja mogę obrać.

— Moja panno, odezwał się Wojtuś — jestem dawny pani znajomy, przynoszę jej ukłon od syna... dajże mi gdzie spocząć, póki nie nadejdzie...

Z pewnym niedowierzaniem przypatrując się mu, sługa milcząc zaprowadziła go do obszerniejszej izby, podała mu krzesło i odezwała się głosem nakazującym:

— Tylko niech pan nie przewraca, bo się jejmość gniewa za to... a potem powie, że ja...

Wojtuś się rozśmiał i obiecał być grzecznym.

Miał czas przypatrzeć się ciekawemu pokojowi Rejentowej, który mu dawne przypominał lata, bo się w nim nic nie zmieniło od wieku. Czyściuchno tu było ale ubogo. Podłoga wymyta dwoma drożynami z szarego płótna zasłana... w małych oknach firaneczki białe misternie ułożone, przy jednym z nich klatka z dwoma kanarkami... Pod ścianą stolikowy fortepianiczek, jakaś pamiątka nieużywana teraz ale poszanowana jeszcze... Stare kanapki nowymi siatkami pokrywane nie dla oszczędzenia ich, — ale dla osłonięcia ubóstwa. — Na stoliku kilka książek pobożnych w wielkim i systematycznym porządku. Między oknami na półeczce trochę filiżanek

i szkła. Ściany zdobiły spłowiałe rysunekzki, stare daguerotypy i w ramki oprawne włosy, pod którymi stały daty zagadkowe dla obcych, wiele mówiące dla właścicielki: wszystko tu oznaczało skrzętnie ta, one ubóstwo i oszczędność. Wojtuś zamyślił się nad życiem kobiety, którego ostatki doprzędała tu samotnie, między wspomnieniami tego, co znikło, i nadzieją jakiegó przyszłości. ... Czuć było jednak religijny spokój w tym bycie zrezygnowanym i cichym. A on przybył tu — ażeby — ażeby niepokój i postrach przynieść z sobą.

Zawahał się nieco. Miałli powiedzieć wszystko, z czém przybył, lub zamilczeć? przyjechał dla tego umyślnie — a wahał się jeszcze.

Miałoli to pomódz? a jeśliby nie pomogło, po cóż truć kilka godzin spokojnych krótkiego życia biednej kobiecie?

Na ścianie uśmiechał się wizerunek Kajetana w latach młodzieńczych, z odłożonym kołnierzykiem, z puklami włosów na ramionach.

Profesor rysunku zrobił go był dla wdowy, bo chłopczyk był bardzo ładny. Kajetan jeszcze teraz zachował te rysy niemal dziecinne, jak w duszy całą naiwność dziecięcia. Po cóż ze swym chłodnym rozumem miał on się tu wciskać... nie mogąc ręczyć, czy widział jaśniej nim niż Wojtuś sercem?

Im dłużej patrzył... tém niepewność mocniej go dręczyła.

Pod oknem na stolyczku leżała zwinięta porządnie siatka, okulary i książka. Zdało mu się, że widzi Rejentową w białym czepku zadumaną nad robotą o swoim Kaju.

Powiedział sobie, że denuncyacya na nicby się może nie zdała a przyczyniłaby łez i niepokoju.... Słowem, siedząc tak pod piecem podparty, postrzegł dopiero, że może jechał zupełnie na próżno i że powinien był wszystko to wcześniej rozważyć. Ale naprawdę dopiero widok tego pokoju — wprowadził go w to zwątpienie.

— Na drugich gderzę, rzekł w duchu — a jakie téż ze mnie samego dziecko! Dopiero tu zebrało mi

się na rozwałę!! Zdaje mi się, że Rejentowej nie nie pcwiem, podróż wezmę na własnego głupstwa rachunek i wrócę jak niepyszny ze wstydem.

Cóżby pomogło oznajmić jęj wcześnięj o tém, co się być zdaje nieuchronném? Maż ona tyle siły i przewagi nad synem, aby powstrzymać go mogła? Co znaczy najboleśniejszy wyraz matki przy jedném spojrzeniu kochanki...? Życie ma ostateczności obrzydliwe i straszne... rzeczywistość najpoetyczniejsza może być nielitościwie, okrutnie, zbojecko ohydną!! To matka, tamto obca... tu obowiązki, tam fantazya... ale to przeszłość a tamto obecność i życie...

Marzył tak garbus, gdy w drugim pokoju usłyszał szelest i szepty... a potém prędkim wchodzącą krokiem ujrzał Rejentową, ubraną bardzo skromnie ale zarazem starannie... Rejentową, która doń obie wyciągała ręce uśmiechając się radośnie.

Pani Rejentowa nie była bardzo starą, miała lat pięćdziesiąt kilka, ale znać na nięj było chorobę, znużenie i smutek wdowieństwa. Twarz jęj wyzółkła i tego marszczona typem przypominała Kajetana, lecz życie nie rozwinęło jęj do takiego blasku i siły. Zdało się, że w połowie niedokończone rysy tworząc się stężały i zamarły. Kajetan był podobny do nięj, ale rozkwitły i rozwinięty. W ustach miała uśmiech łagodny, na czole wypogodzoném rezygnacyą chrześciańską. Mimo wieku zachowała coś w sobie z panieńskiej skromności i obawy.

— Jakże się pan masz, panie Wojciechu, zawołała drżącym od radości głosem, — a! jakieżes dobry, zacny, żeś tęż o mnie nie zapomniał. Cóż mi o Kaju przywozisz? List? nieprawda?

— A! nie! wyjechałem nagle, — potrzebowałem się widzieć ze szwagrem. Chwilowo tylko na lekcyi Kaja widziałem, prosił mnie, bym rączki pani ucałował...

— Ale zdrów?...

— Zdrowiuteńki...

— Jakże mu idzie?

— Doskonale... wybornie...

Wdowa usiadła i przysunęła krzesło blisko siebie Wojtusiowi.

— A! żeby pan wiedział — odezwała się wzdychając — jak mnie nie raz niepokój o niego opanowywa... od czasu, jak za tym Niemcem wpadł do wody, zawsze mi się Bóg, wie co roi. Zdaje mi się, że mam przeczucie, że widzę niebezpieczeństwo... trwożę się, modłę i nie łatwo pozbyć mogę tych wrażeń.

Złożyła ręce na kolanach i wpatrując się w Wojtusia siedziała milcząca.

— Kajo chwala Bogu zdrów... nauka idzie do brze...

— Czy ma on tam wszystko, co mu potrzeba? bo nigdy o nic nie poprosił! Pracując tak przynajmniejby na niczym zbywać mu nie powinno, a tu często tak trudno... dostarczyć.

Zarumieniła się oczy spuszczaając.

— A! proszę pani, odezwał się wesoło Wojtuś — my młodzi nie wiele potrzebujemy, a Kajo młodszy i wytrzymałszy odemnie. Kiedyż człowiek ma więcej sił do znoszenia wszystkiego, jeśli nie za młodu?

— Cóż więcej! co więcej? mów mi pan o nim... jak wygląda?

— Bardzo dobrze... Radbym tylko może, ażeby mniej chodził do tych Niemców...

— Dla czego? spytała matka.

— A! widzi pani, oni go trochę bałamucają swoją wdzięcznością, a to są czcze formy, bo oprócz grzeczności na nic tam rachować nie można.

— Dobra i grzeczność ich! przerwała Rejentowa, zawsze Kajo zyskał choć dom przyjazny, za co Bogu dziękuje.

Wojtuś się zmusił do śmiechu...

— Ale bo tam ładna panna jest! dodał jakby od niechcenia.

Wdowa się mocno zarumieniła — jakby nie miała marszczek i lat pięćdziesięciu.

— Bardzo ładna panna... powtórzył Wojtuś.

— Ależ to Niemka — szepnęła nieśmiało matka... i to wielkie państwo...

— Ale młodość — pani dobrodziejko!

Szybko spojrzała mu w oczy rejentowa, jakby z nich chciała wyczytać więcej, odgadnąć, niż mógł jęj powiedzieć słowami. . . .

— Kajo ma rozum... szepnęła po cichu... on przecie wie, że to do niczego nie prowadzi.

— Ja sędzę, bo i Niemka i luterka. . .

— Gdzieżby o czém podobném nawet pomyśleć można. . . Kajetan dziecko, ani domu ani łomu. . . my biedni. . . a sumienia ma i uczciwości tyle, iżby nie chciał bałamucić. . .

Ciągle mówiąc to przerywanemi słowy patrzyła na Wojtusia. Nagle jakby chciała przerwać rozmowę i szukała pozoru, wstała i zawołała zmięszana:

— Panbyś się choć kawy napił. . . a ja nawet nie proszę! o mój Boże!

Wojtusowi kawy się wcale nie chciało, ale pragnął dłuższej rozmowy, a do nięj ona była wybornym pozorem. . . Nie wyrzekł się więc bardzo.

— Dosiu! Dosiu! zaczęła wołać Rejentowa.. wszak śmietanka jest; prędjęj! podaj machinkę. . . i sucharki. . . a żywo. . .

Usiedli tedy znowu.

— Nie powiem, żebyś mnie pan nastraszył. . . zaczęła wdowa — mam ufność w Bogu, że moje niegodne modlitwy wyproszą dla mego Kaja opiekę. . . lecz — jeśli pan co wiesz. . . niech mi pan powie, proszę pana. . .

Chwilkę milczała a Wojtuś nie miał siły i odwagi do zwierzeń.

— Kajo jest bardzo wrażliwy, ale o ile ja go znam — wrażenia u niego łatwo przechodzą.

— Otóż i ja się téj jego wrażliwości lękam, począł Wojtuś, — panna, choć Niemka, ale rzeczywiście bardzo piękna, wymowna, odczytana i rozumna a podobno ma słabostkę do Kajetana.

Rejentowa załamała ręce, znowu się zarumieniwszy.

— O mój Boże! zawołała, ja to pojmuje, ocalił życie jęj bratu. . . i — choć mój syn — trudno mu nie przyznać, że chłopak ładny. . . że podobać się może. Ci ludzie gotowi go posądzić. . . Ale tam

przecie nie ma nic? ... podchwyciła żywo. Mów mi pan otwarcie.

— Proszę pani dobrodziejki — ja nie wiem... Kajetan mi się tak dalece nie zwierza, miarkuję tylko z niego, że panna trochę zajęty a ona nim...

— Niemka! lutek! a to dzieciak! dwudziestego pierwszego roku nie skończył... ~~przerwała~~ lamentując Rejentowa, której twarz pałać zaczynała — panna się to chyba marzy. On o nauce powinien myśleć jeszcze.

— Niech pani tak tego do serca nie bierze, mimowolnie się wygadałem — rzekł spokojnie Wojtuś. Pewnie tam nie ma tak dalece nic — ale w liście niech mu pani żartobliwie napomknie, żeby się strzegł siideł niemieckich...

Rejentowa sparła na rękę głowę i zamyśliła się, gdy do przedpokoju zadzwoniono. Poczęła się przysłuchiwać, spojrzała na zegar.

— To chyba poczta? zawołała z cicha. W tej-że chwili Dosia weszła krokiem szybkim, w ręku do góry podniesiony trzymając list.

— Od Kaja! zawołała porywając go żywo matka — pozwolisz pan! — chwyciła za okulary... Zapomniała już zupełnie o gościu, rozerwała kopertę, list otwarła.

Półarkusz zapisany był na wszystkie strony. — Wojtuś spoglądając na twarz matki, z niej list mógł wyczytać i prawie jego się treści domysleć. Z początku twarz ta promieniała radością, uśmiechały się usta, rozkoszowała się każdym słowem ukochanego dziecięcia... potem jakby mgła przesunęła się po licu, zaduma okryła twarz, ścisnęły się usta, ręce drzeć zaczęły... rumieniec schodził, błądź okrywała policzki, czoło, wargi. Na chwilę wstrzymała czytanie, odczuwała ciężko, lecz oczy się oderwać od listu nie mogły... Coraz silniej drgały ręce. Z widocznym pośpiechem poczęła gonić oczyma wiersze, odwróciła kartę... wyprostowała się, czoło zmarszczyło, oczy zamknęły, list i ręce opadły na kolana — z pod powiek puściły się dwa łez strumienie. Nie patrząc na Woj-

tusia zasłoniła dłońmi twarz i jęknęła... list zsunął się na ziemię.

Łatwo się było domysleć, że Kajo musiał jęć wyznać wszystko...

Nie miała siły ani spytać ani się użalić ani przemówić. Siedziała jak osłupiała. Służąca, która znać podpatrzyła ją z za drzwi i znała swą panią, przybiegła żywo ze szklanką wody.

— Pani, pani, niech się pani napije... na rany pańskie — co pani jest... Rejentowa wyciągnęła rękę po szklankę i znaleźć jęć nie mogła długo, poniosła do ust i zniżywszy je ledwie — jęknęła głośno. Załamała ręce i spojrzała z za łez na siedzącego Wojtusia.

— O! jakim pan byłeś nieszczęśliwym prorokiem — odezwiała się głosem, który ledwie był dosłyszany.

— Cóż się stało? przerwał Wojtuś wstając — co Kajetan pisze... może czas radzić jeszcze...

— Ja nic nie wiem... czytaj pan! Radź, ratuj, głowę tracę...

Garbus podjąwszy list z ziemi poszedł z nim do okna. Nie potrzebował czytać całego, z kilku słów spostrzegł, że był pisany w chwili, gdy razem z panną Wilhelminą von Riebe mieli siadać na kolęj i uciekać. Dokąd? Kajetan nie pisał. Miał o tem donieść później, lękał się, ażeby list nie był czytany na pocztę i nie posłużył za wskazówkę dla ścigających...

— Wszelka rada i wymówki byłyby już dziś za późne, odezwał się po namyśle. Dopóki można było zapobiedz temu, należało czynić, co w mocy ludzkiej, dziś należy się poddać przeznaczeniu. Nie będę krył przed panią, że widząc już, na co się zanosi, nie mówiąc nic Kajetanowi, przyjechałem tu umyślnie w tym celu, ażeby pani powiedzieć, czego się lękam, i przedsięwziąć jakieś środki. Kajetan na wyjeźdnem zapewniał mnie, iż tak prędko o niczem stanowczem nie myśli, znać albo sam się tego nie spodziewał... lub chciał tylko mnie się pozbyć.

Nie pochwalam wcale postępków jego, otwarcie byłem przeciwny — ale od téj chwili gdy są razem, gdy ich nie inaczej tylko jako żonę i męża uważać muszę,

patrzę na to z innéj strony. Nie jest to znowu tak wielkie nieszczęście.

Chciał pocieszyć wdowę, która zanosila się cd płaczu.

— Niemka i luterka... powtarzała.

— Rodzice bardzo majątni... dorzucił Wojtuś. Rzuciła ręką.

Nie było już co mówić więcej, zdawało się garbusowi, iż najlepiej uczyni, gdy ją samą zostawi, aby się swobodnie mogła wypłakać i pomodlić. Wiedział od niéj, że szwagier jego był w mieście, miał więc gdzie parę godzin przepędzić.

— Pani dobrodziejko — odezwał się, biorąc za kapelusz — ja dziś wieczorem powracać muszę. Przyjdę panią pożegnać jeszcze... teraz nie chcę nadaremni słowy jéj nużyć.

Rejentowa płacząca ciągle podała mu rękę... W progu z fartuchem na ustach przestraszona, zaciekawiona stała sługa. Wojtuś wysunął się przybity.

Umysł pocziwego garbusa we wszystkich wypadkach ze ścisłą postępował logiką. Ta teorya, którą niegdyś wykladał Kajetanowi w skróceniu, elużyła mu zawsze i we wszelkich okolicznościach. Był tego zdania, że należy z energią działać przeciwko złemu, którego unikać można — ale gdy złe jest nieuchronne, poddać mu się i szukać ulgi lub siły do oddziaływania. Wyszedłszy więc co prędzej mimo szewca w okularach, który go nadaremnie wstrzymać usiłował — powlókł się ku miastu, rozmyślając nad losem Kajetana. Według niego pierworodny grzech niemieckiego urodzenia niczém się zmyć nie dawał — ale — ale można było starać się go zmniejszyć, usuwając Wolskich od niemieckiego wpływu... Kajetan był pocziwy, ale dosyć miękki, był zakochany, musiał więc żonie stać się powolnym — jeśliby więc państwo radzcowstwo von Riebe wyparli się córki i nie chcieli znać ani widzieć zięcia — byłoby tylko do zniesienia ubóstwo a nie wynarodowienie i sprzeniewierzenie się obowiązkom.

Lecz któż mógł odgadnąć, co się stanie? — Zo-

baczmy, rzekł w duchu — zawsze mi jednak żal biednego Kaja... czuję, że przepadnie....

Utinam sim falsus vates!

Szwagra znalazłszy w mieście i dosyć nieprzyjemnie go zdziwiwszy przytomnością swoją, która była admonicą o procent zaległy, spędził z nim dzień garbus, usiłując mu dowieść, że nie ma o czém do Berlina powracać. Ułożyły się interesa przy obiedzie, dzierzawca westchnął nad nieszczęśliwym składem okoliczności, który mu kochanego braciszka tak niespodzianie nastreczył, wypili razem butelkę wina, uściskali się serdecznie i rozstali. Wojtuś pobiegł na Chwaliszewo do wdowy.

Na dole zastał znowu pana Zarwańskiego z okularami na samym już końcu nosa... Zdawał się nań oczekiwąć i pochwycił.

— Co tam takiego u Rejentowój na górze, zawołał zastępując mu drogę — nie mogę się dowiedzieć.. posyłałi po cyrulika, żeby krew jój puścić... Od rana jak we młynie, a ja jak w rogu... Możeż to być, żebym ja nie wiedział, co się z moją lokatorką dzieje? Postyliony latają, pan przyjechałeś... Uchowaj Chryste Jezu, czy nie synowi się co stało...

To w lewo to w prawo zapierając sobą drogę, szwec natarczywie domagał się odpowiedzi.

— Ale cóż jest? co jest? Z sekretu przecie nie wydam! Czy do jakiego spisku go wciągnęli? Co? czy chory? Niechże mi pan powie choć słowo!

— Słuj pan spokojnie, panie Zarwański, zawołał zniecierpliwiony garbus — nic się nie stało. Niemka się w nim zakochała i tyle tego...

Szwec splunął i ustąpił.

— Było czego lamentować... jak sobie posłała tak się wyśpi...

Machnął ręką i wszedł do izby czeladnej a Wojtek pospieszył na górę.

Rejentowa siedziała w fotelu z ręką obwiązaną, z głową chustkami okrytą. Połyszawszy drzwi odgadła przyjście garbusa i słabym głosem zaczęła go wzywać do siebie...

Firanki były zapuszczone... Dosia stała przy pani cała we łzach...

— Niechże pani tak do serca tego nie bierze... nie się jeszcze może nie stało. Proszę Pana Boga, aby ich złapali, nim uciekną... I toby być mogło... Nie ma się jeszcze martwić czém, bo nie wiemy...

— A! jakże nie wiemy — przerwała z załamanemi rękami Rejentowa... na stoliku leży drugi list.. czytaj pan...

Odwrocił się Wojtuś i spostrzegł na papierze biurowym długie pismo po niemiecku. U góry drukowana firma: Commerzienrath von Riebe. Commissions-, Speditions- und Incasso-Geschäft etc...

Nie widać było, ażeby piszącemu ojcu drżała ręka... pismo było płynne i czytelne, zredagowane ostro i nielitościwie, ze ścisłością notaryalną.

Radzca komercyjny oznajmiał pani Wolskiej, iż syn jój stał się winnym porwania panny, wprowadzie pełnoletniej, ale zostającej pod władzą rodziców... że dotknięci tém do żywego oboje, postanowili córkę wydziedziczyć i znać ani wiedzieć o niej nie chcą.

Oznajmując więc pani Wolskiej o tém, by jój syn ani progu ich domu przestąpić się nie ważył, ani się spodziewał zmiany tego postanowienia, które już jest nieodwołalne i na tymże dniu aktem notaryalnym w sądzie prezentowanym a przez oboje państwa podpisanym stwierdzoném zostało.

Przeczytawszy list Wojtuś się trochę zamyślił.

— Powinszować pani należy tego — rzekł spokojnie. — Kajetan dokończy wkrótce medycyny i nie potrzebuje pomocy tych rodziców tak czułych — a raz na zawsze z familią zerwano i nie już z nimi do czynienia mieć nie będzie...

Matka płakała... — o niewysłowioném nieszczęściu swém, które jój się co chwila straszniejszém wydawało, mówić nie mogła. Wszystko mówiły jój łzy milczące... Wojtuś przez pół godziny siedząc przy niej usiłował pocieszyć, przynieść ulgę jakąś, wystawić wszystko w jaśniejszém świetle — ale na bla-

děj twarzy Rejentowėj nie znać było skutku jego wymowy.

Płacz nie ustawał.

Chwilami wargi coś szeptały, powtarzając dwa słowa, które się wiły po głowie i opasywały serce.

Doktor, którego Dosia z własnego natchnienia wezwwała, nadszedł. Był to dawny męza przyjaciel, lekarz nie osobiwszy ale człowiek serdeczny.

Tego zostawiwszy przy niej... Wojtuś wysunął się już mrokiem prosto dążąc na kolój, by się dostać co prędzej do Berlina.

Rok od tego czasu upłynął, gdy pocziwy przyjaciel Wolskiego wrócił smutny do Berlina, usiłując zapomnieć o wszystkiém, na nic poradzić już nie mogąc. Przyjaźń swą dla Kajetana opłacił przykrém nader wrażeniem tego wypadku. Wykradzenie panny Wilhelminy, jak to tam nazywano, chociaż najdobrowoluiėj w świecie na oznaczoną godzinę z torbą podróżną przybyła na kolój, na której dworcu Kajetan czekał na nią — wykradzenie to dało powód do najboleśniejzych narzekań na wszystkich Polaków i potwarzy. Hänschen poządający garbusa, że pomagał Wolskiemu, chciał go wyzwać i zarębać — i ledwie mu się złożyć mógł dowodami, że w czasie wypadku w mieście go od dwudziestu czterech godzin nie było. Richterowa potem wpadła nań wyrzucając mu także, iż zgubił jēj faworyta... wiedziała bowiem, że panna była wydziedziczona.

Listy, które do rodziców pisała Wilhelmina, wynogły tylko na nich, że zezwolenie dali potrzebne do ślubu, ale rozporządzeń majątkowych nie odwołał. Hänschen, który był tak przywiązany do siostry, wyrzucał jēj niewdzięczność i wyznawał ślepe dla rodzica poświęcenstwo.

Napróżno Wojtuś usiłował się dowiedzieć o Wolskim. Spodziewał się listu od niego, ale długo nie było ani słowa. Z Pcznania doszła go smutna wiadomość, że biedna Rejentowa umarła w parę tygodni, że syn przybył sam, już po jēj zgonie na to tylko, aby

pójść za ubogą jej trumną. Sprzedano szczupłą pozostałość, ściągnął mały kapitałik, jaki odziedziczył po niej, i zniknął. Nie rychło odebrał nareszcie pismo od niego Wojtuś z jakiegoś nieznanego stacyi kolei żelaznej pisane lub na niej do skrzynki wrzucone — smutne, dziwne, niezrozumiałe. Trudno w nim było poznać tego miłego Kaja, którego wszyscy tak kochali...

Od pierwszych słów zapewniał przyjaciela, że był szczęśliwy nad wyraz wszelki, że w niebiosach tylko raj taki mógł marzyć, że Helma była aniełem i ideałem niewiaśty — ale list tchnął smutkiem, tęsknicą — bólem — który z każdego wyrazu wytryskał.

Szczegółów list nie dawał żadnych oprócz tego, że Kajo kończył medycynę na jednym z uniwersytetów niemieckich i że spodziewał się otrzymać dyplom z tytułem medendi... i do pełnienia tego wszystkiego, o czém Molière wspomina — dobić się samostannego, niezależnego stanowiska. Gdzie? jak? o tém list nie mówił wcale... Wojtuś, który nawykł był ze wszystkiego wnioskować, z papieru, kope'ty, listu nie frankowanego jakby przez zapomnienie, z samego nawet charakteru i sposobu pisania domyślał się, że państwo Wolscy nie musieli być w najświetniejszym położeniu...

Nieraz przypomniawszy sobie wesole chłopię — Wojtuś westchnął nad jego losem i powtarzał mimowoli: — Stracony dla nas!

W tym roku on nareszcie skończył medycynę... patent był napisany, szło tylko o zapłacenie kancelaryjnych kosztów, o pożegnanie się z przyjaciółmi pozostającymi jeszcze w uniwersytecie, o zapakowanie tłumoczków, które ze wszystkiemi eleganckami Wojtusia razem wzięte nie były bardzo ciężkie ani ogromne. Czekał na list rekomendowany od szwagra... z niecierliwością wielką... potem na kolej, w Poznanię i czyżby też w całym Księstwie kąta nie znalazł do praktyki??

I ora była letnia, czas piękny, roboty skończone, w mieście skwarno i pusto... Wojtuś wzięwszy na siebie surdut, który był arcydziełem krawca, bo garb

jego sprowadzał do niedostrzeżonej prawie ułomności jakby tylko podwyższenia jednego ramienia — wyszczotkowawszy włosy aż do jedwabnego połysku... włosy cylinder na bakier nieco i duńskie rękawiczki, z przyjemnością w zwierciadle się sobie przyglądał.

Bezsronne zastanowienie się nad fizygnomią i postacią widzianą z przodu — przekonywało go, że był prawie przystojnym, że wyrazowi twarzy nie zbywało na dowcipie, który jako gratia statusu przyśługuje wszystkim garbatym — że przyszłość dłań mogła nie być огоłoconą z kwiatów, pączków, wianuszków i słodyczy.

Zatopionym był w tém odgadywaniu własnej przyszłości — gdy w drzwi puknięto. — A! gdybyś to był ty — z tęsknicą oczekiwany briefträgerzel zawołał w duchu, zwracając się ku drzwiom twarzą.

Jakież było zdziwienie jego, gdy miasto tego posła trosków i pociechy ze skózaną torbeczką ujrzał w progu kogoś... niezmiernie podobnego do Wołskiego. Na pierwszy rzut oka nie był pewnym, czy to przyjaciel, widmo jego czy postać przypominająca rysy Kajetana, lecz dziwnie i okrutnie zmienione.

Stał przed nim ktoś blady, zmęczony, z oczyma wpadłemi, z uśmiechem na ustach wymuszonym, z nieco obłąkanyin wzrokiem... pomieszany, zdający się wątpić, jak będzie przyjętym.

Wojtuś z okrzykiem rzucił mu się na szyję.

— A! przecież, zawołał — przypomniałeś sobie, że ja żyję i że masz w sercu mém miejsce, którego nikt zająć nie może... Jak się masz? co tu robisz? Żle wyglądasz!

Kajo dłonią białą powłókł po twarzy, jakby z niej co chciał zetrzeć...

Siedli... — Tyś miał gdzieś wyjść?

— Na przechadzkę — chódźmy razem po staremu do Thiergartenu.

Wołski zerwał się z krzesła. Garbus dopiero teraz postrzegł, że przyjaciel nie bardzo był właściwie do przechadzki ubrany. Chociaż skwar był dojmujący, ciężki wytarty surdut miał na sobie. Reszta stroju dowodziła albo wielkiego zaniedbania lub niedostatku...

Wolski, który był dawniej zawsze przy swém ubóstwie czysto i ze smakiem przyodziany, miał na sobie jakieś suknie jakby z tandety wzięte — opylone... bieliznę zbrukaną... ręce zaniedbane... włosy ostrzyżone niezgrabnie. Kapelusz słonkowy pogięty trzymał w ręku.... Twarz wydawała się zwiedłą i zatarzałą, czoło parę fałdów przerzynało — w ruchach — w postawie nieznierne czuć było znużenie. Nic nie mogło ujść baczności Wojtusia, postrzegł zaraz, że nie miał nawet zegarka. Buty na nogach stare były i szkaradne....

Podobniejszym był do tych armer Reischer, którzy po miastach zwykli obchodzić domy, niż do przyszłego doktora medycyny i szczęśliwego małżonka ślicznej Wilhelminy.

Litość przejęła Wojtusia.

— Aleś ty może zmęczony podróżą — zawołał — tybyś u mnie tu choć w gorącu spocząć wolał?

— A! nie... wszystko jedno — pójdziemy, rzekł Wolski widocznie się wysilając na żywiość i wesołość, której mu brakło. Usta się uśmiechały, ale czoło i oczy okrywał głęboki smutek. — Pójdziemy! chodźmy — jestem stęskniony za tobą, za wami... za mową naszą... za wszystkiemi dawniemi. Młodość to taka miła, dobra i słodka rzecz...

— Aleś ty jój przecie nie stracił! — podchwycił Wojtuś.

— A! tak — ale — cóż chcesz? — jestem żonaty... jestem ojcem... mam żonę chorą...

Pociągnął znowu ręką po twarzy.

— Chorą? zawołał Wojtuś.

— To jest — nie zdrową — nie ma nic niebezpiecznego... Karmi małego Fryca...

— Jakto Fryca? krzyknął Wojtuś — twój syn ma imię Fryc!

— A! proszę cię! — imię, to wszystko jedno... fantazyja Helmy, której bohaterem jest Fryderyk W...

Wojtuś osłupiał i zamilkł... nie śmiał mówić nic o tém więcej. Zrozumiał, że biedny Kajo był pod pantoflem żony i że wkrótce sam zapewne zacznie się

przekonywać o genialności i bohaterstwie wielkiego Fryderyka.

Wyszli więc razem do Thiergartenu.

— A! wiesz — zawołał biorąc go pod rękę Wolski, jakby zapomniawszy się — zdaje mi się, że się po długim śnie ciężkim przebudził znowu — jesteśmy razem, mówimy tym językiem, który mi matkę przypomina.

Wspomnienie to zamknęło mu na chwilę usta — spuścił głowę.

— Czy masz co do czynienia w Berlinie? przerwał garbus.

— Papiery do wyjęcia z kancelaryi uniwersytetu, rzekł Wolski, — nareszcie i ja spodziewam się zdać egzamin i nowe rozpocząć życie.

Głos zniżył — O! nie będę ćmił przed tobą, przebyliśny ciężką próbę... Rok... na przemiany w dostatku i o głodzie... Było trochę pieniędzy po matce, chciałem Helmie osłodzić to gorzkie życie — nie na długo starczyło... potem długi...

— Ależ rodzina? nie udawaliście się do niej?

— Ja, nie — Helma pisała do matki i brata...

Zmieszał się nieco...

— Jakto! bez skutku...?

— Tak — bez skutku... ale ja nie mam się na to skarżyć prawa... ona więcej boleje... Matka wspomogła ją w sekrecie małym datkiem, ale tam pieniądze są w ręku ojca, ona nie ma nic. Hänschen sam wiele potrzebuje... Westchnął znowu. — Ciężkie było życie, choroba żony... przyjście na świat dziecięcia... ja także jakoś byłem nie zdrow... Nauka z takim gospodarstwem ciężko się godzi!! Jakże się tu uczyć, gdy biedna żona jęczy a dziecię płacze... a mleka nie ma za co kupić a o obiad na kredyt prosić trzeba i grubiańskie cierpieć słowa...

Zawszem sobie wyobrażał, że Niemcy dobre serce mają, ale oni nie mają serca... wyjąwszy Helmę...

Helma jest aniołem... Nigdy skargi z ust jej nie usłyszałem, uśmiechała mi się spokojnie. Kocham ją do szaleństwa...

Mówił to gorączkowo, tonem osobliwszym, rzucając obłąkanemi oczyma do koła.

Wojtuś słuchał z zajęciem nadzwyczajnem w milczeniu, nie przerywając mu i usiłując odgadnąć pod tém malowaniem sztuczném kryjącą się prawdę. — Nie widać było i nie czuć w Wolskim tego szczęścia, którem się chlubił.

— Dokądże myślicie się udać potem? zapytał po chwili — zapewne tam, gdzie ty masz znajomych i i stósunki — w Poznańskie?

— A! nie, odpowiedział Wolski. Helma tyle poświęciła dla mnie, że i ja przecież coś dla niej muszę uczynić. Onaby nie mogła wyżyć wśród obcych w naszym kraju. Znasz nasze towarzystwo... jakby ją tam przyjęto? Nie chciałbym, ażeby cierpiała osamotniona i lekceważona. — Poświęcę się raczej sam i szukać będę kąta w Niemczech.

— Jest to bardzo pięknem z twój strony — odezwał się Wojtuś — ale i ona i tybys to zrozumieć powinien, że masz obowiązki względem własnego kraju... Jest nas mało, dezertować nam nie wolno — nawet dla tak szlachetnych pobudek. Wśród Niemców przy żonie mimowolnie będziesz musiał zapomnieć o sobie i o narodowości, której jesteś jednym ze spadkobierców...

— Wszystko to bardzo piękne — odezwał się Wolski — ale widzisz położenie moje — nasze — nie mogę postąpić inaczej. Ciężko mi, lecz muszę spełnić obowiązek. Ta kobieta wyrzekła się dla mnie dostatków, rodziny, społeczeństwa.

Przytém mam trochę nadziei na jej dalekich krewnych... powiuniby nam dopomódz.

— Zdaje mi się, że się ludzisz — odparł Wojtuś, zbliżka dosyć przypatrywałem się im — nie są skory do pomocy....

Ten węzeł chrześcijański, który naszą wiązał społeczność w jedną całość jako braci w Chrystusie, tu nie istnieje. Nowa spółka zapisała na swój chorągwi: *Help yourself* — pomagaj sam sobie, bo ci nikt nie pomoże. Społeczeństwo powróciło do pierwotnego stanu walki o byt... każdy na swoją rękę. Kraj nasiedlony Niem-

cam i jest przeludniony, więcéj kandydatów do chleba niż pracy i bochenków. U nas znalazłbyś litościwie serca bratnie choć rzadkie... tam...

Wolski zamyślony patrzył w ziemię, nie odpowiadając nic — a po chwili rzekł jakby chcąc przerwać rozmowę polskie: — Jakoś to będzie!

Właśnie w téj przerwie rozmowy spotkali Ryszarda, który się do nich przyłączył i ochoczo powitał dawnego towarzysza, dalej nieco nawinął się jeszcze jeden z kolegów. Nie dotykając więc drażliwych przedmiotów, mówiąc o rzeczach dawnych, po młodzieńczemu żartując, poszli zaproszeni przez hrabiego na podwieczorek do restauracyi. Znaleźli ją do zbytku przepelnioną, osób było mnóstwo i w przytykającym do niej ogródku i w skwarnych pokojach i pod werandą. Przy kuflach piwa hałaśliwe grono Turyngów wykrzykiwało po za nimi:

— Colossal!

— Famos! — Nobell

Nie oglądając się po samym głosie poznał Wolski Hänschena, który przewodził u drugiego stolika. Zobaczywszy szwagra, przyłożył lornetkę do oka. — Zmarszczył czoło, popatrzył nań długo, zdawał się wahać nieco, ale ani go przyszedł przywitać ani okazał chęć zbliżenia się ku niemu. Poszeptał coś z towarzyszami i wkrótce się wyniósł do drugiej knajpy, unikając spotkania. Wolski téż nie miał ochoty przypominać się teraz ocalonemu.

Wszystkich towarzyszy uderzyła smutna i wynędzniała postawa Wolskiego; rozweselić go nawet było trudno, a wspomnienia lepszych czasów zdawały się na nim czynić bolesne wrażenie...

Ryszard odciągnął na stronę garbusa.

— Wiesz co, rzekł — jak na szczęśliwego czuowika ten Wolski wygląda bardzo biednie... Czyś ty z nim mówiu?

— Trochę!

— Co mu jest? Wszak go rodzice żony opuścili?

— Zupelnie.

— Może jest w wielkiej potrzebie...

— Ja sędzę, żona, dziecko. . .

— A! a! już! zawołał Ryszard . . . tybyś powinien jako bliżej znajomy z nim zmusić go do przyjęcia — pożyczki, żeby guodem nie marli.

— Ale kochany hrabio — cóż ja mu pożyczę, sam nic nie mając?

— A to ja dam! ja dam, ale nie powinien wiedzieć, że to odemnie. . . Mów mu, że od ciebie. Taby mu nadto ciężło. . .

Pocziwy Ryszard oglądając się wsunął kilka frydrychsdorów w rękę garbusa i zaczął mówić o czém inném, bardzo zręcznie pokrywając cel swój rozmowy.

Wieczorem już późnym wrócili do miasta. U brandenburskich wrót rozeszli się towarzysze i garbus sam z Wolskim zostawszy zmusił go zręcznie do przyjęcia małej pomocy, którą tamten ze łzami i rozrzewnieniem długo wzbraiał się wziąć a nareszcie nie kryjąc, jak mu to przychodziło w porę — uradowany zgodził się zatrzymać.

Nazajutrz przybył jeszcze raz podziękować i pożegnać się Wolski.

— Mniej więcej — rzekł garbus, zatrzymując jego rękę, gdzie cię szukać — co myślisz? dokąd się chcesz udać?

— Szczerze ci mówię — nie wiem — odparł Wolski. Wilhelmina ma rodzinę matki w Saksonii, być może, iż się tam udamy, być może gdzieindziej, pierwsze najbiedniejsze miejsce, jakie mi się trafi, przyjąć jestem zmuszony — jeść potrzeba. . . . Ja przy-marłbym i głodem — ale oni . . . ale ona. . . .

Uśmiechnął się smutnie.

— Cóż? walka o byt! los to zwykły ludzi, którzy wzięty z rodziną i społeczeństwem zerwać byli zmuszeni. Idą sami i przebijają się muszą przez tłumy. To los człowieka.

Niepokój mnie dręczy. . . . zostawiłem Helnę samą, z jedną służką. . . . ja zwykle zastępowałem drugą.

Ona wychodzić nie może. . . . Pieniędzy było mało, kredyt zachwiany. . . . Muszę spieszyć do domu.

Łzami zaczęły oczy Wolskiemu, gdy się żegnał.

Wojtuś udawał wesołego, ale się wściekał na radcę komercyjnego i jego rodzinę, — ścisnęli sobie dłonie.

— Do widzenia!!

Gdzie i kiedy, żaden się z nich nie domyślał. . . .

Wojtuś wydobywszy się ze stolicy nad Spreą, której cierpieć nie mógł, choć miał czas się z nią o-swoić i do niej przywyknąć — wrócił natychmiast do Księstwa. . . . Nie żądając od razu wiele, osiedlił się w Poznaniu czekając, „by mógł sobie zarobić na wziętość. Czuł się tu potrzebnym. Sił nigdy nie było za-nadto do wálki, a nowy zwrot systemu i postępowania zmieniając jój charakter, czyniąc ją zażartszą, wymagał nowych zapaśników. Wojtuś ani chwili się nie wahał w wyborze stanowiska; mógł sobie obrać wygodne i spokojne, opasując się neutralnością i nie mieszając do niczego; wybrał rolę czynną, bo ta i z jego charakterem lepiej się zgadzała i była jakby dalszym ciągiem tradycji, przekazanej mu przez zuchego ojca. Życie więc musiało być ofiarne żołnierza, którego żołdem spokój sumienia i poczucie z dopełnionego obowiązku — na własnym koszcie walczącego dla idei i wiary.

Wojtusowi szło wcale nie źle, mimo to zyskał sobie szacunek, poparcie, zajął stanowisko w szeregu prostego żołnierza nie w ostatniej kolumnie.

Ile razy wypadało mu z obowiązku jako lekarzowi ubogich pójść na Chwaliszewo a przechodzić mimo kamieniczki zajmowanej niegdyś przez Rejentową, zawsze mu na pamięć przychodziła ostatnia bytność u niej i ten biedny Kajo, który jakby w wodę wpadł, wcale o sobie nie dawał znać i dość długo żadał o nim nie było wiadomości.

— Co się z nim też stało? mówił w duszy Wojtuś — zach iewa mi się choćby przez ogłoszenie w dzienniku huknąć do niego — lecz któż wie, jakie on czyta i czy ma czas jakiegokolwiek dzienniki czytywać?

Tak lat kilka upłynęło. Wojtuś dorobił się pracą przynajmniej tyle, że się o swój chleb powszedni nie potrzebował troszczyć. Całym nieszczęściem dlań było, że miał serce czułe i garb na plecach. Zakochiwał się

co roku w jakiejś pięknej pannie i musiał w pomoc przyzywać rozum, ażeby nie puścić się w nedoręczne konkury a nie narzucić biednej jakiej dziewczynie, którąby — jak mu się zdawało, uczynił nieszczęśliwą.

Wprawdzie teraz mając nadwornego krawca, który z jego plecami bliższą zabrał znajomość, doprowadził z pomocą waty i pikowania umiejętnego garb swój do minimum, zawsze jednak czuł go na plecach i na sumieniu. Kochać się, ożenić, otoczyć rodziną było jego najgorętszym życzeniem — rozum stawał na drodze i nie dopuszczał.

— Życie — mówił sobie — nie jest znowu tak bardzo długie, w ciężkiej pracy upływa ono szybko — a wolę umierać nie doznawszy należnego mi trochę szczęścia... ale nie męcząc się cudzém cierpieniem, którebym miał na mojej duszy.

Gdy wojna o Sleszwig wybuchła i lekarzy dla wojska potrzebowano, Wojtusowi trafiało się zająć miejsce przy jednym z pułków — odmówił go. Część wojsk ciągnęła przez Poznań na tę wyprawę, mającą rozpocząć szereg cały wypadków politycznych, do których się Niemcy wewnętrzną fermentacją przysposabiali, gdy jednego rana — śpiącego po długim przy chorym czuwaniu garbusa zbudził służący... oznajmując, że jakiś wojskowy mówił sobie z nim życzy.

— Dajże ty mi pokój, wiesz, że z wojskowymi nie mam żadnych stosunków, to być musi jakaś omyłka. O piątej poszedłem spać... któraż teraz godzina?

— Siódma... ale ten pan domaga się koniecznie...

— Co za pan? jak wygląda?..

Służący ruszył ramionami... — A no, jak oni wszyscy, ale trochę mówi po polsku...

— Wprowadź go tu...

Story jeszcze w sypialni nie były popodnoszone — mrok w niej panował i gdy w progu ukazał się mężczyzna słusznego wzrostu w mundurze, Wojtus przypatrując mu się nie mógł poznać w nim nikogo ze znajomych... Dopiero gdy się zbliżył o kilka kroków, krzyknął wyciągając rękę:

— Wolski...

— A tak ja! ja... akcentem nieco popsutym, z uśmiechem odparł przybyły... Jak się masz!

Usiadł przy łożku... podniesiono stopy, Wojtuś wpatrzywszy się w niego znalazł go mocno postarzałym i jeszcze mizerniejszym niż ostatnią razą.

— Cóż ten mundur znaczy? zapytał.

— Jako lekarz ochotnik... idę z wojskiem — szepnął Wolski i westchnął. Cóż robić... muszę...

— Jakże ci się powodzi?

Wolski spuścił oczy na czapkę, którą trzymał w ręku.

— Żyjemy, rzekł — znosimy niedostatek, ratuję się, jak mogę...

— A krewni żony?

Kajo zaczął się śmiać gorzko i nie odpowiedział nic.

— Na pomoc ludzką trudno rachować — odezwał się cicho — a ja, mimo że pracy nie szczędzę, szczęścia nie mam... Do każdego miejsca tyłu się ciśnie... Naturalnie prędkiej je otrzyma krajowiec odemnie...

— Popelnileś też błąd nie osiedlając się we własnym kraju!

— To było niepodobieństwem dla Helmy — odparł — ona potrzebuje swoich...

— Ale ty także...

— A! ja... dla mnie ona jest wszystkiem... ona i dzieci...

Z obawą spytał Wojtuś...

— Wiele ich masz?

— Troje — odezwał się Wolski, ostatnie przy piersi...

— Przecież teraz już lepiej ci idzie? gdzież mieszkacie?

— Mieszkaliśmy w Altenburgu... w Chemnitz — w Gotha... w Dreźnie... a teraz żonę zostawiłem w Kötschenbroda. W małej nieścinie życie tańsze...

— I nigdzie ci się nie powiodło tak, ażebyś stale się mógł osiedlić?...

— Moja w tém zapewne być musi wina — ale

nie idzie... Ruszam z wojskiem na kule duńskie... dodał z uśmiechem... może to początek kariery... któż wie?

Wojtuś nic nie odpowiedział, zaczął się ubierać prędko i kazał podać śniadanie. Wolski spoglądał na zegarek i zdawał się spieszyć, ledwie więc mieli czas zamienić kilka pytań i odpowiedzi, które nie wiele nauczyć mogły.

— Wstyd mnie, mój drogi Wojtku — odezwał się nareszcie Wolski, że ci nie mogłem dotąd i dziś jeszcze nie będę mógł się uiszczyć z długu.

Ruszył ramionami. — Nigdy tyłu nawet frydrychsdorów nie miałem razem w mojem posiadaniu, ileś ty mi ich dał wówczas na drogę...

Wszędzie gdzie jestem, klientela moja składa się prawie z biedaków, co po pięć srebrników płaci za poradę lub nawet po półtrzecia... Żonę, dzieciom zawsze czegoś potrzeba... ja się obchodzę, jak mogę, przestałem nawet palić cigaro... i z tém mi zdrowiej... Gdyby nie Vorschuss, którym się z Helną podzieliłem, nawet na kampanię tę wybrałby się było trudno... Są ludzie predestynowani... Garbus nie chciał już czynić wymówek zapóźnień, które się na nic nie przydały, odwrócił rozinową.

— Widzę, odezwał się, że trudno jakoś mówisz po polsku...

— A! bo prawie tego języka nie używam. W domu mówić muszę po niemiecku... otoczony jestem Niemcami. Rzadko spotykam ziomków i tych unikać muszę. Przyznam ci się, że nie wiem, dla czego Helma wstręt ma i uprzedzenie przeciw Polakom... może nie bez przyczyny... my...

— Stój, zawołał Wojtuś — zostaw Niemcom te wyrzekania na nas i zapożyczane czarne malowidła od stu lat powtarzane... Nie lubię ich słuchać...

Wolski zarumieniony przerwał.

— Więc i książek nie czytujesz! podchwycił garbus.

— Nawet ich nie widuję — z początku mi było tęskno... teraz, gdy gorsza stokroć tęsknota za chlebem dukucza, zapomina się o wszystkim...

Gospodarz nie wiedział już, o czém mówić, tak go stan tego biedaka na pół już zniemczonego, zobojętniałego poruszył i obruszył... Pół godziny sypnęło na ogólnych gawędach o wojnie, o medycynie, o dawnych towarzyszach i ich losach, zdala się dał słyszeć bęben w ulicy, i Wolski pospiesznie pożegnał dawnego przyjaciela, który daleko chłodniej teraz rozstawał się z nim niżeli go witał.

W r. 1865 garbus, który chciał i potrzebował się rozerwać, razem ze szwagrem swym, teraz już jakoś lepiej będącym w interesach, postanowił latem odwiedzić Szwajcaryą saską. Chociaż wycieczka była bardzo bliska, nigdy nie miał zręczności ani czasu jęj przedsiębrać. Właśnie się téż zbierało w Niemczech na tę olbrzymią manifestacyą narodową, która się zwała „uroczystością śpiewaków“ (Sängerfest). Baron Beust, rywalizujący niedołążnie z wykluwającym się z pod dragonńskiego mundurn Bismarckiem, brał pod swe skrzydła to narodowe objawienie jedności w duchu i pieśni. Saksonia tryumfowała wyprzedzając Prusy na drodze idealnego zjednoczenia wielkich Niemiec. Coż znaczył związek kieszeni, który się zwał Zilververein, w obec tego olbrzymiego chóru patryotycznego, uczczonego przez dwadzieścia tysięcy piersi ze wszystkich stron Niemiec zbiegających się, aby wznieść hymn przyszłości!!

Nad brzegiem Elby budowano co najprędzej drewnianą Hallę, która dachem swym wędrowników pokryć miała...

Wojtuś nie gniewał się wcale za to, że jego podróż schedziła się właśnie z uroczystością śpiewaków.. którą chciał widzieć i dla której miał sympatyą, bo mu się zdawało, że wielkie zjednoczenie musi być szlachetnym uczuciem natchnione, a na téj drodze i sprawiedliwość dla innych narodowości i uznanie ich znaleźć się musi!!

Pomimo więc przepowiedni złych, że w Dreźnie kąta nie znajdą nigdzie, że się w najgorszą wybierają porę itp., Wojtuś się uparł, pociągnął z sobą szwagra i pójchali. Wprawdzie mieli dosyć trudności dostania izdebki na trzecim piętrze z dwoma lichymi łózkami.

w któryś z hotelów nowego miasta, lecz widok téj ómy ludu rozochoczonego, szczęśliwego wynagrodził im niewygody doznane.

Niemiec przytomny podobnej manifestacji polskiej nieochybnieby się na nią oburzał, wydziwiał i znalazł w niej dobrą pobudkę do wymyślenia na tych niezdolnych szaleńców Polaków — poczciwy Wojciech przeciwnie przejęty był i z uszanowaniem patrzył na to święto pieśni, które wróżyło dzień czynów.

Razem ze szwagrem, który jako wieśniak a szlachcic wcale miał inne uczucia i ramionami ruszał na to, poszli nazajutrz przypatrywać się na Nowym rynku pochodowi chorągwi stowarzyszeń śpiewaków, bractw, uniwersytetów i niezliczonych Vereínów, niosących swe godła w tryumfie... i defilujących przed panem Beustem siedzącym na koniu i w duszy urągającym się Prusakom.

Był to jego dzień tryumfu — jedyny w życiu — a krótko trwać mający. Kto inny miał zbierać owoce tego zjednoczenia ducha i dłoni.

Wojtuś i pan Bondarzewski, szwagier jego, stanęli, z wielką trudnością znalazłszy miejsce na chodniku pod starą galeryą u wnieścia na ulicę Augustów — i stąd się przypatrywali marsowym postaciom burzów, chorągwiom i kutym w srebro rogom, które się wkrótce piwem z Waldschlösschen wypełniać miały. Z początku tak byli zajęci tém widowiskiem, iż oczu od niego odwrócić nie mogli, wkrótce znużyło ich jednolitą i nasz doktor począł się wpatrywać w otaczające go tłumy... Naprzeciw we drzwiach kamienicy pod numerem szóstym mignęło mu coś, co go tak zajęło, iż się spał na palce.

— Przysięgłbym, że to Wolski stoi!

Ale to on! to on! począł garbus...

— Gdzie? jaki? zapytał Bondarzewski.

— Ty go nie znasz... ale ja pochwycić go muszę, choćbym się miał przez te szeregi przebijać. Lękam się, aby mi nie uszedł — a chcę go widzieć koniecznie. Stój tu.

— A! dziękuję — przerwał szlachcic — ruszaj

sobie do swego Wolskiego, a ja muszę gdzie pójść, żebym mógł się odpocząć. . . . Bywaj zdrów.

Niespokojny Wojtuś dobrał chwilę, gdy między pochodem dwóch Vereinów trochę było miejsca wolnego, i przecznał się na drugą stronę ulicy.

Na rogu pod Berlińskim hotelem stanawszy mógł się już doskonale przypatrzeć Wolskiemu i nie wątpił, że się nie mylił. W istocie on to był jak dawniej wyglądający ubogo i biednie, smutno i przybito. Obok niego nieco ekscentrycznie ubrana, z lornetką w ręku stała kobieta piękna, wspaniałej i dumnej postaci, z rodzajem egzaltacyi przypatrująca się defilującym szeregom. . . . Wojtuś widział, jak rzuciła parę wiązańek kwiatów, jak klaskała w dłonie.

Poznał w niej acz nieco zmienioną i dojrzalszą Wilhelminę, zawsze piękną, majestatyczną, której świeżość i wesołość dziwnie odbijało od smutku i przygnębienia Wolskiego. Małeńki chłopaczek kilkoletni z kordką niemiecką na czapeczce stał między niemi.

Domyslił się w nim Fryca.

Nie mogąc dłużej wytrzymać, doktor przesunął się po nad trotoarem, zbliżył do dawnego towarzysza i chwycił go za rękę. — Wolski, którego oczy były gdzieindziej, drgnął, obejrzał się i zarumieniony, zmieszany począł się witać.

— A! przecież cię złapałem! zawołał doktor.

Wilhelmina odwróciła się ciekawie, a Wolski w kilku słowach przedstawił jej tego przyjaciela, o którym tylko króć wspominał. Piękna pani zarumieniła się mocno, za rękę przyciągnęła ku sobie małego Fryca, który się ciekawie garbusowi przypatrywał, i nader zimno powitała przybyłego.

Widocznie zjawienie się jego nie było jej bardzo przyjemne. Wojtuś był z tego rodzaju ludzi, co czasem właśnie gdy się czują natrętnymi, na złość gotowi się narzucić.

Zławło mu się, że ma do tego prawo.

— Przybyłem na krótko do Drezna, szepnął Wolskiemu na ucho — widzę, że tu mieszkacie, nie puszczę cię więc, póki mi nie powiesz swojego adresu i nie dasz godziny, o którejbym cię mógł zastać.

Wolski niespokojnie spojrział ku żonie, zdawającej się odgadywać przedmiot rozmowy i ze znakami jakimiś tajemnemi zwróconej ku mężowi.

— Wiesz — szepnął na ucho doktorowi — jeśli nie bardzo jesteś ciekawy rzeczy tej procesyi — ja tu żonę zostawię z profesorem... który ją może odprowadzić do domu, a sam zaraz ci służę.

Kilka słów szepnąwszy żonie, która zdala skłoniła głowę żegnając garbusa — Wolski wziął go pod rękę i poszli.

— Jednakże uprzedzić cię muszę, odezwał się po chwili przyetając Wolski, że się do mnie nie łatwo będzie dostać. — Mieszkamy na Frydrychstacie... doróżki dziś nikt nie dostanie... — kawał drogi potężny...

Garbus się uśmiechnął.

— Woleę iść choćby na Frydrychstadt niż tu stać na skwarze.

— Prosiłbym cię na wieczór do nas, westchnął Wolski — ale przy naszym ubóstwie więcejby to żonę mają zmęczyło i upokarzało, niż jej zrobiło przyjemności. My, po niemiecku nie przyjmujemy u siebie nikogo....

— Jak to? więc ci się nie polepażyło?

— Tém się pochwalić nie mogę. Szlezwig mnie dobił. — Spiknęli się na mnie koledzy Niemcy czy stój krwi i dostałem suchą odprawę. Przenieśliśmy się do Drezna. Już to samo, że mieszkamy na Frydrychstacie, nauczyć cię powinno, jakie tu położenie nasze. Potrzebujemy z dziećmi najmniej trzech izdebek, przy tém kuchenki... trudno opłacić taki lokal w mieście. Nigdy mi może tak ciężko, tak bardzo ciężko nie było. W części taję to położenie przed moją drogą Helmą, ale sam za to podwójnie cierpieć muszę...

Szli powoli rozmawiając, droga była dosyć długa — wreszcie dobili się do mostu i w głównej ulicy pustej, wyludnionej, zamarlłej, Wolski wskazał domek o trzech oknach od frontu, na którego drugiem pięttrze mieszkali.

Dość było spojrzeć na kamienicę, aby odgadnąć jej wnętrze. Była to bodaj budowa jeszcze z augusto-

wych czasów, ze wachodkami wązkiemi, z sienią ciemną, pełną mefitycznych wyziewów. Na dole mieszkał mydlarz, którego fabryka w dziedzińcu umieszczona nie dodawała woni — pierwsze piętro zajmował ubogi urzędnik, na drugim byli Wolscy...

Nim drzwi otworzył, płacz dzieci się dał słyszeć. W przedpokoju służąca niespodziewająca się państwa w czulej rozmowie z żołnierzem zapomniała śnać o całym świecie. Dwoje dzieci wrzeszczało napróżno wzywając miłosierdzie. Jedno z nich wilo się w koszyku, drugie leżało na podłodze...

Wejście Wolskiego się loszyło czułą parę, wyniósł się zaraz męzny wojak cichaczem, służąca chwyciła dziecko na ręce... Uspokoilo się jakoś... Wolski posępny zbliżył się do kolebki...

W lewo widać było coś nakształt saloniku uboga a z preter-szą przybranego, niesmaczne cacka, zabytki przeszłości kosztowne mieszały się z bardzo pospolitemi nabytkami późniejszego. W prawo był gabinet doktora, do którego drzwi zaraz otworzył.

Ciasny o jedném oknie, które do połowy pstry i niesmaczny et r z koszem kwiatów całaniał — pokoił zdał się niezamieszkalny i był smutny nad wszelki wyraz... Szare i ragie ścian, stół, na którym leżało kilka książek, kałamarz i pióra... nędzna sofka, krzesła parę — były okryte kurzem i rzucone bez żadnego starania o wygodę lub pozór przyzwoity... Wolski posadził przyjaciela na sofce a sam stanął przed nim rękami trąc włosy, które się zdały ciężać mu na wylisiałej już nieco głowie...

Piękna, niegdyś życiem telnąca twarz młodzieńca napiętnowana była długiemu cierpieniem: nerwowe drgania ją poruszały czasami, oczy biegały niespokojne, w ustach uśmiech się przerodził w smętne jakieś przekrzywienie.

Przybyły gość patrzył, zadumał się nie mając odezwać siły...

— Nie pytam cię — rzekł w końcu po długim milczeniu — czy jesteś szczęśliwy. Największe szczęście struć może taki doskwierający niedostatek... Niczemby on był dla jednego człowieka, ale z rodziną!!

Winienieś jój, mój Kajetanie, byś o swym losie pomyślał. W najbardziej zrozpaczonym stanie jest lub można przynajmniej próbować jakiegoś ratunku... Wiesz już, jak ci dobrze z Niemcami. Spróbój się przenieść do nas...

— Wilhelmina się za nic na to nie zgodzi — zawołał zmieszany Wolski — nie chciałem ci tego mówić — ale ona nie cierpi Polaków... Cóż chcesz, są to uprzedzenia...

— Więc jakże ci dzieci wychowa?...

Wolski zamiast odpowiedzi poszedł do okna...

Zadzwoniono w przedpokoju, porwał się i wybiegł szybko...

Garbus wstał i począł się przechadzać. — Po chwili Wolski wszedł blady z listem w ręku... Nie mogąc oderwać od niego oczów, czytał jeszcze wszedłszy długo — cichy wykrzyk dobył mu się z piersi, list rzucił na stół i ręce załamał...

— Cóż się stało znowu? co ci jest...

Wolski padł na sofkę i oczy zakrył.

— Nic złego — odezwał się — nic złego, lecz wiadomość nie mniej dziwna, przykra, bolesna, która całkiem los nasz może odmienić...

Podniósł głowę. — List od matki mojej żony — Hänschen nie żyje. Koń go dziki zrzucił w mieście, padł głową na bruk, chorował dwa miesiące... zwołano wszystkich lekarzy... Radzca nie żałował nic... uratować go nie było sposobu... Wilhelmina została im jedna... Zdaje się, że ojciec jój i mnie przebaczy... los się nasz na lepszy zmienić może...

Z uczuciem niewymownej radości Wojtuś podał mu rękę.

— Jakkolwiek wypadek smutny, ale dla was skutki mieć musi najlepsze. Powinniście natychmiast jechać do Berlina...

— Ja? nie — ale Wilhelmina musi... ja — ja zostanę z dziećmi... zobaczymy — rzekł Wolski... Niech się ze mną co chce dzieje, byleby jój i dzieciom lepiej było... Jam nawykł do cierpienia, skóra na mnie od ciosów stwardniała...

— Nie ma chwili do stracenia — odezwał się

garbaty — byłbym ci teraz zawadą i czuję, że się oddalić powinienem. Rad tylko jestem, że mnie lepszej przyszłości nadzieja pociesza... Przybyłem w dobrą godzinę...

Wyciągnął doń rękę...

— Nie, czekaj jeszcze chwilę — począł Wolski... radź mi... co mam robić? Wilhelmina ten cios uczuje... była przywiązana do brata...

— Który was zupełnie opuścił...

— Nie mogło być inaczej... Odwiedził ją raz przecie, gdym ja był na kampanii w Szlezewigu... Przeczytaj list... zdaje mi się, że matka ją wzywa? Ją czy nas?

Wojtuś wziął list ze stołu... w kilku miejscach widocznie był skropiony łzami... ręka, co go pisała, drżała. — W istocie matka wzywała córkę, o Wolskim nie było mowy. Radziła jej, żeby z sobą dzieci przywiozła i z nimi razem upadła do nóg ojcu. Radzca miał być nie pocieszony... to była chwila jedyna, ażeby gniew jego rozbroić...

— Co do mnie — co do mnie — odezwał się Wolski zamyślony — radzca mi nie łatwo zapomni urazę i przebaczy winę, — ale Helmina powoli utoruje drogę do jego serca...

— Serca? — szepnął pytająco Wojtuś.

Spojrzeli na siebie.

— Przecież mążem jej jestem, ojcem tych dzieci, odepchnąć mnie nie może... znosić przynajmniej będzie musiał...

Garbus lękając się przybycia samej pani, w milczeniu rękę mu uściśnął i wyszedł napowrót do miasta.

Nazajutrz się wybrali ze szwagrem do tak zwanéj Szwajcaryi saskiej, która p. Bondarzewskiego zachwycała a Wojtusiowi nie zdała się wcale do żadnéj Szwajcaryi podobną.

Bondarzewski nagie skały i ogromne piasczyste oglądając przestrzenie, na których nic oprócz skąpych wrzosów nie rosło, znajdował, że to było dla Sasów

szczeńściem, iż mogli za biletami ten kraj pokazywać, bo inaczejby im tu chleba zabrakło.

Drugiego dnia już do woli nasyceni widokami jednostajnymi, Elbą i statkiem parowym w towarzystwie mnogich Germanii dzieci powrócili do Drezna. Śpiwaków wielu już odjechało do domów, resztki tylko przypoźnionych jeszcze z torebkami na ramionach przesuwali się po ulicach. Mieli natychmiast powracać do Poznania, bo Bondarzewski tęsknił do domu i wymówki już czynił szwagrowi, że go z sobą pociągnął, ale garbusowi chciało się koniecznie coś o Wolskim dowiedzieć.

Wstrzymali się więc godzin kilka, doktor wziął dorózkę i z rana pojechał na Frydrychstadt. Wprawdzie numeru domu, w którym mieszkał Wolski, nie pamiętał, ale go po mydlarzu i zapachu poznać się spodziewał. Nie omyliło go to przeczcucie, kamienica zresztą była znaczna tém, że najnędniej ze wszystkich wyglądała. Wdrapał się na drugie piętro i zadzwonił. Po chwili sam Wolski wyszedł mu otworzyć... Błady był jak zawsze, brudnym dosyć obwinięty szlafrokiem, a twarz jego nie rozjaśniła się wcale.

— Nie będę ci natrętnym — odezwał się od progu Wojtuś — mów mi tylko, co się z wami dzieje? Zona... pojechała?

— Tegoż samego wieczora...

— Z dziećmi...

— Zabrała wszystkie — rzekł smutnie Wolski.

— Miałeś od niej jaką wiadomość?

— Kilka słów — odezwał się nieco zmieszany gospodarz, tą razą wprowadzając do pustego salonu — każe mi czekać...

— Przyjęto ją?

— Ojciec się dał zmiękczyć... tak — została w domu... u rodziców...

— Dla czegoż ci nie każe przyjeżdżać?

— Przecież to potrzebuje pewnego przygotowania... ja jestem cierpliwy. To mówiąc Wolski na pół sobie dłonią twarz zakrywając siadł w krześle i zamilkł.

Doktor, któremu miejsce na kanapie wskazał, rozpatrywał się w mieszkaniu; chciał z niego domyśleć

się, odgadnąć coś z charakteru kobiety, która dlań była zagadką.

Pokój ten przeznaczony znać do przyjęcia gości nie w zupełności był zgodzie z mieszkaniem gospodarza. Tam panowała prawie uędra, tu wysilek smutniejszy może od niej jeszcze skłamania jakiegoś zamożności. — Było w tém wiele kunsztu kobiecego, który jednak nie zdołał pokryć rzeczywistego niedostatku. Zawsze przecież tu, gdzie mieszkała gospodyni, daleko więcej było starania o wdzięk (bez smaku) i wiele rzeczy zbytkowych. Szczególniej uderzyła doktora ilość książek niemieckich, które stosami leżały na stolikach, na komo-dzie, na małym fortepianiku, zarzuconym też nutami.

— Widzę, że twój żona wiele czytać musi.

— Bardzo wiele... to jej najmilsze zajęcie z muzyką, — zaczął ożywiając się nieco Wolski. Nie tylko czyta, ale nawet pisze... pisze bardzo pięknie... Gartenlaube umieszcza jej artykuły... Nadzwyczaj wykształcona... Niestety! nas Polaków zna tylko podobno z tego obrazu, jaki skreślił Freitag w Soll und haben, i to ją takim uatnęło wstrętem.

— Nie przeszkodziło jednak pójść za ciebie — przerwał doktor.

— Zdaje mi się, że Freitag później przeczytać musiała.

— Ale się nie możesz skarżyć przecie, aby to osłabiło uczucie jej dla ciebie...

— O! bynajmniej, zaczął Wolski go ąco, to kobieta z sercem anielskiem, ja jej nie wart jestem...

— Mój drogi — odezwał się garbus, co do serca z pewnością nie ustąpisz nikomu.

— Głową, inteligencją — zdolnościami, po lotem myśli mnie prześciga — mówił Wolski. Dla tego fraszka są cfiary materyalne, jakie uczyniła dla mnie, nieocenionem prawdziwie jest jej poświęcenie na tę samotność, brak ludzi, właściwego towarzystwa... świat inteligencji, do którego jest stworzoną... Ona wśród nędzy tego powszedniego żywota, nieraz wśród kłopotów, które mi całą przytomność i ochotę do życia odejmowały, umiała zachować spokój ducha, który wzbudzał we mnie uwielbienie...

Garbus zmilczał, wszystko to jakoś mu się dziwném wydawało i nie zupełnie rozumiałém, jedno tylko było jasném, że Wolski musiał być dosyć nie-szczęśliwym.

— Będiesz więc czekał, aż ci tam przybyć pozwolą? — spytał po chwili.

— Muszę . . . dopóki Helma nie napisze mi, abym jechał, nie odważę się uczynić kroku.

Nędza i te lata długiej walki zabiły w nim wszelką samoistność, chcieć ją wlać w niego było już próżném; garbus to sobie powiedziawszy, posiedział chwilę i pożegnał Kajetana, — który go do drzwi odprowadził.

Powróciwszy do domu doktor zajął się bieżącemi sprawami i trochę o drezdeńskięj przygodzie zapomniał. Czekali na niego chorzy, klienci, przyjaciele i mnóstwo interesów, w których zwykł był pośredniczyć. — Pomimo to Wolski mu się przypominał. Smutna jego zmieniona twarz stała mu w oczach, ciekawym był dowiedzieć się czegoś o nim i przy pierwszej zrzeczności puścił się do Berlina na zwiady.

Chociaż do znajomości niemieckich nie skory — garbus miał tu jednego człowieka, dla którego przyjaźń od czasów uniwersytetu dochował.

Był to stary profesor Cylius, teraz już emeryt, dożywający dni swego żywota na bruku, do którego nałogowo przyrósł. Był to najpoczeiwszy człowiek w świecie i w całym znaczeniu wyrazu tego człowiek. — Patrzał tak z góry na świat, że drobne namiętnostki — wszystko, co różni i co rozplómienia ludzi, dla niego było rzeczą niezrozumiałą. — Filozof, sceptyk łagodny, serca anielskiego, Cylius na starość zabawiał się śledzeniem ruchu umysłów tak, jakby w teatrze przypatrywał się grze aktorów.

Uczony, należał do téj niezmiernie rzadkiej kategoryi, która wie, że się do śmierci ucząc pozostaje nieukiem.

Rozumiał, że nauka była drogą, ale cel jój i ostateczne słowo gdzieś po za światami. — Nie gniewała go żadna teoria, bo wszystkie uważał za przeje-

ściowe, za stopnie, po których się szło ku wysokościom, nie mogąc ich doścignąć.

W charakterze i sposobie widzenia rzeczy Cylius miał wiele analogii z Wojtusiem, dla tego garbus był mu jednym z najinilszych uczniów dawniej a teraz jednym z najukochańszych młodych przyjaciół. Ile razy Wojtuś przyjeżdżał do Berlina, szedł zawsze na Französische Strasse do starego i w jego towarzystwie spędzał większą część wolnych od zatrudnień godzin.

Cylius był nie żonaty, zajmował ze swemi książkami parę kawalerskich pokojów na pierwszym piętrze od tyłu... z oknami na ogród. Stał tu już lat kilkanaście i był jak u siebie. Życie wiódł regularne jak zegarek a pracowite jako mrówka. Chociaż oczy miał osłabione i popsute, czytał niezmiernie wiele a drugie tyle chodził... Powiadał, że go oczy i uszy zarówno uczyły i że nie było ani obojętnego widoku dla rozumnego człowieka ani głupiej książki...

Można mu to tylko było zarzucić, iż czytał bez wyboru i bez ładu, ale się to wszystko porządkowało w jego starą głowę jakimś bezwiednym procesem, tak że się znajdowało na swoim miejscu. Zaciekawiało go wszystko, nie roznamiętniało nic.

Życie wiódł skromne, choć bardzo był dostatni. A raz dobiwszy się niezależności i dochodu, który mu starczył na jego potrzeby, wyrzekł się praktyki znajdując, iż był do niej za stary i że ją młodszym należało zostawić.

Mały, ruchawy, żywy jeszcze, zawsze ubrany czysto i z pewną nawet wytworną prostotą, znany był ze swego kapelusza z szerokimi skrzydłami i złotych okularów całemu niemal miastu... Znał też jeźli nie wszystkich, to co było najlepszego i najciekawszego. Mieszkając tu od bardzo dawna, jako lekarz, profesor, urzędnik mało się o kogo nie otarł. Przyjaznym był dla wszystkich — a niechętnych nie znał prawie. Rozbrajał ich swą słodyczą, której nic zafrzeć nie mogło. —

I tą razą przybywszy do Berlina Wojtuś pośpieszył do starego profesora. — Zastał go właśnie wychodzącego z mieszkania i wkładającego klucz do

kieszeni. Staruszek poznał go i otwartemi powitał rękami.

— Cóż ty tu robisz, szanowny doktorze? — zawołał — ty, co nie lubisz Berlina i nas wszystkich Niemców? Co cię tu sprowadziło?

— Najwięcej pragnienie widzenia pana profesora... odparł garbus kłaniając się.

Staruszek pokłonił mu się jeszcze niżej.

— Zbytek łaski lub żarty... do starych takich ruin jak ja tylko archeologowie jeżdżą, a waszmość nadto masz jeszcze z żywym światem do czynienia, ażebyś się przeszłością żywić potrzebował.

Podniósł głowę profesor i spytał.

— Cóż! nie ożeniłeś się jeszcze...

— Czekam, abyś mi pan dał dobry przykład...

— O! toś się źle wybrał... Wprawdzi: — rzekł zniżając głowę — miałem trzy ładne panny, które za mnie oświatałego iść się ofiarowały, alem im oświadczył, że się spóźniły... Rachowały na prędką sukcesyą i byłyby się omyliły szkaradnie... a ja — oprócz innych niedogodności miałym w domu pch...

Profesor chciał otworzyć mieszkanie, garbus go wstrzymał.

— Dokąd pan idziesz?

— Al na moją nieuchronną przechadzkę.

— Więc służę...

Wyszli razem. Garbus był najpewniejszym, iż od Cyliusa się dowie coś o panu radzcy von Riebe i o losie jego rodziny. Nie chciał wszakże dopytywać natrętnie i ściągać uwagi, wołał, aby to samo przyszło z rozmowy. Stary profesor dał do wyboru cel przechadzki, skierowali się więc ku kościołowi św. Jadwigi, w pobliżu którego stał dom radzcy komercyjnego. Po drodze Cylius sam dopytywał o losy dawnych uczniów swoich. Było to wyborym środkiem do przypomnienia mu Wolskiego. Cylius miał pamięć doskonałą, przynosiła mu ona razem z nazwiskiem fizyognomią i charakterystykę.

— Wolskil a tak — rzekł, przypominam go sobie, piękny chłopiec i nie bez zdolności, lecz bodaj, czy jak z wielu z was, poczciwych Polaków (tak pro-

fesor zwykł był nazywać ich) — czy nie przekładał życia nad naukę.

Pomyślał chwilę.

— Wszak prawda? to ten, który ocalił życie młodemu synowi radzcy von Riebe...

Na von położył przycisk i uśmiechnął się.

— W liberalnych Niemczech, odezwał się, z osobliwszą czcią są dla tych trzech głosków! Kto je ma szczęście posiadać z prawa natury lub dobić się prawem służebnictwa, chodź jak indyk napuszony oddzielnym dworem od pospolitego gminu... Ja tego von znałem, gdy był początkowo Laufburszem w małym handlu, odbywając nowicyat... Powiodło mu się.

— Ale jedynaka syna podobno utracił — rzekł garbus.

— Tak — napróżno go raz z wody Wolski wydobyl, zabił się z konia...

— Wolski ożenił się z jego siostrą.

— Wiem, wiem, jakżeby nie wiedział, z pastorem jego krewnym grywamy w szachy kilka razy w tydzień. Cały ten dom znam doskonale i wszystkie ich stosunki. Choć w Wolskim złapali sobie von drugie, nie chcieli go podobno i córki się wyrzekli i głodem im mrzeć dali, póki syna nie stracili... teraz będzie inaczej... Stary radzca komercyjny swoje von chce przekazać potomności, pewnie więc wnuki i córkę przyjmie i ma się starać, aby im pozwolono połączyć dwa nazwiska... będą więc von Wolski-Riebe albo von Riebe-Wolski.

I śmiać się zaczął.

— W takim razie i Wolskiego przyjąć musi...

Cylus ruszył ramionami. — Zdaje mi się, że już on tam jest i że mu z żoną dano drugie piętro w kamienicy... Tak! tak! Mówił mi o tém pastor... Wilhelmina odzyskała swą dawną władzę nad ojcem i matką...

— Cieszę się z tego niewymownie, dodał garbus, bom widział tego biednego człowieka długo walczącego z niedostatkiem, z nędzą prawie, i tak znękanego, że mnie prawdziwa nad nim litość brała.

— Daj Boże, aby i teraz z czém do walczenia nie

miał — krótko i sucho dokończył profesor — ludzie całe życie walczyć muszą; życie jest nieustannym bojem...

— Tylko nie dla was, szanowny profesorze..!

— Jakto? oburzył się stary, jakby go to obraziło... jakto? nie widzisz, iż walczyć muszą ze starością, któraby mnie chciała w niedolęgę przemienić, z władzami słabnącemi ciała i umysłu... z pannami, które chcą wyjść za starego, aby po nim wziąć spadek, i z tajemnicami świata i życia, do których myślą szturmuje.

Tak rozmawiając zbliżyli się do kamienicy radcy komercyjnego von Riebe. Właśnie mocno już podstarzały ale zawsze jeszcze majestatycznej postawy radzca z parasolem pod pachą wychodził z domu i zobaczywszy profesora salutował go bardzo grzecznie. Ukłon ten emeryt temu był winien, iż radzca wiedział o tém, jako był komandorem orła czerwonego z gwiazdą. Z wielkim więc dlań był respektem, on, co miał tylko znak ogólny honorowy i jakąś drugą nieznaczącą wetążeczkę. — Zbliżył się nawet pospiesznie do staruszka, aby mieć szczęście przemówić doń słów parę i pochlubić się tém w resursie.

— Czcigodnego pana radcy sługa najniższy... sługa najniższy... począł zaledwie odpowiadając na ukłon garbusa, którego nie znał i w którym się zapewne Polaka nie domyślał, jakże zdrowie?

— Moje dobrze, a ja was, panie radzco, nie pytam o wasze, bo je z twarzy widzę... wyglądacie doskonale...

— Mimo zmartwień tysięcy! zawołał Riebe. — Wiesz pan zapewne od pastora, którego często pono widzisz, że straciłem jedyne, ukochanego syna, młodzieńca najpiękniejszych nadziei. Niemcy byłyby się nim pochlubić mogły... Inteligencya była znakomita, nauka ogromna... los mi go pozazdrościł.

— Maez pan córkę — dorzucił Cylius.

— Tak, nie pospolitą, mogę powiedzieć, istotę, która nieszczerściem zakochała mi się była w polskim zrujnowanym baronie i musiałem ją wydać za niego.

Imię piękne... ale... ja tylko na wnuki rachuję... z Polaka nam nic nie zrobić.

— He? spytał doktor — nie podzielam w tém pańskiego zdania. Polacy mają wiele przymiotów.

— Ale wad jeszcze więcej — odparł Riebe. Mój zięć, nie mogę powiedzieć, człowiek uczony, ma tytuł doktora....

— Uczeń mój — rzekł Cylius.

— A! a! doprawdy — przerwał radzca — pan go znasz?

— Bardzo dobrze....

— Nie potrzęuję więc mówić o nim — dokończył Riebe, ale gdybyś pan znał córkę moją, dopiero-bys osądzić mógł, że czegoś lepszego była warta... choć temu człowiekowi nie ujmuję.

Garbus byłby się z chęcią przysłuchiwał dłużej rozmowie, lecz w téj chwili nadezła ktoś, co musiał mieć jakiegoś jeszcze znakomitszego orla niż Cylius, bo Riebe powitał go bardzo nisko i co prędzej pożegnawszy emeryta przyłączył się do jego towarzystwa.

Był to jakiś radzca ministeryalny i ekscelencya. Niemcy zwykli się wyśmiewać z próżności Francuzów, z ich upodobania w tytułach i wstążeczkach, lecz gdzież do tych dziecinnych zabawek więcej przywiązują wagi niż nad Spreą, i jaki jest kraj, gdzieby, zliczywszy wszystkie ordery, ich klasy, rodzaje, ozdoby i tytuły i klasyfikacye, do takiej liczby olbrzymiej stopniowań i cieniowań dojść można jak w Prusiech?

Samych radzców ile jest gatunków i podgatunków — z rozmaitemi predykatami... morze do wypicia.

Cylius odwrócił się nieco i popatrzał za odchodzącym.

— Rzadki egzemplarz — rzekł, człek, który się nigdy nic nie uczył, nigdy nic nie umiał, a potrafi się tak wykręcać, że więcej jak pięć razy na godzinę w rozmowie baka nie strzeli....

Rok 1866 wstrząsnął całemi Niemcami i stanowił przesilenie, które o życiu ich lub śmierci wyrokowało. Oprócz skutków politycznych, dotykanych aneksyi,

eufemicznie nazwanych tém łagodzącém imieniem, choćby się były mogły wybornie inaczej nazywać, w umysłach i pojęciach zrzucił on wielkie zmiany. Idea jedności Niemiec dojrzała, sformułowała się i miała odwagę wypowiedzieć hukiem dział, wymierzonych przeciw partykularystom, co śmieli mniejszą kochać ojczyznę i stare Niemiec tradycje.... Najobojetniejsi ludzie roznamiętniali się potęgą i wielkością przyszłą tych Niemiec, w które jeszcze Lessing nie wierzył, o których mówiąc Fryderyk II. z Gellertem znajdował, że absurdem było o jednym panującym myśleć dla tak rozlicznych krajów.

Po ulicach, które baron Beust przejeżdżał z rozwianemi włosami, spoglądając na szeregi śpiewaków — ciągnęło teraz w milczeniu wojsko pruskie i zajmowało stolicę Wettinów, a po niej wszystkie małe stoliczki, jakie się mu podobało.

Patryotyzm wielko-niemiecki przyklaskiwał Prusom a Prusy przyklaskiwały patryotyzmowi niemieckiemu, którym się tak wybornie posługiwać umiały. Z obu stron zdawało się i zdaje, iż jedna drugą potrafi wyzyskać — dla swego interesu....

Komedyja nie skończona jeszcze — do dziś dnia na piąty akt jęj czekamy. Z genialnością sobie właściwą hrabia, naówczas Bismarck, umiał puls średniej, na pół wykształconej klasy pomacać i zrozumiał, jak ona mu ze swém *curtum visum* wybornie służyć będzie sądząc, że służy idei.

W następnym roku doktor Wojciech, znajomy nam już, wybranym został z Księstwa do parlamentu pruskiego i musiał jechać do Berlina grać tę smutną rolę posła polskiego, z którego niedouczone, niedokształcone a zarozumiałe mędrki śmieją się jak cwi, co niegdyś wolali — *Ecce homo!* Wiekuisty to los tych, co z ideą walczą przeciwko interesom.

Gdy do niego ta wiadomość doszła, iż został obrany posłem, Wojtuś się za głowę pochwycił — nie chciał przyjąć mandatu.... Trzydzieści osób naszło jego spokojną kwaterę, dowodząc mu w imię obywatelskich, że taki mandat, tak zaszczytny dowód zaufania odrzuconym być nie może. Trzeba się

więc było pakować i jechać w dziesięciu walczyć przeciwko dwóchset ludziom umyślnie głuchym i dobrowolnie ślepych.

Mówiliśmy już, że rezygnacya w rzeczach nieuniknionych była przymiotem Wojtusia. Jak skoro dojrzał, iż rzecz być musiała, stawał naprzeciw niej, zakasując rękawy do walki na śmierć i życie. Tegoż samego dnia miał tłumok ułożony i dorózkę zamówioną na kolój a nazajutrz był już w Berlinie. Tu wybrawszy sobie jak najszybszy i jak najmniej obrzydliwy lokal w hotelu niezbyt oddalonym od prowizoryjnego parlamentu, Wojtuś dopełniwszy wszystkich obowiązków urzędowych... pomyślał, jakimi słodyczami mógł sobie nieco pobyt w tych koszarach uprzyjemnić a przynajmniej znośniejszym uczynić... Profesor Cylius był jednym z pierwszych na liście, ale też zaraz przypominał sobie Wolskiego.

W trzy dni później nad wieczorem dążył już ku kościołowi św. Jadwigi i szukał kamienicy radzcy komercyjnego. Dobra pamięć dozwoliła mu ją łatwo rozpoznać. Wiedział, że Wolski mieszkał na drugim piętrze. Dom wewnątrz był bardzo starannie utrzymany, a na drugie piętro prowadził dywanik, wyściełający schody. Tu na drzwiach przysrubowana blaszka świeciła napisem

Baron Dr. von Wolski.

Nie omylił się więc — zadzwonił.

Z po za drzwi na pół szklanych, odsłoniwszy firanki wyjrzała głowa jakaś i znikła, a po chwili ukazał się rodzaj grooma w liberyi.

— W domu doktor?

— Pan baron w domu... jak mam zameldować?

Wojtuś oddał swój bilet, na którym stał już tytuł deputowanego. Zobaczywszy go sługa pobiegł... zostawiając otworem drzwi przedpokoju.

Garbus więc wszedł. Przedpokój był bardzo wytworny... Na kołku wisiały dwa surduty watowane. Przypuszczając, że jeden z nich był pańskim, drugi więc gościa mógł oznaczać.

Służący, który pana szukał zapewne naprzód w jego gabinecie i nie znalazł, przebiegł przedpokój i

wpadł do innych drzwi, a z tych po chwili szybkim krokiem wysunął się Wolski.

Mrok w przedpokoju twarzy jego dobrze widzieć nie dozwalał, lecz z odezwania się poznał łatwo doktor, że był zmieszany, choć udawał wielką radość.

— Kochany mój, rzekł — nie proszę cię do salonu... mamy gościa... mógłby cię żenować, chódź do mnie.

To mówiąc i wyprzedzając go otworzył drzwi do małego gabinetu na prawo... Był on nieporównanie weselszym i miłszym od owego na Frydrychstacie, ale miarkując z rozmiarów domu, można się było domyślać, że zięć pana radzcy otrzyma dla osobistego użytku coś jednak okazańszego i wygodniejszego... Pokój obity był jaskrawo niebieskim papierem i jednym oknem wychodził w ciasne podwórko a tyłem poobracane kamienice wszelki mu widok sobą zabierały... Sprzęt był tak skromny, jak tylko być mógł, i tak nie liczny, jakby mieszkający tu czasowo tylko przebywając o uprzyjemnieniu sobie pobytu nie pomyślał.

Prawie tych samych kilka książek na stoliku i toż samo ubóstwo czegoś, coby najmniej dogadzało fantazyi. Szafeczka pobejcowana na orzech stała sobie skromnie w kątku a na niej futerał od cylindra nie przyczyniały się do ozdoby gabinetu... Wojtuś obejrzał się i poznał, że położenie Wolskiego nie wiele się zmienić musiało.

Spojrzał mu w oczy. Twarz była mniej zmęczona, lecz jakby tajemniczą okryta zasłoną, uśmiechał się przymuszając do wesołości...

— Jakże ja się cieszę — zawołał Wojtuś, że po ciężkich latach próby widzę cię nareszcie w położeniu szczęśliwszem i uwolnionym od trosk codziennych, co ci życie truły...

Na uścisk Wolski odpowiedział uściskiem krótkim i zakłopotanym, poprosił siedzieć. Na powinszowanie nic nie rzekł... i pytanie tylko zadał:

— Na karcie widzę, że jesteś deputowanym..?

— A tak, na nieszczęście moje — westchnął doktor...

W téj chwili chłopak przebrany za grooma w ka-

maszach przyszedł coś panu szepnąć na ucho. Wolski zdawał się, niezmiernie uradowany, zarumienił się, kłapał go po ramieniu i zawołał po jego wyjściu...

— Żona moja prosi cię do salonu — sędzę, że wyczytała na bilecie także twój tytuł deputowanego — temu jesteś winien przyjęcie, bo nie będę ci tań, że Polaków nie lubi... Poznasz przytém znakomitego naszego piewarza dr. Arnheima, przyjaciela domu, którego talent moja żona wielbi i przekonania podziela... Człowiek bardzo znakomity rzeczywiście... Musiałeś czytać jego... rozprawę o przeznaczeniu i posłannictwie plemienia niemieckiego...

— Nigdy w świecie...

— Udawaj przynajmniej, że znasz to dzieło i, mój Wojtusiu — jak mnie kochasz... nie wyrwij mi się z jaką polakeryą...

— Co? odskakując zapytał doktor... Wolski się uśmiechnął.

— Pamiętaj, żeś w niemieckim domu!

— Ale ba! dom pana radzcy a mieszkanie Polaka...

— Proszę cię...

— Chodźmy, zawołał porywczo garbus — nie lękaj się, potrafię pogodzić obowiązki grzecznego gościa z obowiązkami sumienia...

Wolski potarł głowę — ścisnął go za rękę, poszli do salonu.

Salon urządzony był po niemiecku — wiele pretensyi a mało gustu... Uderzyło zaraz u wnijscia doktora, jak różnie wyglądało mieszkanie pani od zaniedbanego pokoiku męża. Tu było prawie wytwornie... W oknach stały kosze z kwiatami, papuga krzyczała w złoconej klatce... na ścianach czekając na obrazy wisiały w szerokich ramach oddruki z alpejskimi widokami... Znać było, iż nie smak mieszkańców ale tapicera kierował urządzeniem tego przybytku muz, ozdobnego w fortepian i zarzuconego książkami.

Pani domu zawsze majestatycznie piękna, choć cały jój wdzięk ograniczał się na twarzy, bo postać była płaska i nie zbyt kształtna... podała rękę do-

ktorowi na powitanie. Przy mężu wyglądała na panią, on przy niej na szambelana królowej. Wyraz twarzy energiczny, surowy był i nie miły, ale go złagodzić umiała wyrobionym uśmiechem.

Stojący za nią mężczyzna w surducie z rękami w kieszeniach, dosyć niezgrabny, ale okrutnie nadęty, go-dzien był szczególnego zastanowienia. Był to typ specy-ficznie niemiecki a nawet berliński. Twarz wyrażała na pół rozwiniętą ale wielce z siebie zadowolioną in-teligencją, rysy jej były nie znaczące, wyraz wybitny nadawał im charakter. Zaciśnięte usta, zmrużone oczy okryte okularami, nos mały, czoło dosyć niskie, wszy-stko oblane było jakby aureolą jakąś zadowolenia z siebie. Usta zaledwie raczyły otwierać się dla świata, oczy nań patrzeć prawie nie chciały, czoło w swych fałdach pomieściło już wszystko, co ludzka głowa objąć może... Spoglądał na wchodzącego garbusa na pół ciekawie, pół pogardliwie. Zaprezentowano ich sobie wzajemnie... obu jako doktorów a Wojtusia jako de-putowanego... Dr. Arnheim zajął miejsce po prawej ręce gospodyni, wspierając się na łokeiu, Wojtuś po lewej, gospodarz przy nim, pani na kanapie...

W kilku słowach dała do zrozumienia pani baro-nowa (tak się nazywać kazała), iż pawiętała o kole-żeństwie uniwersyteckim męża z doktorem i przypo-minała sobie króciuchne w Dreźnie spotkanie.

Wnet zagadnięto o to, że był deputowanym... Nie chcąc czynić przykrości Wolskiemu, Wojtuś po-stanowił mówić jak najmniej a nadewszystko unikać wszystkiego, co na polemikę narazić mogło... Lecz sama pani chciała się co prędzej ze swym politycznym wyznaniem wiary popisać.

— Powinszować należy panu doktorowi — ode-zwała się, tak zaszczytnego mandatu w chwili dla Nie-miec tak stanowczej i ważnej.

Wojtuś się zarumienił, chciał zrazu położyć to — ale nie mógł.

— Pani baronowa się myli, rzekł — ja zostałem wybranym przez moich ziomków dla popierania inte-resów naszej narodowości.

Wolski zbłądł, dr. Arnheim poruszył się, spoglą-

dając na mówiącego, jakby śmiałkowi, co to wyrzekł, chciał się lepiej przypatrzeć, baronowa także poruszyła się na kanapie.

— Ale w parlamencie niemieckim nie może być innych interesów jak niemieckie! zawołała żywo.

— Na nieszczęście my nie z dobrej woli ale z musu przymieszani jesteśmy całę niepotrzebnie do interesów niemieckich.

Spraw naszój narodowości bronić musimy — odparł doktor.

Nastąpiło milczenie. Arnheim i gospodyni spojrzeli na siebie.

Po chwili zdawał się budzić z uśpienia uczony autor dzieła o posłannictwie plemienia niemieckiego i począł głosem profesora z katedry:

— Panowie jesteście, widzę, nie uleczeni i nie przejednani do dziś dnia... ale są konieczności historyczne, są fatalizmy nieuniknione... Misja Niemiec cywilizacyjna...

— My także, szanowny panie, przyznajemy sobie pewne posłannictwo idei i zasad — rzekł Wojtuś z uśmiechem, wątpię, żebyśmy się w tym względzie porozumieć mogli....

— Tak i mnie się zdaje — rzekł dr. Arnheim.

Gospodyni patrząc nań uśmiechnęła się.

— Mnie się zdaje — dodała, jakby chcąc zakończyć rozmowę, że zlanie się i zjednoczenie z takim narodem jak niemiecki powinno być pożądanem i miłym... podzielać jego wielkie losy.

— Szanowna pani — uśmiechając się dodał doktor, być zjedzonym przez najpiękniejszego lwa czy panterę, jest to zawsze być zjedzonym.

Z ukosa spojrział na Wolskiego, gdyż ten mu żywo przedstawiał to szczęście, o którym mówiła baronowa....

— Dajmy pokój tym drażliwym przedmiotom — eicho i nie śmiało wtrącił Wolski... mówmy o czém inném.

Z drugiego pokoju wszedł chłopczyk właśnie, który mógł nastrożyć przedmiot nowy tak pożądanym.

Był to najstarszy synek Wolskiego Fryc, którego

on doktorowi przedstawił, szepcząc po cichu, żeby się do niego po polsku czasem nie odzywał, bo ani słowa w tym języku nie rozumie.

Chłopak był przystojny a jako ulubieniec mamy dosyć śmiały.

Gdy garbus się nim zajął, baronowa z Arnheimem zaczęła coś szeptać po cichu i śmiać się.

Fryc bez ogródki oświadczył na pytanie, czémby sobie być życzył, iż chce być żołnierzem i bohaterem jak ten, którego imię nosi. . . .

Wojtuś zmilczał — zrobiło mu się dziwnie smutno, z wyrazu jego twarzy Wolski to odgadł i oczy spuścił. Osamotniony, otoczony innemi ludźmi o wielu rzeczach zapomniał, wiele się w nim zatarło, które jeden teraz wyraz, spojrzenie boleśnie z duszy wyrывało i stawiało przed sumieniem.

Baronowa zawiązała znowu rozmowę.

— Spodziewam się, rzekła, że pan zmuszony mieszkać w Berlinie przez czas jakiś, częściej nas zechcesz odwiedzać, my z drem Arnheimem nawrócimy pana.

— Albo ja państwa! zawołał Wojtuś. Z téj naiwności Polaka Arnheim się zaczął śmiać a doktor także. . . . Śmieli się wszyscy z téj dziwacznej idei, ażeby prawda mogła być tam, gdzie jest dziesięciu przeciwko dwóchset. Za argument mogły wyśmienicie służyć pięści i — zwycięstwo musiało zostać po stronie większości.

— Przyznasz pan — mówiła dalej Wolska, że Berlin w oczach rośnie na europejską stolicę — nie ma jak Berlin! dla mnie nie ma w świecie jak on . . . to dziś istotna inteligencyi stolica.

Wojtuś nie już nie odpowiedział . . . co pomyślał, tego powtórzyć nie możemy.

— Nie znajdujesz pan, że jest nawet piękny? — dodała baronowa.

— Jest to niezmiernie dawno uznaną prawdą, że w rzeczach smaku spierać się nie można . . . lecz . . . żeby Berlin aż pięknym miał być?

— Ma charakter! ma coś wojskowego, rycerskiego, majestatycznego. . . .

— Tak, podobny jest do szachownicy, na której

rozsypane stoją wojenne figurki jeźdźców, wież, królów i pionków.

— To jeszcze embryon! rzekł deklamując Arnheim... lecz jak Rzym mógł się rozwinąć wśród pustej Kampanii, tak Berlin dźwignie się z niczego w olbrzym na piaskach brandenburskich.... Zwyciężym naturę... zrobimy raj z Hasenheide.... To właśnie piękne, że w zapasach z najniewdzięczniejszą okolicą stworzymy z niej... cudo....

Baronowa z zachwytem poglądała na mówiącego, Wolski mógłby być stać się zazdrosnym, gdyby się znał z tém nie oswoił oddawna. Arnheim... mówił i sam się sobie przysłuchiwać zdawał. Wojtuś milczał....

Gospodarz trochę był smutny i zmieszany. Odwiedziny jak na pierwszy raz zdawały się wystarczająco długie i Wojtuś wziął za kapelusz. Nie zatrzymywano go, chociaż Arnheim widocznie był tém zdziwiony, iż jego wymowa na barbarzyńcy małe wywarła wrażenie. Pożegnał go téż bardzo zimno. Gospodyni trochę grzeczniej, Wolski wyszedł z nim razem i zaprosił go jeszcze na chwilę do gabinetu.

Zdawało się, iż chciał czémś zatrzeć to wrażenie, jakie dawny towarzysz mógł wynieść z jego salonu, ale długo nie zebrał się na słowo.

— Przyznaj się — zawołał wreszcie, zbierając na odwagę — ty mnie już masz za zginionego człowieka, nie prawdaż? Westchnął.

— A! tak nie jest — wierz mi — ale są życia konieczności i moralne przymusy straszne. Wystaw sobie dawne położenie nasze, kobietę, która się dla mnie zrzekła wszystkiego. Mógłżem ję wydzierać jeszcze jej przekonania? dręczyć ją nawracaniem, gdy marła dla mnie głodem? W ciągu tego nowicyatu anim mógł anim chciał walczyć w imię mojej narodowości.

— Ale się spodziewam, że dziś swobodniejszym będąc, odparł doktor... nie zaprzesz się swych przekonań?

— A! zapewne! zapewne... lecz nie mogę drażnić... to musi przyjść stopniowo, powoli. Nie zapominaj o tém, że mamy teścia, pana radzcę komer-

cyjnego, którego oszczędzać muszę, bo i tak u niego nie jestem w łaskach.

— Nie jesteś w łaskach?

— Niestety.

— To zadanie twój żony, aby się o nie starała.

— A! na nią się skarżyć nie mogę — kobieta prawdziwie wyższa.

— Ja to widzę, odparł ze zwykłym sobie sarkazmem Wojtuś — musicie oboje stać bardzo wysoko, z kądem nawet nie widać, że ty nie masz porządnego pokoju i wygod, jakieby ci należały....

Mieszkasz jak student.

Wolski się zarumienił.

— Proszę cię — to dla tego tylko, że ja żadnych wygod nie potrzebuję, odwykłem od nich, gardzę niemi.... Przez długie lata ich nie miałem, dziś stałem się dobrowolnym Diogenesem, po cóż się do tego przyzwyczajać.

Nawet Frycowi chcę tém dać dobry przykład.

Wojtuś się rozśmiał. — Z twój strony jest to niezmiernie pięknem, heroicznem.... ale gdybym ja był twoją żoną i kochał cię, nie słuchałbym a otoczyłbym cię trochę większem staraniem...

— Zmiłuj się, wybuchnął Wolski za ręce go chwytając — ale ona sto razy to chciała uczynić — ja się sam jęj oparłem. Słowo ci daję!

— A zatem milczę — dodał garbus — a że gościa masz w domu — odchodzę...

Wolski wyprowadził go aż na wschody. . Milcząc ścisnęli się za ręce.

— Proszę cię, odwiedź nas... może inaczej się przekonasz o mojem szczęściu... Ja cię także będę często odwiedzał. Radzca nie pozwala mi, abym się zajmował praktyką. Wątpię też, bym ją znalazł w Berlinie obok tylu sławnych lekarzy... Proletaryat, gdybym wyznaczył godziny (Sprechstunden), możeby się nauczył ciągnąć do mnie, ale radzca utrzymuje, że mu wschody walać będą i zabłacać... Dzieci mają bony i nauczyciela, ja w domu mało czém się zajmuję, jestem zupełnie swobodny...

— Tém lepiej, ja także wiele mieć będę godzin wolnych, zatem — do widzenia... .

Wojtuś zszedł z głową s, uszczoną. Rozmyślając o szczęściu towarzysza dziwnie usta wykrzywił... .

— Miałem wielki rozum jednak, żem się nie ożenił — rzekł w duchu — muszę sobie oddać tę sprawiedliwość. Mój Boże! a ta Lutka taka była śliczna... i tak się uśmiechała, jakby mnie istotnie chciała uczynić szczęśliwym! Ale ba! stary wróbel nie dam się wziąć na płewy... Nie — nie... .

Jednego poranka gdy doktor pracował nad mową, którą miał mieć w parlamencie, wszedł Wolski mizerniejszy niż zwykle i tak smutny, że nawet wyrazu swej twarzy ukryć nie usiłował... . Siadł, podparł się na łokciu, zadumał nie mówiąc słowa.

— Co ci to jest?

— Nic — głowa mnie boli!

Wojtuś mu puls pomacał.

— Poruszony czémś jesteś... .

— Nie wiem... . odparł roztargniony Wolski — a ty co robisz?

— Widzisz, pracuję nad mową, która się na nic nie zda i za którą oberwiemy kilka znanych nam już obelżywych wyrażeń... . Jednakże nie mogę, będąc deputowanym, nie popisać się choćby z jednym, jedynym Maiden-Speech... . Uznana jest rzeczą, iż powinniśmy protestować do końca w obliczu Europy, która śpi, i Niemiec, które się naigrawają — trzeba być posłusznym. Według mnie daleko większego znaczenia byłoby milczenie i abstynencya tam, gdzie nic uczynić nie podobna... . ale polityka abstynencyi uznana jest za testimonium paupertatis i trzeba gardłować... .

— Ja nic nie wiem, co się w parlamencie dzieje, odezwał się Wolski wciąż roztargniony, gazet nie czytam... . nasłucham się dosyć rozumowań dr. Arnheima... . Możeż być, by wymowne słowo w dobrej sprawie nie skutkowało?

— Rzekłeś — w dobrej sprawie — podchwycił

śmiejąc się — a ja cię spytam jak Piłat, co dziś się nazywa dobrą sprawą? Dobra sprawa jest ta, która ma za sobą sto tysięcy bagnetów — wszelkie inne mogą być sobie dobre jak anioły i lénic nad ziemską jasnością prawdy... dziś się z nich śmiać będą... Dziś to, co dla Niemców jest dobre, sprawiedliwe, wielkie, szlachetne, gdy ma służyć nam, staje się złém, nie-słuszném, nikczemném, nieuczciwém... Ich narodowości, powiada Schultze-Delitsch — przyśługują wszelkie prawa, bo ich narodowość jest owocodajna, produkcyjna... a nasza nic nie warta, więc my do niczego prawa nie mamy!!

Ale dla tego mowę pałąć trzeba!.. dodał Wojtuś wstając i, położywszy po staremu obie ręce na ramionach Wolskiego, wpatrzył mu się w oczy...

— Spowiadaj mi się, od czego cię głowa boli... spluń tę biedę — lżej ci będzie...

Wolski spojrzał bystro, zabrakło mu odwagi, westchnął i zmilczał...

— Mów ty sobie, co chcesz, — począł Wojtuś — ja cię znam, nie usiłuj mi darmo wmówić, że jesteś w domu szczęśliwym... Dość na ciebie spojrzeć, by się domysleć tego, z czém ty się taisz... Tobie źle jest na świecie...

Nie podnosząc oczów, jakby się wstydził, machinalnie przewracając pochwyconą książkę, Wolski szepnął cicho.

— Choćby tak było! nie ma na to rady.

— Przepraszam cię — mężczyzna powinien być głową domu; jeśli mu źle w nim, ma tysiączne środki poprawienia sobie bytu.

— Tak, gdy jest panem w domu... rzekł Wolski — lecz ja nim nie byłem i nie jestem i nie będę... Zaczęło się to od wielkiego szczęścia, którego znać nie śmiałem nutą dla jój ucha dysharmonijną... milczałem... W nędzy i prywacyach jako silniejszy nie mogłem się znęcać nad nią... a teraz... teraz ona jest w domu rodziców, w którym rozkazuje ojciec — ja zaś... jeśli chcesz — mam rolę cierpianego sługi, nad którym wspaniałomyślne Niemcy mają trochę li-tości...

Ojciec mnie nie cierpi. Jest to najgłupszy człowiek pod słońcem a tak zarozumiały, jak tylko Niemiec być potrafi.

— Tak mi mów — klepiąc go po ramieniu począł Wojtuś... teraz to się zrozumiemy, boś przecie usta rozpieczętował... A może we dwu poradzimy sobie.

— Jestem przekonany, że to niepodobieństwo.

— Zlituj się — masz przecież lub powinienes mieć w żonie sprzymierzeńca?

— W żonie, która się lęka, ażeby jej i dzieci naszych ten gbur Niemczysko nie wygnał a nie wziął sobie synowca za spadkobiercę imienia i majątku. O tém już była mowa.

Musiałem na łup mu oddać dzieci, dozwalając je wychowywać najniedorzeczniej dla tego, aby im ten nieszczęsny majątek zachować. Dałem słowo, że żadne z nich po polsku się uczyć nie będzie.

Zmilkł nagle.

— Ależ żona! żona! wołał Wojtuś.

— Nie zapominaj, że jest Niemką i że wyrocznią dla niej jest dr. Arnheim... i jemu podobni...

— Więc cię nie kocha, jeśli widząc cię cierpiącym stara się tego brzemienia ani zdjąć z ciebie, ani ci ulżyć.

— Ja ją kocham — zawołał Wolski... a ona mnie... Jakże ja mogę iść w porównanie z ojcem, z niemiecką ojczyzną, z ideami i z kolosalnym majątkiem pana radcy komercyjnego?

— Wiesz co, to nie ma innéj rady, jak widzę, tylko pójść do Sprei i w tém samym miejscu, gdzieś nieboszczyka Haenschena ratował, utopić się, ale tak skutecznie, aby nie było komu cię z wody wyciągnąć.

— Nieraz myślałem o tém — smutnie odpowiedział Wolski — tylko nie szedłbym do brudnej ich Sprei — poszedłbym do apteki... ale ja kocham te dzieci, te moje dzieci, które wychowanie mi odbiera, które w oczach mych odrywają od mych piersi, które uczą mną ojcem pogardzać — dla nich cierpię.

W kradzionych chwilach na ucho... leję w nie słowa, antidota, aby na nie trucizna nie skutkowała.

Lecz cóż znaczy słowo moje obok tego, co słyszą z ust matki, co z jej piersi wyszały.... Radzca komercyjny czuje i wie tak dobrze, iż nie będę śmiał mu się opierać, że z przyjemnością znęca się nademną bezbronnym.... Wybiera chwile, by przy dzieciach szydzić z Polski i szczerzyć w nich pogardę dla nas — dla mnie.

— A żona twoja pozwala na to? a ty milczysz i nie upominasz się o prawa swoje....

— Aby mi jutro dżwii pokazano? — zapytał Wolski.

— Nimesz mi to powiedział — rzekł garbus, połowy tych rzeczy domyślałem się, całej jednak okropności tego położenia nie wyobrażałem sobie. Jesteś tak przywiązany do niej — do dzieci....

... Ale nie! nie! nie chcę cię na złe ciągnąć! nie skończę lepić....

Powiem inaczej — przywiązujesz taką wagę do tego przebrzydłego majątku, ażebyś dla niego poświęcał przyszłość dzieci? Na twojem miejscu... otrząśbym pył z nóg i uszedł z dziećmi i żoną z tego domu.... Jesteś lekarzem, kawałek chleba znajdziesz wszędzie!

— Lekarzem? zaśmiał się Wolski — jakim ja lekarzem jestem?? Nie miałem nigdy ani myśli swobodnej, aby zużytkować naukę, ani dość ją cenilem, by ją pielegnować i zachować. Zapomniałem, com umiał.... Nędza zjadła we mnie wszystkie siły... w niej utopiłem zdolności... jestem dziś ruiną do niczego.

Mówił to z tak przejmującą boleścią, że Wojtuś jak oślepiały go słuchał.

— Ale to nie może być — wykrzyknął, nie jest tak źle, jak mówisz — jakiś ratunek być musi!! Nie mówiłeś nigdy z żoną otwarcie. Jeśli istotnie jest kobieta z sercem, uczuciem i rozumem, pojmie i uczyje położenie twoje.

— Powinnaby je była sama od dawna widzieć i zrozumieć — przerwał Wolski — serce ma dobre, rozum jasny, ale dziś przedewszystkiém jest matką. — Chwila upojenia minęła, zimna rozwaga przyszła...

ma dzieci.... Ja dopiero po nich, po ojcu idę i matce.... Ona nie szemrząc poświęciła się dla mnie, jam powinien uczynić z siebie dla niej ofiarę.

— *Circulus vitiosus!* — zawołał po chwili Wojtuś — z tego wyjść nie podobna.

— Tak — cierpieć potrzeba... i milczeć... Niepotrzebnie się wypowiadałem przed tobą, ale są chwile, gdy człowiek w sobie wezbranego uczucia wstrzymać nie może....

Fryc dziś rano... nie wiem, z kąd i dla czego, potwarzał ciągle — *Verfluchte Polen!*... tkwi mi to w sercu.

— Jeżeli dzieci poratować już nie możesz... po cóż się masz zamęczać... rzuć ten dom... Wrócisz doń, gdy będzie można...

— Zamknąłby się za mną na wieki — mruknął Wolski — na wieki! Ja chcę choć patrzeć na nich....

Gdybyś ty widział małą moją Elizkę uśmiechającą się do mnie... — gdybyś posłyszał jój szczebiotanie....

A! nie! nie! dodał — lepiej stokroć cierpieć a nie rozdzielać się od nich....

Nie wyżyłbym... myśli tej przypuścić nie mogę. A jednak, wierz mi — jestem bardzo nieszczęśliwy... może daleko więcej niż mówię....

Tu oczy mu się zaiskrzyły, rzucił trzymaną książkę o stół i padł zakrywając oczy na kanapę...

Wojtuś o nic już więcej nie pytał.

Po co było krwawą sondować ranę, nie mogąc jój uleczyć. — Dreszcz przeszedł po nim tylko. Milczeli oba długo.

— Słuchaj, odezwał się wreszcie garbaty — gdy rzeczy są bez ratunku, zacisnąć usta, cierpieć — milczeć, czekać. Wprawdzie ja na twém miejscu chwyciłbym się heroiczych środków... lecz sam ci doradzać nie będę.

— Ale jakich? jakich?

— Zagroziłbym, że ich porzucę....

— Zagroził! — Wolski zaśmiał się a śmiech był przejmujący do szpiku kości — słysząc go Wojtusio wi źle się zrobiło, rzucił się aż na krzesło. — Zagro-

ził! doskonały! — wołał Wolski — ale oni tego chcą, czekają tego, pragną... ta groźba byłaby dla nich radosną nowiną....

— Przecież nie dla niej — nie dla żony?

— Zapewne — dziwnie wybąknął Wolski, lecz do wyboru mając między mną a losem dzieci, nieochoybnieby ostatnie przeniosła. U nas możeby się to odbyło inaczej, — uczuło odmiennie — ale dla Niemki... majątek!! dwakroć, trzykroć sto tysięcy talarów! Jestże istota na świecie, któraby położona na szali przeważyla trzykroć sto tysięcy talarów..!!

— Przecież ty sam przeważyleś... — wtrącił garbus, gdy dla ciebie uszła z rodzicielskiego domu?...

— Mylisz się... Helma wyznała mi sama, iż się po ojcu téj surowości nie spodziewała nigdy, że rachowała na wpływ matki, że była pewną, iż go przeblaga... inaczej — byłaby może czekała na mnie, ale nie uszłaby ze mną...

Doktor wyczerpawszy wszystko i widząc, że w Wolskim rozdrażnienie próżne rosło, jak wprzód rad był go do wyznań pobudzić, tak teraz pragnął je powstrzymywać. Lecz raz otwarte usta biednego męczennika, który cierpiał tak długo, nie mogły się zamknąć łatwo... Rosła w nim gorączka.

— Cóż cię dziś do tego stanu przywiodło? — odezwał się Wojtuś.

— A! dziś — nic! Kropla często jedna czarę dopełni... i bryźnie z brzegów... Dzieciństwo... mój krawiec zamiast mi przynieść rachunek, posłał go radzcy a on, nadpisawszy na nim głupstwo, raczył mnie go odesłać...

— Czemużeś go wprzód nie opłacił?

— Czem? zapytał Wolski.

— Ależ żona...

— Żonie tak samo jak mnie każdy grosz rachują, uchodzimy za stratnych... — mówił Wolski. — Ja zarabiam, gdy się uda, i obywam się bez ich łaski, ale nie zawsze zarobić mogę — żona, gdy co dostanie, obraca na dzieci i — na książki... nigdym od niej nic nie potrzebował... głupi krawiec byłby mi oszczędził upokorzenia, czekając dni parę... znalazłem ro-

botę... na praktykę nie liczyć nie podobna, wziąłem do tłumaczenia fizyologią... siedzę po nocach... dostanę kilkadziesiąt talarów...

— Kilkadziesiąt!

— Tak, najlepszych w świecie tłumaczy tylu mrze z głodu, iż to jeszcze łaska, że innym odebrał robotę...

Wojtuś otworzony pugilares położył przed przyjacielem, który go zlekka odtrącił.

— Wszystko już załatwione — przeszło — skończyło się — chciałbym tylko zapomnieć, zasnąć wrażeń i wrócić do téj skorupy lodowej, którą okryty chodzić muszę...

Tylko dziś pójdziemy gdzieś razem... abym nie wrócił do domu, aż się pośpią wszyscy... Lischen moja pytać tam będzie o ojca może — ale się dużą łaską pocieszy, którą od babki dostała... Fryc nie załkopcze się o mnie... a Emil... nie wiem...

Biedne dzieci! biedne dzieci!

Ale będą miały po stotysięcy talarów i dziadzi wyrobi baronostwo von Wolski — Riebe...

Zaczął się śmiać konwulsyjnie...

— Chodźmy, chwytając go za rękę począł doktor, dosyć tego — zapraszam cię na obiad — przypomniemy dawne czasy...

Ale — cóż się stało z Richterową?

Wolski się uśmiechnął.

— Zastałem pocziwą kobietę biedniejszą niż kiedykolwiek była... zawsze w boju z niewdzięcznymi studentami, których utrzymuje.

Przyjęła mnie jako syna... popłakaliśmy się. Chodzę do niej czasami... ale nie miał siły zajść do téj mojej izdebki...

Po północy już było, gdy Wolski po przeciągniętych do nieskończoności obiedzie, który się stał wieczszą, rozmarzony nieco, rozgorączkowany powracał do domu... W ulicach było pusto... a około domu radzcy komercyjnego żywego ducha... W oknach ani na pierwszym ani na drugim piętrze nie widać było światła. Tego sobie życzył właśnie. Mógł wniść do swojej izdebki nie widziany i we śnie resztę utrapień

utopić... Z pokoiku, któryśmy opisali, małe drzwiczki wiodły do szczupłej, ciemnej alkowy, w której stało nędzne łóżko doktora... z łaski czasem nieco odświeżone przez służącą, która wiedząc, że jój nikt za to słowa nie powie ani się upomni, nie potrzebowała bardzo się panem kłopotać.

Podrzędna rola, jaką Wolski grał w domu, była tak dla wszystkich widoczną, iż wpływała nawet na obejście się z nim służby. Nawykły już po części nie upominał się ani poskarżył nigdy. W domu spało wszystko... gdy dostawszy się na drugie piętro powoli drzwi otworzył i omackiem skierował się ku swęj izdebce... Zdała dolatywało go tylko kwilenie dziecka... był to głos matkój Lischen — którą matka najmniej lubiła a którą on kochał najwięcej. Zatrzymał się chwilę, zdało mu się, że dziecko usypia — uspokojony więc powlókł się do swęj alkowy.

Tylko co był wyszukał i zapalił świecę, gdy od salonu, który przez jakiś pokoik łączył się z jego gabinetem, kroki słyszeć się dały... Poznał chód żony... Byłby wiele dał, aby się z nią dzisiaj w tém rozdrażnieniu nie widzieć, podbiegł więc prędko, aby drzwi zaryglować po cichu, ale nim pospieszył, Helma z książką w ręku ukazała się na progu...

Zmierzyła oczyma stojącego naprzeciw męża i zapytała zimno:

— Cóż się z tobą stało?

— Jakto? — odparł Wolski — dla czegoż miało się co stać?

— Nie byłeś cały dzień w domu.

— Dziwi mnie, żeś ty to mogła spostrzedz.

Helma spojrzała na niego z góry, zdziwiona tonem niezwyčajnym.

— Cóż to? wymówka? rzekła marszcząc się.

— Nie — ale objaśnienie... dodał Wolski biorąc świecę i chcąc odejść do alkowy — kobieta stała w progu potrząsając książką; nawykła była do pokory — nadekakiwania, posłuszeństwa, bunt ten raczój dziwił ją niż przestraszał.

— Rozumiem, mruknęła po cichu — towarzystwo

nasze nie może ci tak przypadać do smaku jak twoich panów Polaków.

— Proszę cię, moja Helmo, — odezwał się odwracając Wolski, nie zapominaj, że ja jestem też Polakiem. Winienem tylko, że ci tego częściej i jaśniej nie przypominał.

Kobieta zaczerwieniła się. — Nie potrzebujesz mi przypominać tego, rzekła — czuję to i widzę ciągle, nigdy się też nie zrozumiemy. . . .

— Zwłaszcza od pewnego czasu — dodał Wolski.

— Od jakiego czasu?

Chwilę milczał doktor, ręka, w której lichtarz trzymał, trzęsła się widocznie.

— Od czasu, jak mnie nie potrzebujesz, jak przestałem być parobkiem a stałem się gracyalistą — na lasce. . . .

— Żle ci jeszcze? odparła Helma.

— Przypatrz się i pomyśl a nie będziesz mnie o to pytała — zawołał wybuchając Wolski. Możeż mi być dobrze? Jestem mężem i głową domu a gram rolę sługi . . . twoi rodzice nie cierpią mnie, ty zaledwie znosisz, jestem pośmiewiskiem domowych i obcych, nie mam ani władzy ani woli. . . . Zaparłem się dla ciebie stósunków, kraju, języka mego, wszystko, co mi najdroższe . . . cóż mam za to? że mi nawet własnych mych dzieci nie wolno wychować, jak chcę. . . .

Helma słuchała tych wymówek z zimną krwią pozorną, widać jednak było, że z trudnością utrzymać się mogła.

— Jesteś niewdzięczny! — krzyknęła wreszcie — poświęciłam ci, co kobieta ma najdroższego, młodość — związki rodzinne, ojca, matkę . . . cóżes ty dla mnie zafiarował? barbarzyński jakiś język i umarłą narodowość, która nigdy bardzo żywą nie była! Polak! cóż to jest? spytała drwiąco. Słowianin! Slave! niewolnik — to wasz los i przeznaczenie. . . . Wyście stworzeni na niewolników, my na panujących — macie to, na coście zasłużyli.

Wolski, którego cały ten dzień roznamiętnił — obrócił się groźny, zmieniony, jakim go jeszcze nigdy nie widziała Helma. Stuknął nogą o posadzkę.

— Milczeć, kobieto! — zawołał — jak wy wszyscy bezbronnemu bezkarnie chcesz mi uragać — ale nie sądzę, bym był tak bezsilnym i przybitym — i rozbak zdeptyany głowę podnosi...

Dosyć tego!..

— Śmiesz mi to mówić — ty? tu? pod dachem moich rodziców i moim, ty, któremu my dajemy przytułek z łaski... ty...

Oczy jej zapalały, podniosła pięść do góry, pięknosc jej zmieniła się w jakąś maskę Meduzy... — Straciła przytomność.

Ten wykrzyk szczęściem opamiętał Wolskiego i oblał go jakby zimną wodą. Poczul się wyższym nad nią — spojrzał pogardliwie.

— Powtórz, coś powiedziała — rzekł stygnąc — powtórz jeszcze raz...

Helma zarumieniona drżąc zamilkła.

— Tak, jestem tu na łasce i z łaski — dodał Wolski stawiając świecę na stole — przypomniałaś mi to — czas koniec położyć temu... Mężczyzna na łasce kobiety, której serce dla niego bić przestało... niżej już upaść nie można... — czas się podnieść!!

Nie patrząc już na nią, pomyślał chwilę, świecę postawił na stole, uśmiechnął się sam do siebie, kapelusz nałożył na głowę... jakaś niepewność miotła nim.. póki wyminąwszy Helmę, która stała nie wiedząc, co począć z sobą, nie ruszył się krokiem szybkim przez pokój i salon ku pokojowi dzieci... Helma pozostawszy sama zwolna, jakby ciekawością wiedziona szła za nim z głową spuszczoną. Gniew ją opuszczał — nie wiedziała, jak się skończy ta scena nie pierwsza w ich pożyciu, ale jedyna, która niecierpliwość obojga doprowadziła do krańca...

Wolski cicho wsunął się do pokoju dzieci — Lischen spała w swojej kolebce... zbliżył się ku niej i stanął nad nią. Dziecię jakby posłyszało czy poczuło kogoś, przeciągnęło rączki, poruszyło główką, otworło powieki, poznało ojca i uśmiechnęło się.

Wolski pochylił się ku kolebce.

Lischen ręce wyciągnęła ku niemu.

— Nie — ciebie porzucić nie mogę — zamru-
czał — chodź Lischen... chodź.

Jakby zrozumiała go rozespana dziecina przechyliła
się ku niemu...

On zlekka wziął ją z poduszką razem na ręce i
płaszczem, którego zrzucić nie miał czasu, otuliwszy
starannie, gdy dziecię wnet oczy zamknęło do snu —
podniósł i uniósł ją z sobą. Nie powracając przez
salon wprost wyszedł do przedpokoju.

Helma z książką na kolanach padła była zamy-
ślona w krzesło w salonie, pochlebiając sobie, że się to
wszystko skończy na słowach a Wolski jutro pod zwykłe
jarzmo powróci, gdy usłyszała otwierające się drzwi
jedne, potem drugie i poznała, że mąż jój wyszedł...
Zbladła... stała zamyślona... zdawało jój się, że to
była bezsilna demonstracya tylko. Z szyderskim uśmie-
chem, guiewna powlokła się przez pokój dzieci do sy-
pialni...

Przechodząc rzuciła okiem na kolebkę najmłodszej
i postrzegła, że jój nie było... Z załamaniem rąkani,
jakby nie wierząc oczom, zbliżyła się, dotknęła — po-
ściółka była jeszcze ciepłą... Nie było wątpliwości
teraz, że Wolski zwrócił się po to, ażeby zabrać Lis-
chen i wyjść z tego domu na zawsze...

Miłość dla Wolskiego dawno w niej ostygła, do-
ktor nie bez przyczyny posądzał ją o serdeczne stó-
sunki z Arnheimem, który tu co dzień i po całych
dniach przesiadywał — nie szło jój o męża, obojętnego,
niemiłego może, ale się czuła obrażoną... dotkniętą —
cierpiała jój miłość własna. — Zgodziłaby się była
na odepchnięcie go, ale odepchniętą być — na to po-
zwolić nie mogła... Zburzyła się gniewna i porwała
natychmiast od kołyski. — Nieprzytomna przeszła się
parę razy po pokoju dzieci, nie wiedząc jak, wsunęła
się do salonu... zamyślona... oslepiła. Potrącała się
o meble i chwylała za nie, aby nie paść.

Była pewną, że ten mąż, z którym się dotąd ob-
chodziła, jak chciała, zniesie wszystko i upokorzony
padnie przed nią... Co mu się stało?

Przypisywała to zuchwalstwo wpływowi jego ziom-
ków, zetknięciu z nimi. Zwiększyło to jeszcze jój nie-

nawiść. W tej chwili wśród nocnej ciszy zegar wybił pierwszą... Matka spała... potrzebowała się widzieć, poradzić, przygotować z nią na dzień jutrzejszy... Chwiejącym się krokiem poszła po światło do pokoju dzieci... wzięła je i wahała jeszcze, iść czy nie iść?

Matka była przywiązaną do niej, do wnuków, zupełnie obojętną dla Wolskiego, do którego miała żal zawsze — ale w domu na pozór znaczyła mało a wpływ jej na radcę, niekiedy przeważny, czasem był zupełnie bezskuteczny. — Riebe w wielu rzeczach ustępował, w innych narzuconego mu zdania nie przyjmował i odpychał je zacięciem... Cicho otworzywszy drzwi Helma zeszła na dół, miała zawsze klucz od mieszkania matki... Obawiając się rozbudzić ojca, który zresztą sypiał i chrapał jak parobek nie jak radzca komercyjny i kawaler orderu korony klasy trzeciej na pętlicy — wsunęła się ostrożnie, osłaniając światło... do drzwi pokoju matki... Była to niemał tak uboga izdebka jak ta, którą przeznaczono dla Wolskiego. Radczyni ani lubiła ni potrzebowała przepychu...

Skrzypnięcie drzwi i promyk światła natychmiast rozbudził staruszkę... porwała się przerażona, postrzegła córkę i domyśliła się, że bytność jej o tej porze nic dobrego nie wróżyła.

Pierwszą jej myślą były wnuki... jedno z nich pewnie zasłabnąć musiało...

Złożywszy ręce czekała, co jej Helma powie, szepcząc coś niezrozumiałego drżącymi ustami...

— Co to jest? co? mów!

Córka postawiła światło, potarła czoło i padła na fotel u łóżka matki, zakrywając twarz rękami.

— Dzieci chore? spytała matka.

— Nie! ten człowiek! ten człowiek... przerywanym głosem poczęła Helma...

Wystaw sobie... powrócił przed chwilą... nie było go cały dzień... poszłam mu uczynić wymówkę... tak — być może, iż się uniosłam... na niewdzięcznika, który nam, mnie winien wszystko... Nie wiem... czy wrócił nietrzeźwy, czy oszalał... obszedł się ze mną, jak jabym ze sługą się nie obeszła... Zabrał Lischen i uszedł...

Lisichen była właśnie faworytą babki, która powtórnie załamała ręce i cichym głosem zawołała... — W nocy! Lisichen się zaziębi... z kołyski wprost! Co się z nią zrobi... to dziki człowiek, barbarzyniec, bez serca...

Staruszcze łzy pociekły, córka siedziała z brwiami namarszczonemi.

— Miałam go już dosyć i odpokutowałam za błąd mój... żem się dała uwieść temu człowiekowi, który z méj nieznajomości świata korzystał... nie cierpię go, nienawidzę... ale żeby on śmiał mnie porzucać... a ludzie mówili... Nie! ja tego nie zniosę...

Porwała się z krzesła i chodzić poczęła po pokoju...

— Cicho! odezwała się matka — radzca usłyszeć męża! (zwała męża zawsze panem radzcą). To strach tylko, to pogrożka... on jutro powróci... Znasz go, cóżby począł sam jeden z dzieckiem. Ale moja Lisichen! moja Lisichen... Jakbyś miała przeczucie! Chciałam ją na noc wziąć do siebie...

W téj chwili donośne aż tu chrapanie radzcy nagle ustało, mogło to być oznaką przebudzenia, obie kobiety przestraszone zamilkły, spoglądając na siebie. Wkrótce jednak przemogło uczucie gwałtowne, Helma zaczęła chodzić i wyrzekać gniewna, matka ją uspokajała — chrapania słyszeć nie było. W chwili, gdy zapomniawczy o ojcu i podniósłszy głos rozmawiały o téj nieszczęsnej nocnej przygodzie, drzwi sypialnego pokoju otwały się nagle i radzca komercyjny w narzuconym starym szlafroku, szlafmicy i pantoflach stał jak widmo przed przerażonemi i pochwyconemi na uczynku jakiegoś spisku kobietami. Zrazu patrzył na nie rozespany, gniewny, nadęty, wreszcie oburzony krzyknął:

— O téj godzinie! co tu baronowa robi! co to jest! Powaryowałyście! ja chcę spać...

Helma najmniej się zmieszła i pierwsza postąpiła do ojca.

— Wolski uciekł z domu zabrawszy z sobą Lisichen...

Rieba zdawał się nie rozumieć.

— Co? kto? zapytał... kto uciekł?... Poszalałyście.

— Wolski uszedł z domu, zabrawszy z sobą dziecko....

Radzca osłupiały stanął.

— Uciekł? kiedy? to nie może być!?

Nie pojmował, ażeby kto mając dach i wikt bezpłatny mógł od takiego dobrodziejstwa uciekać, choćby mu pod nosem drzazgi palono. Patrzał na żonę i córkę na przemiany.... Usta mu się wykrzywiły, zamyślił się głęboko.

Kobiety czekały zaciękawione, co powie.

— Uciekł!! hm! flut.... Zabrał to, co do niego nie należy! Córka należy do matki, synowie do ojca.... ale ja mu nie dam ani jednej ani drugich.... To wprost Schwindel, aby odemnie dostać pieniędzy. Olartus ten jakiś — włóczęga... ten... Polak!

Splunął.

— Jakże się to stało?

Helma opowiedziała mu śmiało swoje z mężem spotkanie, wiedziała, że za to złajaną nie będzie, ale opisała je tak, jak potrzeba było dla niej i dla ojca. Radzca sierdził się co raz mocniej i fukał co raz głośniej a potakiwał córce... wtórując... Der verfluchte Pole!

Przeszedł się parę razy po pokoju namyślając.

— A! so ist's... so! so! — powtórzył razy kilka zamyślony.... Dobrze więc — zagramy my we dwóch z sobą — zobaczymy, kto z nas wygra!! zobaczymy....

Ale mi wstyd ludzi! co jutro powiedzą... słudzy rozniosą po mieście, że mąż uszedł z domu dziecko unosząc...

Mąż! Polak! — wzgardliwie rzekł radzca — wszyscy wiedzą, że oni są szaleńcy, że mózgu nie mają, cultur unfähig!! Co mi.... tam!

Idź spać, nie ma się o co troszczyć.... Racluje na mój pugilares... spekuluje na radzce.... Radzca mu pokaże, iż się tego nie obawia....

Spać!... To mówiąc splunął, podał rękę milczącej żonie i zwolna się wyniósł do swjej alkowy. Helma pozostała zamyślona. Jedno uczucie miotło

nią, gniew i pragnienie zemsty.... Szczęściem miała przyjaciela, na którego łono nazajutrz obiecywała sobie wylać całą boleść, pewną będąc, że on ją zrozumie i podzieli. — To ją nieco uspokoiło, stawiała się niemal heroiną — schyliła się ku matce i krokiem dramatycznym wyszła napowrót na górę.

Nazajutrz cała ulica — całe miasto miało mówić o niej — któż wie — Spener lub Voss pod rubryką Locales und Vermischtes mogły pomieścić jej przygodę. Arnheim się musiał postarać, aby Polak w przyzwoitým świetle w niej wystąpił.

Otuliwszy swą zdobycz płaszczem od chłodu no-
cnego Wolski skierował się z nią ku Lipom (Unter
den Linden) — sam dobrze nie wiedząc, gdzie i jak się
podzieje.

Dziecię potrzebowało co najrychlej spoczynku —
on nie miał nawet dosyć siły, aby je dźwigać na rę-
ku... Pierwszy hotel, jaki mu się nastręczył, był dlań
dobrym, byle się co najprędzej pod dach dostać. Noc była
cicha, jesienna, chłodnawa, chwilami wiatr wdzierał się
w ulice i przelatywał je, unosząc pyły przez dzień na-
gromadzone....

Wolski chwycił za dzwonek i potrząsł nim z ca-
łą siłą. W gospodzie spało już wszystko, lecz dzie-
cię przebudziło się na rękach i płakać zaczęło.

Nie rychło stukanie pantoflami dało się słyszeć
wewnątrz i zaspany zastępca oddźwiernego wyszedł na-
rzuciwszy na siebie płaszcz a ujrawszy nieznajomego
mężczyznę z dzieckiem na ręku cofnął się przestraszony,
chcąc mu drzwi zatrzasnąć przed nosem.

Wolski wcisnął się gwałtem prawie.

— Na miłość Bożą — zawołał — zapłacę, co ze-
chcecie, potrzebuję izby, abym w niej przenocował.

Czarodziejski to wyraz w Niemczech, obietnica
zapłaty nieograniczonej — stróż zastępujący oddźwier-
nego zdawał się namyślać.

Wolski wcisnął mu w rękę talara.

Na dole była ciupka wolna. Stróż mruczając po-
prowadził go do niej. Nie miałby najmniejszej pewnie

trudności, gdyby w towarzystwie zakwestionój jakiej pani zażądał o późnej porze mieszkania — ale z dzieckiem na ręku! Stróżowi wszystkie tragiczne historye stolicy na myśl przychodziły.

Począł się przy żapalonój świecy przypatrywać z kolei gościowi, którego twarz wzburzona gniewem świadczyła jak najgorzej, to dziecku, które złożone na pościeli już usypiało znowu.

Wolski opamiętał się, że mało co więcej miał nad tego talara, siadł więc natychmiast, by pisać do Wojtusia, i zaklął stróża, ażeby list był o świecie umyślnym wysłany — bądź co bądź.

List, na którego adres rzucił okiem dosyć niespokojny Niemiec, nieco go ulagodził. Zmiarkował, że chyba w tém wszystkiem żadnego nie było kryminału. . . .

Przyrzekłszy więc list co najrychlej wyprawić — odszedł zostawując przybysza, który się rzucił w fotel i osłoniwszy światło — postanowił tak noc przepędzić. . . .

Na sen nie zbierało mu się wcale — rzucone były kości! — został sam na szerokim świecie z dzieciną. . . .

O żadnej zgodzie i przejednaniu myśleć nie mógł, pożegnał ten dom i tych ludzi, którzy pochłonęli część jego życia — na wieki! Z pierwszych dni szczęścia zmieszanego z niedolą zostało mu mętne wspomnienie pełne boleści. . . . za nimi szły lata całe bytu galernika w pokrze za zbrodnią odpokutowującego. Dziwił się, jak mógł tak długo wytrwać, jak mógł ją pokochać i miłość dla niej zachować tak długo. Teraz przychodziły mu na pamięć wszystkie gorycze, które pił z kielicha, co miał być pełen nektaru. . . . z kolei przypominał wszystkie jej wyrazy, któremi ciskała nań jak kamieniami. Odbiły się one, ale bliźny po nich bolały teraz. Obraz kobiety, która mu się wydawała aniołem, potem wieszczką, Wellidą jakąś, ideałem, po woli zmienił się w Eumenidę. . . . Stósunek jej z Arnheimem teraz dopiero z całym cynizmem swym stawał przed nim. . . . Nie kryli się wcale z uwielbieniami wzajemnymi. . . . sto razy widział ich z dłonią w dłoni

siedzących i szepcących jakieś tajemnice... nie bolało go to naówczas, — bolało teraz dopiero i oburzało.

Lecz to życie było skończone — nowe późno należało rozpocząć... Z przeszłości została mu tylko Lischen z szafirowemi oczyma, z różową buzią, ze świeżym uśmiechem dziecka, co się zaledwie budzi do żywota....

W takich marzeniach, pół senny, na pół czuwając dotrwał do dnia... Spojrzał na zegarek licząc chwile, gdy się będzie mógł garbusa doczekać. Szczęściem Lischen spała smaczno i budzić się nie myślała. Miaso ożywiać się zaczynało, dając pierwszy znak życia, bo już po niém słychać było maszerujących żołnierzy... Wolski rachował na to, że garbusa list zastanie w domu; — nie omylił się szczęściem: zaledwie przyodziawszy się jako tako, Wojtuś z rozrzuconemi włosami wpadł do pokoiku... Wolski prosząc go o cichość wskazał na uspioną Lischen...

— Ratuj mnie! — zawołał — w tobie pokładam nadzieję, kieruj, rozkazuj, mów — ale mnie nie opuszczaj... mnie i dziecka. Bez niego nie mogłem opuścić tego domu...

— Bądź spokojnym — szepnął garbus — prędzej później czémś podobnem historia twoja skończyć się musiała. — Powiedz, jak do tego przyszło; rozstając się wczoraj nie zdawałeś mi się wcale usposobionym do takiego *coup de tête* czy *coup d'état*.

Wolski począł mu opowiadać całą scenę z żoną, którą garbus zdawał się odczuwać całym sercem i buczył się za dwóch.

— Teraz, rzekł wysłuchawszy — gdy się dziecię obudzi i my je napoimy i nakarmimy... dorózkę bierzemy, jedziemy szukać mieszkania... ja piszę do domu... aby ci na prowincyi wskazano miejsce, gdziebyś mógł osiąść. — Nim się czegoś dorobisz, zostawuję ci tysiąc talarów... tylko ani podziękowań — ani słowa...

Ścisnęli się za ręce...

Wojtuś spojrział na zegarek, było pół do dziesiątej. — Zwolna podniesiono stor, wpadło światło i Lischen otworzyła oczy.

— Od jutra — rzekł patrząc na nią Wojtuś — panna zacznie uczyć się po polsku...

Lischen obudziła się w niezłym humorze, choć nieco zdziwiona, że ani Myny, nianki, ani babki nie wiadać było i miejsce jakoś obce...

Ojciec jój, wzięwszy ją na kolana, potrafił wytłumaczyć, a nadewszystko pomogła do rozweselenia kawa i sucharki. — Wojtuś patrząc na dziecię posmutniał.

— Nawet w biedzie ty jeszcze jesteś szczęśliwszy odemnie — rzekł — taką uśmiechniętą twarzą a-niołka unosisz z sobą z rozbicia! Nie dośćże tych dwójga niebieskich oczów niewinnych... aby rozpromienić kątek, w którym się żyć będzie?..

Wolskiemu łzy zakręciły się w oczach, z goryczą w sercu pomyślał w duchu, że nikt nie zgadnie, co piastuje w dziecięciu — pociechę czy zawód — anioła czy niewdzięcznika?

W kamienicy radzcy komercyjnego raniiej niż zwykle pobudzili się wszyscy, możnaby raczej powiedzieć, że oprócz samego pana, który nad rankiem chrapać zaczął — nikt oka nie zmrużył. Na drugiem piętrze baronowa oznajmiła służbie, że mąż jój w nocy wyjechał z Lischen, aby jój ospę zaszcześcić i wywieźć ją z okolicy téj, gdzie się naturalna pokazywać zaczynała. Bajka była nie źle skomponowaną, ale słudzy słuchali trochę podebrzwiemi a więcej się jeszcze domyślali... Co gorzej, na pierwszém piętrze nie naradziwszy się z corką radzca swoim zapowiedział, że ktoby o zniknięciu barona z córeczką śmiał mówić, ten natychmiast precz wygnany zostanie... Podług jego własnego wyrażenia — nakazał wszystkim — „stulić pyski.“ Nie było to parlamentarnie ale bardzo dobitnie i zrozumiale.

Służba między sobą komentowała wypadek nocny w najrozmaitszy sposób, biorąc stronę pani więcej niż pana. Pomimo najsurowszego zakazu a może właśnie z powodu, iż to było tak surowo zakazanem, nie mogli się słudzy wstrzymać od poufnych zwierzeń z warunkiem dochowania tajemnicy. I była tak dobrze

zachowaną, że około południa bajka o doktorze, który nocą z dzieckiem znikł bez wieści — chodziła po całym Berlinie. Wśród innych jednak równie dramatycznych historii o pobitych czeladnikach krawieckich, morderstwie na Hasenhajde i samobójstwie w loszku na ulicy Komendantów... historia doktora przeszła, nadzwyczajnego nie wywarłszy wrażenia.

Gdy ojciec wstał — Helma blade ale ostygła już znacznie zeszła na pierwsze piętro. Radzca pił kawę z równym apetytem jak zwykle i był zupełnie spokojny.

— Nie mamy się czego trwożyć, mówił, lada chwila a on sam albo inny parlamentarz się ukaże albo mi list przyniosą.... Ja się znam na tych sprawach....

Przyniesiono wprawdzie Börsenblatt radzcy i kilka listów handlowych, ale spodziewanego nie było. Ile razy zadzwoniono w przedpokoju, Helma wyglądała ostrożnie, ale nie było nikogo. Posłała się dowiedzieć na górę — i tam się nikt nie zgłaszał.

O południu radzca komercyjny zaczął chodzić po pokoju i kłąć Polaków.... Helma milczała, ale gniew w niej rósł znowu. Jakkolwiek najmniej kochała Lischen, która była do Wolskiego podobną — jako matce tęskno jęj było za dziecięciem. Babka płakała w kątku, lecz że radzca łez nie lubił, kryła się z niemi.

Na obiad poszła Helma do siebie, przypomniawszy sobie, iż Arnheima prosiła, który i nieproszony prawie codzień przychodził. I tym razem przyszedł o zwykłej godzinie, z uśmiechem podając rękę przyjacielce. Wczoraj właśnie mówili o Wolskim, nie z wielką dlań sympatyą — uważany był bowiem za rodzaj tyrana niegodnego takiej niewiasty — i doktor Arnheim rozpoczął rozmowę od cichego:

— Pewnie i dziś go nie będzie?

— Nie wiesz więc, co się stało? doktorze — podchwyciła żywo Helma — zdaje się, że twe oczy przyjacielskie winne były z méj twarzy wyczytać, com przecierpiała. Wystaw sobie, ten człowiek śmiał, zrobiwszy mi najokropniejszą scenę w nocy...

Arnheim zbladł i zmieształ się jakby uczuł winnym.

— Ten człowiek... pochwyciwszy Lischen uszedł z domu, ani wiem dotąd, co się z nim stało.

Doktor zdziwienie okazał, ale zarazem zafrasowanie jakieś dziwne.

— Przecież nie było żadnego powodu?

— Oprócz żem mu dała uczuć niewłaściwość jego postępowania.

Zamyślił się pan Arnheim i przeszedł razy parę.

— W istocie — rzekł, — to wypadek bardzo — bardzo przykry. Kochana pani — dodał ciszej — nie dziwuję się bynajmniej jój u-posobieniu, jój eksasperacyi — lecz — czy nie za gwałtownie dłaś mu uczuć?

— A! być może — nie byłam panią siebie.

Rozgniewany na mojego ojca za fraszkę, chciał mu i nam wszystkim dać to uczuć, przez cały dzień nie pokazując się w domu. Takie postępowanie...

— Lecz zkądże przyszło?

— Zaczął mi czynić wymówki — pojmujesz! Oa! mnie! (uśmiechnęła się niby męczennicą czyniąc) narreszcie oburzenie otwarło mi usta... wszystek żal z piersi wybuchnął. Taka niewdzięczność!...

Arnheim stał skromnie patrząc w ziemię.

— A! to się jakoś załagodzi, rzekł.

— Dotąd nie dał nawet znać o sobie.

Rozmowa przeciągnęła się do obiadu, doktor Arnheim był poważny i zamyślony, pani gniewna, chłopcy natrętne dopytywały o Lischen. Zbывano je to tém, to owém. Natychmiast po kawie przyjaciel domu pod pozorem przygotowania do odczytu na korzyść jakiegoś protestanckiego Vereinu wysunął się pospiesznie z salonu. Helma towarzyszyła mu do pierwszego piętra. Tu spodziewała się może znaleźć jakąś wiadomość. Radzca siedział w fotelu kwaśny, nie było ani posłańca, ani listu.

Obrót, jaki sprawa przybierała, nie podobał się wszystkim, rachowali na jakieś układy i załatwienie skandalu. — Ale któż kiedy Polaka odgadnie? mówił w końcu radzca komercyjny, — w tych głowach pali się zawsze i sami nie wiedzą, co czynią.

— Jeżeli do godziny czwartej nie odbiorę nic — odezwał się po namyśle — sądzę, że mi wypadnie

pójść do mojego przyjaciela, pana dyrektora policyi i zwierzyć mu się z przygody... Przyjdzie nam w pomoc...

Chociaż — dodał jakby sam do siebie — właściwie o co mamy prosić? na co się to zdało! O pana barona Wolskiego nie mam się co dobijać tak bardzo. Lischen... hm!

Ręką machnął. — Tylko wy po Lischen płakać będziecie... gdyby dziecka nie zabrał, krokubym nie uczynił. Sądzę, że Helma prędkoby się pocieszyła.

Radczyni i Helma były tego zdania, ażeby czekać jeszcze. Kobietom przykro było w tę przygodę wtajemniczać obcych. Radzca przeciwnie nawykł był wszystko i zawsze czynić z pomocą i za wiedzą władz rządowych, zdawało mu się, że popełniał defraudacyę nie donosząc o tém dyrektorowi policyi.

Tak stały rzeczy ku wieczorowi; ile razy kobiety występowały z radami, Riebe już zniecierpliwiony okazywał największe oburzenie i milczeć im kazał. — Po czwartej wziął za kapelusz i wyszedł z domu.

Zaledwie piętnaście kroków odszedł od niego, gdy z zamku jadący szybko w powozie ukazał mu się ów przyjaciel, jak go zwał w domu — a w istocie eksce-lencya w ulicy, pan dyrektor policyi. — Zdjął kapelusz i przywitał go z uszanowaniem należném wysokiemu dostojnikowi, zwróciwszy się doń frontem. Miarkował z boleścią, iż go w domu nie znajdzie, i podniósł oczy pełne żałości, by spojrzeć za odjeżdżającym, gdy nadszpodzianie dostrzegł, iż powóz wstrzymany i eksce-lencya dawała mu znaki, aby się zbliżył. Jakkolwiek nieco ciężki ruszył gimnastycznym kłusikiem.

Dyrektor siedział w powozie.

— Nie mylę się? Radzca komercyjny Riebe.

— Von Riebe — do usług — Waszój ekscelencyi.

— Al to dobrze, że go spotykam.

To mówiąc wysiadł i odprowadził radzcę na stronę.

— Co się u was w domu stało? spytał.

— W. eks. już uwiadomioną? zawołał przerażony Riebe.

— Kochany radzco — jakimżebym był dyrekto-

rem i stróżem bezpieczeństwa publicznego, gdybym o tém, co się dzieje w stolicy, nie wiedział.

— Sprawa natury czysto prywatnej — odezwał się radzca wdzięcząc, — ale przyznam się, że szedłem szukać pociechy i rady na łonie Waszej eksce-lencyi.

Dyrektor się uśmiechnął kręcąc wąsa.

— Właściwie, w dwóch słowach, rzekł na zega-rek spoglądając — co to jest?

— Jest — trudna kwalifikacya... ucieczka męża od żony z porwaniem dziecka...

— Swojego własnego?

— Tak jest — nieochybnie! zawołał radzca... nocą — po północy...

— Czy zabrał więcej co z sobą? nie należącego do niego?

— Nie — o ile wiem...

— Nic z kasy waćpana?

Radzca na samo przypuszczenie się wzdrygnął.

— Zatem nie ma tu potrzeby interweniować u-rząd — sprawa familijna. Spór z żoną, który się za-lagodzi...

Cieszę się z tego.

Dyrektor chciał pożegnać już radzcę i ruszył się z miejsca, gdy ten poskoczył za nim.

— W. eks. wszystko wiadomo, zatem i miejsce po-bytu zbiega?

Dyrektor spojrzał w górę i zamyślił się nieco.

— Nocował w hotelu pod Lipami... a teraz najeli mu mieszkanko obok profesora Cyliusa... Znasz waćpan starego Cyliusa?

— Radzcę tajnego... zdrowia?

— Tak jest...

— Zna go mój krewny, pastor, z blizka, ja z da-leka...

Na tém się skończyła rozmowa i Riebe prędkiej daleko, niż sądził, do domu zawrócił, cały przejęty tą uprzejmością i dobrocią, z jaką wysoki urzędnik raczył go przyjąć i publicznie z nim rozmawiać w ulicy.

Zdawało się nawet, że zmartwienie, jakiego doznał, ustąpiło na chwilę uczuciu cale odmiennemu pewnego

rodzaju pogłaskanej dumy. Spieszył się tém podzielić z żoną i córką... Szczęściem nie było nad nie nikogo i radzca mógł opisać swe spotkanie, wypadek pamiętny i zaszczytny dla niego.

— To człowiek, począł z uniesieniem... to człowiek! Trzeba było widzieć, z jakim humanném uczuciem mnie przyjął... jak się wyrażał serdecznie... Pełny jenerał! Czerwony orzeł pierwszej klasy z mieczami! To nie żart... Wszystko wiedział... nie pojęta rzecz... wszystko — więcej niż ja... I jest tego zdania, aby pogardzić człowiekiem nikczemnym. — Uściskał mnie, ucałował i rzekł w końcu...

„Radzco komercyjny von Riebe — pociesz się, masz dwóch wnuków baronów, wychowaj ich na uczciwych Niemców a o niewdzięczniku zapomnij.“

Co za człowiek!!

Kobiety milczały. Radzca był wymowny i zupełnie pocieszony. Wahał się, czy wyznać przed kobietami, że wie o schronieniu zięcia, a w końcu nie mogąc wytrzymać wygadał i z tém. — Helma zrazu myślała pojechać i odebrać dziecko, lecz na to zabrakło jój odwagi...

Tak dzień ten cały przeszedł. Dr. Arnheim, który zwykł był zjawiać się zawsze wieczorem, nie pokazał się wcale... Helma sama chodziła po salonie z Schopenhauerem w rękę, ale go rzucała co chwila.

Nazajutrz z rana przyjścia pocztę oczekiwano znowu z niecierpliwością — lecz i ta nie przyniosła. Z południa radzca powiedział sobie, że zięć musi kroić na wielką spekulacyą, gdy się tak długo namyśla i nie zgłasza.

Wieczorem nadszedł pastor, który od swego partnera szachowego dowiedział się o wypadku. Człowiek to był wielce odmienny od rodziny i nieskończenie od niej wyższy wykształceniem i charakterem. Ubogi, nie dobijał się niczego więcej nad to, co miał, nie dysputował nigdy z takimi, co go zrozumieć nie mogli, nie nawracał nikogo. Natura była flegmatyczna i uspokojona.

Wchodząc do radzcostwa, w milczeniu ale z uczuciem ścisnął rękę gospodyni i jedném wejrzeniem dał jój uczuć, że wiedział o wszytkiem. Radzca już chciał

impetycznie opowiadać, gdy pastor mu przerwał spokojnie:

— Wiem już.

Wszczęło się tedy badanie, z kąd i jak. Nie było w tém tajemnicy. Cylius mu opowiedział to a obok niego mieszkał Wolski, na krok nie odstępujący Lischen, której kupił zabawek, ażeby mogła zapomnieć trochę o domu i nie dopominać się co chwila powrotu do niego.

Babka słuchając płakała, Helma się zżymała i gniewała — radzca dumał.

— Kochany bracie, rzekł po chwili namysłu — moglibyście nam oddać przysługę... Należałoby jutro pójść do dr. Cyliusza i wybać, co ten wyrodek sobie myśli, co on nam gotuje.

— Jakto? zapytał pastor — ale ja i dziś wiem, co myśli i gotuje. — Wynosi się w Poznańskie jako lekarz i będzie praktykował a do Lischen szuka bony i naturalnie zabiera ją z sobą.

— Jakto? i myśli się obyć bez nas? śmiejąc się dodał Riebe — ale to nic może być!

Począł chodzić po pokoju — Przecież to jest zasadzka! — mrucał...

Wszyscy oni pojąć nie mogli, ażeby kto, mając tak szczęśliwe gniazdo bezpłatne, mógł je dla jakiejś fantazyi opuścić.

Pastor smutnie zaręczył im, że Wolski ani przypuszczał żadnej zgody i ani myślał o powrocie do nich.

To dało do myślenia radzcy.

— Jakto? i w trzydziestym roku życia Helma ma się zostać bez męża, bez przyszłości, z dwojgiem dzieci, ani wdową, ani rozwódką! zawołał z oburzeniem. Na to ja nie pozwolę.

Nie dano mu mówić, i mručeniem dokonczył. — W głębi duszy nie bardzo wierzył, ażeby się to tak skończyć miało. Z rachubą niemiecką inne zachował sobie rzeczcy pojęcie.

Wolski nimby sobie znalazł przytułek na własnej ziemi, musiał w Berlinie pozostać. Złożyło się tak szczęśliwie, iż w téj saméj kamienicy, w której Cylius od tak dawna

mieszkał, była para meblowanych pokojów od tyłu, z oknami na ogrody, które Wolski mógł nająć i do nich się wprowadzić. — Wojtuś napisał do Poznania, aby mu niańkę przysłano, bo oba Niemki nie chcieli. Dziecina bardzo w początkach stęskniona za braćmi, za babką, za domem, powoli z żywością umysłu dzieciom właściwą oswoiła się z nowym bytem, — a tu ją pieściono, jak nigdy nawet u babki nie było. Wolski nic mając nic do czynienia stał się niańką najtroskliwszą, i jeśli jęj nie nosił na rękach, to przy niej siedział na ziemi wśród porozrzucanych zabawek.

Wojtuś, który jak wszyscy ludzie dobrego serca dzieci lubił, godzinami tu przesiadywał, bawiąc się małą i zabawiając ją. A co najważniejsza, stary Cylius przywiązał się do téj sąsiadki ze szczególną namietnością.

Dla staruszka było to studyum rozwijających się władz umysłowych.

Tak we trzech zasiadłszy do koła prowadzili na przemianę z nią rozmowę, śmiali się i niezmiernie byli szczęśliwi.

Garbus chciał ją zaraz zacząć uczyć po polsku, ale to mu szło tępo. Wolski nie wychodził ani na chwilę, obawiał się, znając rodzinę żony, aby nie użyli jakiego gwałtownego środka do wydarcia mu dziecka i uczynienia przykrości. Zresztą nie wiedział wcale i nie dowiadywał się, co tam zamierzano i myślano, jakie było usposobienie Helmy i jęj rodziców; co do siebie miał najmocniejsze postanowienie niepowracania pod jarzmo pana radzcy.

Przywiązanie do Helmy nie wygasło w nim, często bardzo odzywała się tęsknica za tą, z którą spędził tyle lat w różném szczęściu i podzielał złe i dobre losy. — Truło mu tylko te wspomnienia podejrzenie o stosunku jęj z dr. Arnheim, którego sobie inaczej jak występny tłumaczyć nie umiał. Patrzył nań z razu jako na literacką spółkę, na sympatyę czysto duchową — teraz jakoś mu się to inaczej przedstawiało. Nie widział jasno — ale był zazdrosny.

Opedzał się tym wspomnieniom, jak mógł, a starał się żyć w dziecku i dla dziecka. Cylius przyniósł mu

książek, aby sobie w pamięci trochę zaniedbaną medycynę odświeżył, a Wolski z żywem zajęciem jął się pracy, czując w niej najskuteczniejsze lekarstwo na cierpienia serca. Najpiękniejsze plany przyszłości roili z Wojtusiem, który niezmiernie był rad, że przyjaciela ocalił. Był pewny bowiem, że wlewając weń trochę odwagi przyczynił się do tego stanowczego kroku.

Postanowiono więc, że Wolski osiadzie w Lesznie lub Gnieźnie lub w którémkolwiek choćby z mniejszych miasteczek Księstwa, że sobie zyszcze klientelę w sąsiedztwie, że później nabędzie domek z ogródkiem... że Lischen wychowa się pod jego okiem na pociechę ich wszystkich.

Cylius liczył się do nich...

Stary przynosił codziennie w kieszeniach łakocie i fraszki a najwięcej książek z obrazkami... Sam potem ochotczy na podłodze siadał na rozestłanym kobiercu i tłumaczył je dziecku. Nieraz o swych ulubionych szachach zapomniiał dla Liski. Nic nie było zabawniejszego nad widok siwowłosego wyelegantowanego człowieka, zastępującego niankę i promieniejącego weselem... Mówił ciągle, że gdyby Lischen była do kupienia, dałby za nią połowę majątku, aby patrzeć potem na stopniowe rozwijanie się tego kwiatuszka.

Od Riebow nie było żadnej wiadomości, z Poznańskiego także, nikomu jednak nie było tęskno oprócz Wolskiego, który chciał już rozpocząć życie pracy, męcząc się tem, że był dla Wojtusia ciężarem. Ile razy mu to powtarzał, garbus się śniał. — Widzisz, że ja dla siebie nie wiele potrzebuję i mam aż nadto... nie łamże sobie głowy dziedziństwem.

Dziwny jest czasem w życiu ludzkim zbieg okoliczności, trafu czy Opatrzności, któremu tak się zdumiewać można jak owęj kuli Dąbrowskiego, co się zatrzymała na książce, którą pod mundur włożył przed bitwą. Jedno ocala lub gubi i to jedno przychodzi w daną godzinę jakby niewidzialną popchnięty dłonią pionek na szachownicy. Tydzień już upływał takiego życia a Wolski miał już do pomocy niankę przybyłą z Poznania, nie młodą kobietę, która się do dziecka przywiązała serdecznie, bo całe życie na-

wykła była nosić podobne jemu istoty na rękę a teraz przez kilka miesięcy nie miała zajęcia. Śpiewem więc rozlegał się pokój i Wolski nauczwszy piastunkę ostrożności mógł wyjść przynajmniej chwilę świeżym odetchnąć powietrzem. Cylius przychodził regularnie i zniósł swoją szachownicę do niego. Jeśli nie było posiedzenia lub komisji, do którejby garbus należał, przychodził i on wieczorami do Wolskiego.

Przy szachach wszczynały się rozmowy o nauce i wywiązywały z nich długie rozprawy. Stary profesor, różny w tém od wielu uczonych, co się na pewnym stanowisku zatrzymawszy dalej już iść nie chciał czy nie mogą, czytał wiele, śledził nauki postępy z żywym zajęciem i rozumiał to dobrze, iż w tym pochodzie do prawdy na chwilę spocząć nie można, a kto stanie lub siądzie, tego wielki orszak porzuca za sobą. Codziennie jakaś nowa rozprawa, badanie, odkrycie poruszały go, entuzjazmowały lub burzyły.

Była to niedziela. Liska z nianką bawiły się w drugim pokoju, Cylius z Wolskim grali w szachy, a stary profesor żywo coś opowiadał o nowych poszukiwaniach histologicznych, gdy z wielkim zamachem wpadł garbus do pokoju. Nigdy on inaczej nie wchodził jak ze stukiem i hałasem. Poznali go grający oba... Wystrojony był swym zwyczajem i wesół czegoś jakby po dobrym obiedzie. Wolski podniósł głowę i spytał go:

— Zkądże taki wesół powracasz?

— Nigdy nie zgadniesz, ani zkąd ani dla czego taki wesół... Rzecz się ciebie tyczy, muszę ci opowiedzieć. Mam dla ciebie zatrudnienie, które ci się doskonale opłaci.

— Odebrałeś wiadomość z Księstwa?

— Nie, zupełnie co innego, wprawdzie tymczasowego, lecz doskonałego.

Dla Cyliusa mówiono po niemiecku, zwrócili się wszyscy ku garbusowi, który rękawiczki ściągał uśmiechając się.

— Osobliwszy trafunek, rzekł siadając — jestem fatalista ale w szczęśliwe fata nie wierzę, a tu — słowo daję — w opiekuńczego anioła twego należałoby

dać wiare! Wczorajszego dnia, mówił garbus, hrabia Ł — —, z którym razem jadamy w table d'hôte w hotelu rzymskim, zapytuje mnie, czybym nie znał lekarza, któryby mógł przyjąć miejsce ordynariusza przy bardzo chorym ziomku przybyłym z cesarstwa dla poradzenia się doktorów berlińskich. — Jest to — powiada mi, człowiek niezmiernie majątny, kawaler, dziwak — w gruncie dobry, w obejściu nieznośny, ale milioner i za kaprysy dobrze płaci... Zaraz mi ty przyszedłeś na myśl — powiadam hrabiemu — „Mam, mam żadaną osobistość w jak najlepszym gatunku i zupełnie swobodną...“ To doskonale... Hrabia jednak jako dziwak zapewne będzie sobie życzył otwarcie wprzód o tém pomówić z tobą. Pójdziemy do niego po obiedzie. Zgoda?

Wolski chciał przerwać w tém miejscu, ale garbus rękę podniósł i nakazał milczenie. — Czekaj — rzekł, nie skończyłem, grajcie w szachy i dajcie mi się wygadać, jak należy.

— Nie widzę anioła stróża... mruknął Wolski.

— Zaraz go ci pokażę — począł Wojtuś zapalając cygaro. Po obiedzie poszliśmy na pierwsze piętro, na którym mieszkał pan radzca stanu Nietyksza...

— Moja matka była z téj rodziny — zawołał Wolski zdziwiony.

— Proszę mi nie przerywać — zawołał Wojtuś. Radzca zajmował salon, pokój sypialny i jeszcze tam coś więcej.

Wprowadzono nas do salonu... Tu na kanapie spostrzegłem człowieka ogromnego wzrostu, żółtego jak wosk, leżącego z książką, w której czytał przez lupę. Włos siwy... twarz pomarszczona, ogolona cała, smutna... Szlafrok perski na nim i dokoła pełno zbytkowych sprzączek...

Na widok wchodzących podniósł się powoli. Hrabia przedstawił mu mnie i opowiedział naszą u stołu rozmowę.

Radzca słuchał milczący, przebiegając palcami w książce i niekiedy ostrożnie spozierając na mnie. Czytałem w twarzy jego cierpienie wątroby i śledziony.

— Ledwie się tu dowlókl — odezwał się po

długim przestanku. Frerichs mi radzi, abym wziął ordynariusza, którego kuracją onby kierował i któryby mu zdawał sprawę — ale ja jestem człowiek kapryśny i rozkapryszony. Kto ze mną wytrzyma? z kim ja wytrzymam?”

Zacząłem panu radzcy apologią Wolskiego, którego słuchał z wielką uwagą. „Radbym poznać — radbym poznać... Niemiec? Polak? jak się zowie?” odpowiedziałem, że Polak i że się nazywa Wolski.

Namarszczył brwi i spuścił oczy.

„Radbym wiedział, jakich to Wolskich, jest ich wiele, a z jednymi jest nawet jakieś pokrewieństwo...“ Z wyjaśnienia sprawy téj okazało się, że właśnie pan, mój doktorze, jesteś z nim w pokrewieństwie... Czy widzisz, że już dzieło Opatrzności...

— Traf szczególny, odparł Wolski, ale co mi po jego pokrewieństwie? byle był znośny i płacił za uczciwą pracę, więcéj nie wymagam nic.

Garbus w uniesieniu starał się przekonać Wolskiego, iż pokrewieństwo to dobrze pielęgnowane mogło wydać najpożądanejsze owoce.

Ale wkrótce potem sami się z tego śmiali.

Radzca życzył sobie, ażeby kandydat do męczeństwa przy nim stawił się dla rozmówienia i porozumienia co najrychléj. Cylius wstał oświadczając, iż musi dla zdrowia jeszcze przechadzkę odbyć, Wolskiemu kazał się garbus ubierać. Wprzody jednak poszli wszyscy trzej do Lischen i nie mogąc się od jéj szczebiotania oderwać, przesiedzieli tam jeszcze dobre pół godziny.

Naostatek czas było iść — Wolski nie bez pewnej trwogi wewnętrznej wybrał się. — W salonie zastali znowu radzcę tak samo wyciągniętego na kanapie, w tym samym szlafroku perskim, ale podwiązane go jakąś chustą, bo go bok więcéj niż zwyczajnie bolał. Garbus dostrzegł, jak chciwie oczy jego wlepiły się w przybywającego, i mógł poznać, że miła twarz Kajetana złego na chorym nie uczyniła wrażenia.

Radzca jak pierwszym razem był nadzwyczaj zimny — prosił siedzieć, kazał podać cygara — milczał, a otworzywszy usta począł od nieźmiernie długiego

wykładu swój choroby. Jak wielu chorych nauczył się, radząc ciągle, terminów medycznych, mówił o niej jak pół nie dobrego doktora. Wolski cierpliwie słuchał i milczał.

Po krótkim egzaminie pulsu, symptomów i t. p. Wolski, na którego chory ciągle patrzył jak w tęczę, odezwał się, że jego rola musi tu być bardzo skromną, że będzie tylko wykonawcą rozkazów dra Frerichsa i baczny postrzegaczem, pośrednikiem czujnym pomiędzy chorym a lekarzem.

Skromność ta podobiała się radzcy.

— Muszę tylko pana dobrodzieję ostrzedz, — że mam fantazye i czy to skutkiem choroby czy skutkiem wieku czy charakteru jestem — niezupełny. Humor fatalny... podejrzliwość, roznerwowanie, gderalstwo, wszystko we mnie znajdziesz.

Wolski się uśmiechnął. — To skutki słabości, rzekł, a ja jako lekarz oswojony z tém jestem.

— Wymagający będę — dodał radzca — nieustannie go nudzić muszę... dwadzieścia razy na dzień pulsu patrzeć... Gdy zechcesz milczeć, mnie się będzie chciało rozmawiać i stękać i na odwrót.

Nie zdawał się tém nastraszonego Wolski. — Ja z mojej strony, rzekł, tylko jeden kładę warunek: main córeczkę, do której jestem przywiązany, której mi opuścić niepodobna, kilka razy na dzień będę musiał się o nią dowiadywać.

— A daleko to stąd? — począł dopytywać chory.

Po obrachunku okazało się, że nie dosyćby miał Wolskiego pod ręką, gdyby kilka razy go odbiegał — zażądał więc, aby doktor z dziećciem razem zamieszkał obok w hotelu. „Rozumie się — dodał — na moim koszcie.“

Chciał się zaraz umawiać o warunki, Wolski odmówił i powiedział, że po miesiącu, gdy się lepiej poznają, mówić o tém będą. — Tymczasem bierzesz mnie pan radzca na swój koszt, to dosyć... .

Mniej więc jakoś się to ułożyło. — Pan Nietyksza niecierpliwy prosił, aby się Wolski téż godziny przeniósł. Mieszkanie najęte ofiarował się zapłacić.

— Obejmuj pan obowiązki — dodał — uwolnij

mnie od nich — nie będę potrzebował czuwać sam nad sobą, a naprzód idź pan się rozmów z Frerichsem.

— Jeśli mi się to dziś uda...

Radzca nakreślił kilka słów na bilecie, posłał po powóz dla Wolskiego i spiesźnie go wyprawił.

Wszystko to spadło na niego jak piorun niespodzianie, nim się mógł rozmyśleć i upamiętać. Do słynnego lekarza wielce zawsze zajętego z pomocą biletu radzcy potrafił się dostać, choć w godzinie niezwykłej.

Znał go trochę Wolski z lat dawniejszych. — Przychodzę, rzekł, — po wskazówki i dyspozycje pana radzcy.

Żagadnięty ruszył ramionami.

— Pan jesteś lekarzem, mógłś sam poznać stan chorego. Tam nie ma już nic do czynienia, tylko mu przynieść ulgę w cierpieniu. Wątroba jest zupełnie zepsuta a nie jesteśmy w stanie dostarczyć mu nowój. Rób pan, co uznasz możliwém, by życie mimo chorobliwego stanu tak ważnego organu utrzymać i przedłużyć... zresztą — powtarzam panu... życie na własku a my Bogiem nie jesteśmy i cudów nie robimy.

Na kilka pytań zadanych odpowiedział pan radzca kilku radami i konsultacya na tém się skończyła. Wolski na pierwszy rzut oka poznał był zły stan chorego, lecz bez auskultacyi nie mógł jeszcze o grożącym wnosić niebezpieczeństwie. Zrobiło mu się smutno — lecz odmówić pomocy było zapóźno, po konferencyi uczulby to podejrzliwy chory. Wolski postanowił uwolnić się po miesiącu. Tymczasem pojechał do domu, aby rozporządzić przeniesieniem dziecięcia i wracać do radzcy. U Lischen zastał czekającego na siebie garbusa i Cyliusa.

Smutna jego twarz zastanowiła obu.

— Co ci jest? zapytał garbus.

— Zamiast lekarskich obowiązków nastreczyłeś mnie za grabarza — odezwał się Wolski — ten człowiek nie będzie żył.

— Choćby i tak było — odparł garbus — więc

dla tego, że jest tak źle, masz mu odmówić pomocy, która mu w ostatnich chwilach ulgę przyniesie?

W ten sposób dostał się Wolski do pana radzcy. Nazajutrz nastąpiły przenosiny do hotelu Lischen, niańki i całego gospodarstwa. Doktor wstąpił w obowiązki swe... a nie była to sine cura. Cały niemal dzień musiał być na zawołanie. Radzca się gniewał i niecierpliwił o lada co, trzeba było przyczyny usuwać a wybuchy tamować.

Powaga, łagodność i spokój Wolskiego, przymioty, których go żywot małżeński z Helmą wyuczył, jego zimna krew i cierpliwość teraz mu się bardzo przydały. Radzca był w gruncie dobrym i zacnym ale do najwyższego stopnia chorobą swą roznerwowanym. Nerwy popsutego organu oddziaływały na wszystkie inne. Wolski musiał nieustannie mocą ducha oddziaływać na ciało, bo same środki lekarskie nie starczyły.

Rzeczą jest niezawodną, że poprzedzającemu swemu nowicyatowi zawdzięczał Wolski to, iż w teraźniejszym położeniu wyższym ciągle będąc nad mógł wytrwać. Radzca nie mógł się wydziwić cierpliwości i niezmaconemu pokojowi ducha lekarza.

Drugiego czy trzeciego dnia, wiedząc już o pokrewieństwie i jakby wyczekując podstępnie na to, aby się Wolski sam z nié m odezwał, radzca nie doczekawszy się (bo Wolski najmocniej sobie postanowił nie dotykać wcale tego przedmiotu) zaczął go o pochodzenie matki.

Doktor zbył go krótką odpowiedzią. Wieczorami nudząc się a po petersburgsku przyzwyczajonym będąc do whista, radzca zaprosił garbusa, hrabiego Ł— i Wolskiego na parę robrów. Bawiono go rozmową i zapewne w jednej z tych gawędek z Wojtusiem musiał się Nietyksza dowiedzieć całej historii swego doktora od skoczenia do Sprei aż do wyskoczenia z domu pana radzcy von Riebe. Opowiadanie to sprawiło na chorym wielkie wrażenie, nie lubił bowiem Niemców, jak ich tam nie cierpią nad Newą, a skutkiem powieści sympatyczniej jeszcze poglądał na Wolskiego.

Nazajutrz uparł się zobaczyć Lischen i kazał ją posadzić do stołu.

Nie bardzo lubił dzieci, lecz że ta była wesola — a Wolski szczęśliwszy z nią, radzca znajdował ją śliczną i miłą. Zagadnął potem Wolskiego o jego stosunki rodzinne, ale ten zmilczał i prosił go, aby tej bolesnej nie dotykać strony.

Choroba biedaka widocznie coraz się stawała groźniejszą — ale dzięki staraniom doktora, który czuwał nad nim ze szczególną pieczołowitością, nie cierpiał tak bardzo... Przyznawał sam, że to był winien wielce taktownemu postępowaniu swojego stróża, więcej niż lekarstwu... Wolski też pilnował dyety... i nie dawał mu sobie uszkodzić w niczem.

Miesiąc się zbliżał do końca, doktor radby był się oddalić, lecz chory mówić o tém nie dawał, a Wolski też przywiązał się do skazanego.

Zżyli się z sobą — obu było znośnie.

O warunki żadne nie umawiał się doktor i wręcz przystał na takie, jakie radzca sam postanowi. Na tém się skończyło.

W drugim już miesiącu przyszedł jakiś list z Petersburga w czasie chwilowego oddalenia się Wolskiego.

Służący, który nań czatował, — dał mu znać na wschodach, iż stan się pogorszył nagle — skutkiem jakiegoś zmartwienia i że pan był bardzo źle.

Wbiegłszy znalazł go Wolski w rozdrażnieniu nie do opisania i w gorączce. Nieszczęsny list leżał jeszcze na stoliku — ale, zobaczywszy wchodzącego, radzca ścisnął go w dłoń i z pasyą w komin rzucił. — Gdy Wolski przypadł doń i pochwycił za rękę, przestrzegł, że cios ten mógł życiu zagrażać. Chory zwykle gderliwy z zaciśniętymi usty nie mówił nic — zajął notaryusza.

Próżno go się starał uspokoić Wolski, musiano żądaniu dogodzić, próżno mu przedstawiał, że w tym stanie jakiegokolwiek zajęcie byłoby wysiłającym, niebezpiecznym. Chory na kilka godzin zamknął się z przybyłym urzędnikiem.

Po wyjściu jego dopiero wezwano Wolskiego. — Potrzeba było czegoś uspokajającego, potem kąpieli, snu i wytchnienia. Wszystko to wykonano. Znacznie lepiej się czując radzca położył się spać... — Wolski

rzucił się w drugim pokoju na kanapę i drzemał — chciał być w pogotowiu — jeśliby w nocy coś zaszło.

Nad ranem obudził go jęk — pobiegł i znalazł chorego już konającym.

Posłano po innych lekarzy, użyto wszelkich środków — nazajutrz skonał biedny. W ostatnich chwilach miał tyle przytomności, że czule podziękował Wolskiemu za starania i, nie mogąc mówić wiele, parę razy po cichu powtórzył:

— Testament...

Śmierć ta uczyniła na Wolskim przykre nader wrażenie. Zatelegrafowano natychmiast do siostry zmarłego do Petersburga, a tymczasem opieczętowano mieszkanie, Wolski zaś wyniósł się zaraz znowu na swe pierwsze obok Cyliusza.

Spodziewał się z wyrazów nieboszczyka jakiegoś wynagrodzenia za pracę, bo oprócz kosztów utrzymania nic nie otrzymał i o nic się nie upominał, lecz nadzieja ta była bardzo skromna. Za przybyciem siostry i otwarciem testamentu okazało się, że cały swój kapitał wywieziony z kraju i złożony w banku, wynoszący bajeczną sumę pół miliona rubli, zapisał Wolskiemu a dom, jaki miał w stolicy — siostrze. — Zapis był uczyniony z pobudki pokrewieństwa i z warunkiem, aby Wolski macierzyńskie nazwisko do swojego przyłączył.

Wiadomości téj zrazu, gdy mu ją przyniesiono, Wolski uwierzyć nie chciał, lecz przekonać mu się było łatwo, iż rzeczywiście z dnia na dzień został bogatszym od radzcy von Riebe... Cieszyło go to dla Liski... i ją pierwszą uściskał z uśmiechem szczęścia... ze łzą w oku, myśląc o niespodzianym legacie biednego radzcy... Było w nim coś tajemniczego, bo list spalony i gniew naprowadzał na myśl, że nie tyle z miłości dla Wolskiego jak z wstrętu ku reszcie rodziny w ten sposób majątkiem rozporządził...

Z wielką radością dowiedział się o tém profesor Cylius, garbus i wszyscy przyjaciele Wolskiego. Tegoż dnia posłyszał o tém pastor i zdało mu się, że z obowiązku pokrewieństwa powinien być pierwszy tę nowinę u radzców von Riebe zwiastować.

Szanowny radzca komercyjny zawsze jeszcze trwał w tém przekonaniu, iż oddalenie się Wolskiego było zasadzką i że w końcu sam będzie musiał przyjść układać się o jakąś zgodę. Nie dozwolił więc nikomu uczynić kroku... a codziennie po obiedzie na Polaków stare anegdotki wywlekał i mścił się na nich za Wolskiego. Dostawało się tam narodowi, jak się nieraz i z trybuny parlamentu kulturtregerskiego z dziwną słodyczą i taktem słyszeć daje.

Helma milczała, — nie smakowała w trywialnych ekspektoracyach rodzica, ale miała inne z nieco wybrańszych autorów, Arndt'a, Heinego i Freitag'a na swoją potrzebę.

Powtarzało się to niemal co dnia.

Dr. Arnheim, który znowu zaczął bywać i prześiadywać po całych dniach na drugiem pięttrze, czepiąc z nauk przyrodniczych, z etnologii, z historyzofii i z różnych uczonych komórek, przekonywał także baronową, że plemię słowiańskie całe było predestynowane, aby się stało pastwą i sztuką mięsa dla Germanów, że to tylko kwestya czasu, a co się tyczy Polski — we dwojga z Rosyą Prusy w krótkim przeciągu czasu tak ją zjedzą, jak zjadły Słowian rugijskich i Pomorzan...

W całym domu było to wyznaniem wiary. — I tak spokojnie dni płynęły w oczekiwaniu skruchy Wolskiego i jego pokuty. Helma utrzymywała w dodatku, że jako lekarz na chleb sobie nie potrafi zarobić, że z głodu mrzeć będzie lub żebrać. Czasem wzdychała za Liską...

Jednego wieczora na drugiem pięttrze czytano nowy poemat Juliusza Grosse, z którym dr. Arnheim był w wielkiej przyjaźni i stawiał go niemal na równi z Goethem... Helma słuchała... matka, która u niej była, robiła pończochę i zdawała się myśleć wcale o czem inném a nie o przygodach pięknej Semrudy i Fallowallacea — gdy w najpatetyczniejszym miejscu,

Des Menschen Seele und Gedanken

Umspannen weit der Schöpfung Raum,
Die Formen wechseln nur, die schwanken,
Denn alles Leben ist nur Traum!!

otwierają się drzwi i radzca, który ledwie dwa razy w rok bywał na drugiem piętrze — staje w nich ze zgasłym cygarem w ręku...

Wszyscy zamilkli... patrzą...

Jak wkuty do progu stał radzca von Riebe, na twarzy jego drgało jakieś wrażenie nie do wyczytania...

Staruszka rzuciwszy pończochę, wstała sądząc, że dostanie burę za swą nieobecność na dole.... Radzca stał nie mogąc przemówić słowa.... Zdumienie powszechne....

Dr. Arnheim poemat położywszy na stoliku zbliżył się doń witając go z uszanowaniem, radzca nie spojrzał nań i ledwie mu głową kiwnął.

Suwając nogami powoli doszedł do fotelu i padł stękając. Widoczna było, że coś mu ciążyło na piersi i na głowie takim brzemieniem, że obecna rodzina nie wchodziła w rachunek.

Machinalnie przywłókł się tylko.

Helma wysunąwszy się z za stołu podeszła ku ojcowi, spostrzegłszy cygaro zagasłe i podała mu ogień... Dopiero oprzytomniawszy Riebe zapalił cygaro, pociągnął i zniecierpliwiony cisnął je o ziemię.

Widocznie coś mu się stało — myśleli wszyscy... Z trwogą zaczęła przypuszczać Helma i sama radzczyni, że się chyba fatalnie na giełdzie musiał ośliznąć. Nie śmiano go już pytać.

Dr. Arnheim dobył cygarówkę i podał wyschłe, doskonałe cygaro ofiarowane mu przez jednego z przyjaciół — gründerów. Machinalnie przyjął je radzca, odkąsił, zapalił, pociągnął i westchnął.

Było to westchnienie wielbłąda, z którego juki składają.

Potém klnął ale nie wyraźnie.

Wszyscy nań patrzeli, słuchali, czekali i milczeniem straszne, przedburzne panowało w salonie.... Pociągnął jeszcze raz i klnął raz jeszcze. Pięścią stuknął o poręcz krzesła i wstał.

Za trzecim razem — Der verfluchte Pole! wyrwało mu się tak wyraźnie, że tajemnica do połowy była odsłonięta.

Helma zbladła — nie umiała się domyśleć, co nowego popełnił jej dawny mąż.

— Hören sie mall poczał nagle radzca, tylko co był pastor z nowiną na dole... Ein Märchen! unglaublich... Baronowi Wolskiemu umierający krewny zapisał pół miliona talarów.

Wszyscy porwali się z krzeseł — Helma podbiegła do ojca.

— Ale możeż to być? możeż to być?

— Jak mnie widzicie żywego!... Gotówką! w banku!

Radzca obie ręce przed siebie wyciągnął.

— Nie — rzekł — nie — ja nigdy nie pochwalęm tego z nim postępowania... Tego sobie do wyrzucenia nie mam, abym się przyłożył do zrywania z nim, zawsze byłem za zgodą... ale z wami, babami... tak zawsze.

Oślupieli wszyscy, nikt jednak nie ośmielił się zaprzeczać.

— To nie był tak zły człowiek... ja zawsze mówiłem; jedyna jego wada, że Polak i miał naturę tę słowiańską — gnuśną — niezdolną, — ale serce dobre... serce przedziwne i charakter szlachetny... Wiele on razy mógł mnie udrzeć a nie uderł.

Wśród powszechnego milczenia radzca zamyślony po pokoju się przechadzał.

Owo pół miliona nakazywało zwrot konieczny, bądź co bądź... Należało się przejednać. Prawda ta stawała z niemiecką oczywistością swą w oczach wszystkim. — W obec tego pół miliona nikły wszelkie inne względy. Radzca już myślał tylko, jaki temu obrót nadać należało. Pastor mógł służyć za narzędnie przygotowawcze, Cylius... wreszcie Helma... niepodobieństwem było, ażeby ona nie zachowała władzy swój nad mężem... a Fryc i Emil... dzieci... Radzca nie tracił nadziei, że pojednanie musi nastąpić i że on je doprowadzi do skutku. Rachował już, jakie połączenie dwóch fortun znacznych przynieść może korzyści — milion talarów uśmiechał się w bengalskim świetle na niebiosach jego ideałów.

Dr. Arnheim przekonawszy się, że czytanie dal-

szych przygód pięknej Semrady tego dnia już nie przyjdzie do skutku — złożył książkę i zabierał się do wyjścia. Nikt go nie powstrzymywał, nikt nie odprawiał, nawet oczy Helmy nie poszły za nim, wszyscy jeszcze rażeni tą nowiną siedzieli, stali jak posągi zdumiane.

Gdy się drzwi zamknęły za nim, Helma odważyła się usta otworzyć.

— Ale, kochany ojcze — odezwała się — kochany ojcze — ja winy tych wypadków, które mnie najboleśniej dotknęły, wziąć na siebie nie mogę. — Ja czuję się zupełnie niewinną.

— A któż winien? ja? ja? gwałtownie wybuchnął radzca — a któż go tak przyjął powracającego, że musiał z domu uciekać nocą? he?

— Któż go pierwszy doprowadził do tego rozdrażnienia małym rachunkiem krawieckim? podchwyciła Helma.

— Jakim? gdzie? co? jabym był rachunek zapłacił. — To był S p a s s ! głupi Polak żartu nie rozumiał, do kogoż to należało jeśli nie do żony wytłumaczyć mu i uspokoić? Ale nie — jątrzyłaś go — jątrzyłaś — aż do ostateczności doszło i do k a t a — (chciał powiedzieć — k l i z m u, ale tu mu się język splątał, nie był pewien, czy k l i z m u czy p l a z m u, czy g r a f i i dodać należało) pociągnął z cygara dymu.

— Zawsze powtarzam, to nie był zły człowiek! A któż mego biednego Hänschena z wody wyciągnął? Prawda, że to tylko dwadzieścia kilka tysięcy talarów kosztowało i na nic się nie zdało, gdy nie miał żyć, ale intencją miał szlachetną.

— Teraz — dodał radzca — kto popsuł, ten naprawić powinien... ty Helmo... tak — ty — trzeba go przeprosić...

Kobieta się oburzyła. — Nigdy w świecie!

— Tu idzie o los dzieci. Pół miliona talarów...

Helma przeszła się po salonie gwałtownie poruszona.

— Jakże wy tego nie widzicie, mój ojcze, zawołała stając nagle, że to wszystko jest kłamstwem i in-

trygą, że oni puścili tę wieść, aby nas upokorzyć i zmusić do uczynienia pierwszego kroku.

— Pastor! pastor nie może być w spisku — Unsinn!

— Pastor jest człowiekiem dobrej wiary, użyto go bez jego wiedzy. Gdzież to kto na świecie słyszał, aby nieznajomy ubogiemu zapisał taką sumę.

Radzca się mocno zadumał.

— Mnie się to samemu wydało bajką... lecz — pastor — Cylius.

— Ale oni wszystkich okłamać mogą — przerwała Helma.

— Tak! masz rozum — należy być bardzo ostrożnym... — Zasadzka! może być zasadzka... czekać trzeba i pilnie mieć oko. Moglibyśmy być skompromitowani.

Wiara tém łatwiej została zachwiana, iż radzca nie mógł nigdy zrozumieć darowizny sumy tak znacznej — z dobrej woli... nieznajomemu.

— No tak! mruknął zadumany na wpół sam do siebie — a — a gdyby to było prawdą? gdyby... Nie zaprzeczysz, rzekł, zwracając się do córki — że naówczas obowiązkiem twoim jest pojednać się z nim. Polak nie Polak, pół miliona talarów dla dzieci. Synówbyśmy tak pokierowali przy ich baronostwie, że jedenby był Moltkiem a drugi Bismarckiem... Chłopczy zdadne!! Albo my to Podbielskich i Leszczyńskich nie mamy na wysokich stopniach...

W chłopcach już ani żyłki polskiej nie ma, Prusaki czystej wody... Fryca nauczyłem verfluchte Pole, i ani się zająknie...

Wśród mowy zadumał się nagle i zamilkł. Helma tryumfowała nieco.

Jej się ta zmiana losu nie mogła nigdy w głowie pomieścić... wierzyła w polskie machiawelstwo i intrygę.

Do późnej nocy rozprawiając o tém, rozeszli się, wreszcie od dnia następującego oczekując albo potwierdzenia lub obalenia dziwnej powieści.

Radzca nie mógł spać dobrze, chrapanie własne jak głos sumienia go budziło, wstał raniiej niż zwykle,

tak że kawy jeszcze nawet gotowej nie znalazł. Chłopiec od piekarza, który z rana bułki świeże przynosił, jeszcze się był nie zjawił. — Zaledwie posiliwszy się nieco, że dzień był mglisty, opatrzony w parasol puścił się do miasta. Nie wiedząc dokąd, postanowił pójść do Cyliusa... którego trochę znając a powołując się na pastora, — łatwo od niego mógł o czémś się dowiedzieć....

Godzina była, w której profesor nigdy prawie nie przyjmował — śniadał i czytał a studyował.

Mały pokój, w którym do południa przebywał, cały był ostawiony szafami pełnemi książek. Ogromny stół w pośrodku, którego zaledwie rózek jeden był wolny, zajmowały także pisma peryodyczne, nowe publikacye i broszury. Do tego przybytku nie wpuszczano nikogo, bo tu dosyć było nieostrożnie potrącić książkę, aby sprawić nieład, który niełatwo dawał się naprawić. Radzca nie zapominając o tém, że emeryt miał predykat ekscelencyi — wszedł na palcach do przedpokoju nader skromnie i zastawszy tu służącą, która półbuciki doktora ze szczególnym szuwaksowała afektem, uklonił się jój, pozdrowił i prosił o audyencyą....

Służąca oświadczyła mu, że radzca nie przyjmował nigdy o téj godzinie — że jego *Sprechstunden* były po obiedzie. — W odpowiedzi na to Riebe popierając pięciu srebrnikami swą prośbę żądał tylko, aby bilet jego wręczyła radzcy, a na bilecie dopisał, że miał interes pilny.

Służąca ostrożnie postawiwszy but pański, którego połysk ją cieszył, zgodziła się i na schowanie srebrników do kieszeni i na zanieśenie biletu.

Dr. Cylius zamyślony odczytał, skrzywił się mocno — zawołał zrazu: -- Nie ma mnie w domu! ale po chwili szlafrocza i czapeczki poprawiwszy do saloniku wyszedł. Salonik wyglądał staroświecko, zdobiły go dawne dary z czasów praktyki i profesury... Nie piękne to było — lecz czyściuchne i utrzymane starannie.

Był w jednym progu, gdy na drugim z pełnym słodczy wyrazem zjawił się Riebe przepraszając, że

śmiały ważne przerywać prace, i błagając o chwilkę posłuchania.

Siedli oba na kanapie. Radzca komercyjny spojrział na radzcę zdrowia, a radzca zdrowia poglądał na radzcę komercyjnego. Milczenie było spowodowane tém, że radzca zdrowia nie wiedział, co mówić, a radzca komercyjny, jak powiedzieć to, z czém przyszedł.

Rozpoczęło się od grzeczności, po czém popełniwszy kilka grubych niedorzeczności w ubieganiu się za stylem wykwinnym, który mu się zdawał niezbędnym mówiąc z uczonym — radzca komercyjny wytłuszczył powód swojego przybycia — chciał wiedzieć, czy istotnie jego zięć, którego zawsze oceniać umiał — został spadkobiercą tak znacznego majątku?

Cylius się uśmiechnął.

— Rzecz najniezawodniejsza w świecie — odpowiedział wesół — byłem przytomnym prawie czytaniu aktu, i ani legat ani suma złożona w banku nie ulegają najmniejszej wątpliwości...

Riebe się zamyślił.

— Godzien był tego ten człowiek szlachetny — odezwał się z głębokim przejęciem — ubolewałem zawsze nad nieporozumieniem, jakie zaszło między córką moją, która tyle mu dała przywiązania dowodów, a tak zacnym ze wszech miar człowiekiem. Nie wątpię jednak, iż to się wszystko da jeszcze naprawić...

Cylius zamilczał.

Pytające wejrzenie, które nań rzucił radzca, pozostało bez odpowiedzi.

Chciał jeszcze Riebe przedłużyć rozmowę — gdy wniesiono dzienniki, doktor wziął je z niecierpliwą ciekawością do ręki, a radzca nie chcąc przeszkadzać, natychmiast go głębokim pożegnaniem ukłonił.

Wyszedł niezmiernie poruszony; służąca, jeszcze pracująca nad tutem — otworzyła mu drzwi z ukłonem....

Sporą przestrzeń drogi od mieszkania profesora do domu przebiegł radzca z pośpiechem niezwykłym i nie zatrzymując się na pierwszym pięttrze wprost, jak stał, udał się do córki. Tu wczorajsza rozprawa jeszcze się ciągnęła, — Helma trwała w swym sceptycyzmie...

— Otóż widzisz — zawołał odedrzwi — umyślnie chodziłem na Französische Strasse do Cyliusa. — Nie ma najmniejszej wątpliwości... pół miliona talarów... J. ekscelencya, który mnie przyjął z nadzwyczajną uprzejmością w godzinie, w której nie przyjmuje nikogo, oświadczył mi, że był czytania aktu przytomnym. — Faktem jest, faktem niezbitym, iż odziedziczył!

Westchnął ciężko...

— Teraz do ciebie należy spełnić, co rozum i przywiązanie do dzieci nakazuje...

Helma stała milcząca.

— To zmienia całkowicie położenie... — mówił radzca. Siła kapitału jest siłą, która idzie także przed prawem... nad prawem a nawet na wylot prawa... Przed kapitałem każdy rozumny człowiek skłania głowę...

Radzca komercyjny mówiąc to, w istocie oddał pokłon niewidzialnemu bóstwu i westchnął.

— Zresztą wiercie mi, dodał, powtarzając westchnienie, to nie był zły człowiek, a obchodzono się z nim przysiorztko!

Gdybyśmy byli mogli przewidzieć? Ale któż potrafi przyszłość odgadnąć...

Złożywszy ręce na piersi piękna Helma patrzyła zamyślona w okno, nie odpowiadając długo.

— Co on o nas pomyśli, gdy my się teraz dopiero zbliżymy do niego? zawołała cicho.

— Cóż ma myśleć? zrozumie to, że jego nowe położenie należycie przez ludzi rozumnych uwzględnionem być musiało i że ma ono zapewnione na przyszłość poszanowanie z naszej strony, zrozumie, iż teraz obchodzić się z nim będziemy jak z człowiekiem nam równym...

To są przecież rzeczy jasne i naturalne...

— Mnie niepodobna zrobić ku niemu kroku pierwszego... — odrzekła dumnie Helma — nie — nie mogę.

— Ku niemu nie potrzebujesz czynić żadnego kroku — odparł radzca z uśmiechem filuternym — ależ masz córkę... Lischen jest przy nim! Stęskniona

jesteś za dzieckiem, to tłumaczy wszystko — możesz przecie upomnieć się o swe prawo do dziecięcia...

— Tak długo nie upominając się o nie? zapytała Helma.

— Właśnie, dodał radzca, im dłużej się nie upominasz, tém powinnaś być więcej stęsknioną i krok twój staje się naturalniejszym...

— Ojciec ma słuszość, odezwała się babka, możesz pójść zobaczyć Lischen... A! jabym tak chciała téż ją widzieć...

— Ale waćpani nie idź — przerwał radzca — małżeństwo, gdy się godzi, nie powinno mieć świadków. — Każdy obcy, choćby matka nawet zawadą będzie...

Namyslała się Helma jeszcze...

Nie chcemy tłumaczyć charakteru téj kobiety, wypadki same dosyć go wyjaśniają... Żyła ona głową więcej niż sercem, głowę kochała i była istotą zimną, choć chwilowo uczucie wyrabiało się w niej z pomocą myśli. Przywiązanie jéj dziwnego rodzaju rozpryskało się za najmnijazém trąceniem o miłość własną. — Wolskiego kochała niegdyś, znużył ją uległością może i pokorną rolą, którą odegrywał, upokarzał ją swą nicością. — Ze wspomnień nie zostało w sercu nic — i ideałem teraz był dla niej dr. Arnheim... Wrócić do Wolskiego po tych przejściach upokorzoną, z wieczną obawą, aby znowu kruche węzły łączące ich nie pękły za lada targnięciem... nie miała wcale ochoty.

Na nalegania więc rodziców odpowiedziała milczeniem upartém a w ostatku prosiła o czas do namysłu.

Radzca uważał to za zwycięstwo.

Helma w istocie pragnęła sam na sam zasięgnąć rady dr. Arnheima, którego zwała swym „dostojnym przyjacielem.“ Nie przyznała się do tego rodzicom a może nie zupełnie przed sobą wypowiadała się nawet z celu i znaczenia tego kroku...

Dr. Arnheim tego dnia jednak przeciwko zwyczajowi swemu nie przyszedł wcale. Zdziwiło ją to trochę i dało do myślenia. Lękając się, aby i nazajutrz

nie chybił, napisała na miejską pocztę do „dostojnego przyjaciela.“

Radzca tymczasem chodził niespokojny... i wcale był z córki niezadowolony... Na oznaczoną godzinę dr. Arnheim nadszedł, lecz dziwnie jakoś sztywny i chłodny... Helma podała mu rękę. Z twarzy wyczytać mógł stan jój duszy...

— Przepraszam was, dostojny przyjacielu, żem was w imię tego świętego uczucia przyjaźni, które nas łączy... wezwała... odezwała się Helma. — Chcę zasięgnąć twój rady. Znasz położenie, żądają po mnie, abym zrobiła pierwszy krok do zgody, podała rękę temu człowiekowi, który mnie nigdy nie zrozumiał, nie ocenił i ocenić nie będzie w stanie... Każą mi to czynić dla dzieci... jak gdyby dzieci potrzebowały odemnie téj ofiary...

Dr. Arnheim przybrał postać nadzwyczaj poważną i składną — zasiadł jak sędzia trybunału... Helma mówiła, słuchał nie przerywając, przestała mówić, zdawał się jeszcze słuchać, czekać i rozważać, nie rychło zebrawszy się na odpowiedź.

— Naprzód — rzekł z profesorską powagą — naprzód należy mi wam podziękować za zaufanie... ale każecie mi profanowi w sprawach małżeńskich sądzić to, o czém nie mam wyobrażenia. Nie jestem wtajemniczonym... znam teorię, uczyłem się historii małżeństw — ale nie mogę się do tego przyznać, bym posiadał słowo zagadki. Nie wiem, jak się kształtują stósunki serca i dioni, charakterów i humorów... Jestem jak chemik, co się z książki uczył a nie był nigdy w laboratorium...

— To są wszystko piękne słowa — odezwała się Helma stając naprzeciw niego i patrząc mu w oczy znacząco — ale ja pragnę od was... stanowczój rady! Znacie mnie i jego! mamli szukać życia z nim znówu... i znosić dziwactwa? — Nie zgodzimy się na to dziś, aby nazajutrz gorzej, bo na wieki zerwać z sobą? W takim razie nie lepiejże, gdy pozostaniemy, jak jesteśmy?

— Lecz tak przecież w tym stósunku wątpliwym.

nieokreślonym, który wkłada więzy, nie nagradzając ich niczem, pozostać na zawsze nie możecie!

Helma spojrzała nań znowu i spytała: — Dla czego?

— Są wymagania serca... życia... których dzieci nie zaspokoją... brak wam będzie w życiu żywiołu koniecznego...

— Który mi był wstrętliwym i nieznośnym, przerwała Helma.

Dr. Arnheim patrzył w książkę unikając widocznie jej wzroku...

I znowu po namyśle z pedancką powagą począł, jakby wykładając z katedry...

— Natura w razach ostatecznych, w wypadkach stanowiących o przyszłości dała człowiekowi oprócz rozumu instynkt cudowny... Padając z wyżyny nie myślimy i nie rozumujemy, chwytamy, co pod rękę się nawinie... w ciemnościach czujemy przed sobą przepaście i mury... W sprawach ducha ten instynkt silniejszym jest jeszcze, radźcie się go...

— Instynkt milczy — odparła Helma — lub wskazuje mi was, dostojny przyjacielu...

Przyjaciel widocznie był skłopotany.

— Zamiaść podać mu dłoń — dodała Helma — wolałabym ten związek rozerwać stanowczo...

To, co się raz rozerwało, napowrót związać się nie da... Rany serca się nie goją... nadto się znamy oboje....

Doktor milczał przewracając kartki książki, zdawał się głęboko w myślach zatopiony....

— Lecz rodzice wasi wymagają... radzą... życzą....

— Ojciec dla majątku, matka dla odzyskania wnuczki, lecz cóż ja odzyskam? — Nie męża, bo on być dla mnie nim przestał....

Wolę być wdową i wolną.

To mówiąc stanęła u stolika, przy którym siedział dr. Arnheim, i zaczęła mówić, wzrokiem próżno szukając jego spuszczonej oczów.

— Tak, wolę być wolną, zapomnieć o przeszłości i — któż wie — rozpocząć może życie na nowo, —

z większą znajomością ludzi, z szczęśliwszym wyborem towarzysza podróży. . . .

Zamilkła na chwilę.

— Naówczas mogłabym jeszcze skosztować szczęścia, któremu nie znała. . . .

— Zależycie od rodziców — odezwał się Arnheim cicho — jesteście pewni, że wybór radzcy, — którego głos byłby stanowczym, zgodziłby się z waszym. . . .

Drugi raz iść przeciw jego woli — tegobym wam nie życzył. . . .

— Zdaje mi się, — że mnie nie chcecie zrozumieć. . . . szepnęła jakby z urazą kobieta — radzcy chodzi o wnuków nie o mnie.

Milczenie nastąpiło po tych rzuconych kilku słowach. — Dr. Arnheim wstał i jakby roztargniony poszedł do okna, głęboko zamyślony, przejęty, zdawał się ważyć i rozważać . . . kilka razy jakby mówić poczynął i wyraży zamierały mu na ustach.

— Mówcie — mówcie — zawołała Helma — chcę wiedzieć otwarte, szczere zdanie wasze. . . . Nie będę wam tuiła, że w tém wszystkiém i o losy naszej świętej przyjaźni, naszego związku serc i duchów idzie. . . . Jeżeli ten człowiek wróci do domu — on rozerwie te węzły. . . .

Dla was to może być obojętném, bo wy znajdziecie drugą przyjaciółkę — ja nie sędzę, bym podobnego wam przyjaciela mieć mogła. . . .

Z pewném wzruszeniem dokończyła, Arnheim podniósł głowę — i wyciągnął rękę. . . .

— Jeżeli idzie o to, bym ja się poświęcił — rzekł — możecie mnie wygnąć — pójdę. . . .

— Tu właśnie idzie o to, abyście mogli pozostać! — rumieniąc się dodała Helma żywo. . . .

— Pozostać i być wam ciężarem a zawadą. . . . rzekł doktor — nie —

Rozmowa wprowadzona na ten tór zagadkowy — nie śmiejącą dotknąć wyraźnie tego, co chciała wiedzieć Helma — groziła, że może pozostać bezskuteczną. — Arnheim widocznie unikał stanowczego wyrazu — zdał się jój zimnym i wahającym. . . .

— Dostojny mój przyjacielu — przerwała nagle kobieta z widocznym zniecierpliwieniem, — nie jesteśmy dziećmi, mówmy jak dwoje ludzi, co dla siebie tajemnic mieć nie powinni i co są wyżsi nad formy światowe.

Bądź otwartym. Przyjaźń wasza dla mnie jestli rozrywką dla was i roztargnieniem czy potrzebą? — Wy w mojem życiu zajęliście miejsce, którego nic i nikt zappełnić nie może. Chcecie mojej ręki czy nie? Uwolnię ją od pęt, co mnie wiążą, i oddam wam.

Arnheim spojrział powolnie i długo na mówiącą.

— Możecież wątpić, że przyjąłbym ją z wdzięcznością? Sambym po nią dłoń wyciągnął, gdybym był pewien, że to was z rodziną nie poróżni, nie ściagnie gniewu ojca i nie postawi znowu w położeniu ciężkiem, w jakim ja się sam znajduję. Znaćcie wy położenie niemieckiego literata, profesora i uczonego, który nie ma szczęścia być żadnym Hof i Regierungsrathem a jest współredaktorem jakiegoś pisma lub skromnym prywatdocentem? Gutzkow poderzwał sobie gardło, na Freiligrathów składać się musiano, co dzień jeden z nas umiera z głodu! Największą pracą na chleb powszedni zarobić sobie nie podobna! Czemże ja się z wami podzielę? moją troską i niedostatkiem?

Helma zamyśliła się.

— Jestże tak źle z wami? spytała, — to nie może być! Pracowalibyśmy we dwoje.

— I nie moglibyśmy na jedno życie zapracować — dodał dr. Arnheim. Zostańmy, jak jesteście, przyjaciółmi, nie chcę was gubić.

Osobliwsza ta miłość czy przyjaźń skończyła się ścisłym obrachunkiem — oboje stali nie wiedząc, co mówić więcj.

Helma była zadumana.

— Lecz radzca nie opuści... on was szacuje a będzie dumnym mając przy sobie.

Arnheim się uśmiechnął. — Spytajcie go, rzekł — powiedźcie mu otwarcie wszystko, niech on wyrzeka o naszych losach. Bądź co bądź, zostaniemy, jak byliśmy, przyjaciółmi na zawsze!

— Przyjźdź jutro! zawołała Helma, żywo wycią-

gając doń rękę — przyjdź jutro — o téj saméj godzinie. Ufaj mi — nasze dusze zbyt się dobrze rozumieją, aby je mógł los rozdzielić. Wierzę w predestynacyą.

Cichym szeptem poufałym skończyła się dziwna rozmowa, profesor wyszedł, ale na twarzy jego nie widać było uszczęśliwienia, rysy jéj pozostały oblane chłodem jakimś i przybraną powagą. — Helma długo namyślała się chodząc samotna po salonie, zeszła potem do matki i tu czekała na ojca. Radzca ku południowi wrócił z miasta. Zobaczywszy córkę domyślił się, że przyniosła mu odpowiedź żądaną.

— No, odezwał się zaledwie zrzuciwszy okrycie, dosyć już tego wahania się — trzeba stósowne uczynić kroki do zgody.... Namysliłaś się?

— Tak jest!

— Pójdiesz do niego?

— Nie — ale do rozvodu — odezwała się Helma. Radzca krzyknął ręce podnosząc, nie dała mu mówić i ciągnęła dalej: — Synom naszym należy bądź co bądź część z jego majątku — ja z nim żyć nie mogę. Popełniłam błąd, odpokutowałam go ciężko, mam prawo do szczęścia jak każdy człowiek.

— Gdzie? do jakiego? zapytał radzca.

— Znajdę człowieka, który mnie jest godzien i którego pokochać będę mogła!

— Drugiego takiego gołego awanturnika jak ten był, gdyś za niego szła. Rozum osobliwy: żyłaś z nim, dopóki nie miał nic, a teraz go chcesz porzucić, gdy ten kulfon nabrał wartości. Nie! kobiety nie mają rozumu.

Zabierało się na kłótnią i sama radzczyni siedząca w krześle z pończochą rzuciła na kolana robotę, składając ręce, ścigając męża oczyma, chcąc go pohamować.... Wtém drzwi się otworzyły — wszedł — Wolski.

Żaden upiór nie uczyniłby większego wrażenia. Helma się cofnęła na kilka kroków, radzca z rozniewanego poczynął się metamorfozować na słodkiego i uprzejmego, matka milczała, osłupiała.

Wolski wszedł z jakąś pewnością siebie, którój

nigdy nie miał. Daremna to rzecz zaprzeczać cudzo-
twórczym skutkom tego „podłego kruszcu,” jak go zo-
wią poeci, oddziaływa on magnetycznie jakoś, niepo-
jęcie, nawet na tych, co doń zbytniej nie przywiązują
wagi. Kajetan był odmłodzony, raźniejszy, śmielszy
i wydawał się dziwnie zmienionym.... Wszyscy to
uczuli.

Radzca rozmyślał, jakby patetycznie wnieść zapo-
mnienie przeszłości i zgodę. Helma stała blada i z roz-
budzonym gniewem.

Wolski się skłonił z daleka, obejrzał po salonie
a widząc, że nikt obcy nie słucha — począł:

— Proszę mi darować, że tak niespodzianie wcho-
dę — zdawało mi się, że im prędszej zgodnie zała-
twimy interesa, tém będzie lepiej.

— Zgodnie! tak! zgoda jest świętą rzeczą, zawo-
łał radzca — byłeś niesprawiedliwym względem nas...

— Nie mówmy o przeszłości — podchwycił Wol-
ski, to już do niczego nie prowadzi. Co się stało, od-
stać się nie może; stało się wiele złego, a gdybyśmy
mieli pozostać, jak jesteśmy, sprowadziłoby to go jeszcze
więcej.

— Niezmiernie słusznie... Ganz recht! rzekł
radzca przybliżając się. Wolski mówił dalej wśród
powszechniej ciszy:

— Z nieokreślonego i fałszywego położenia wyjść
należy — żyć z sobą nie możemy...

— Dla czego? dla czego? ofuknął radzca — nie
widzę racji.

— Ja i Helma zarówno to czujemy — odparł
Wolski — zgoda byłaby fałszem, miłość kłamstwem,
życie walką i sporem...

— Dla czego? powtórzył radzca.

— Naprzód dla dzieci samych — zawołał Wolski.
Zmieniło się dziś położenie moje, jestem niezależnym
i nie ścierpię, aby dzieci moje miały być niemieckimi
dziećmi!

Wymagałbym, aby się stały Polakami, jak ja
jestem...

Radzca odskoczył — oczy mu błysnęły.

— Pfui! zawołał, nierozum! szaleństwo. Jakto?

wałpan nie umiesz cenić tego dostojęstwa, tego szczęścia, jakie im daje imię, wychowanie i stósunki niemieckie?..

— Nic a nie! rzekł Wolski — brzydzę się świętokradzką apostazyą!

Apostazyi niezrozumiawszy radzca komercyjny, zamyslił się chwilę, nie mógł wpaść na trop tego wyrazu... i to go zmieszało...

— Waćpan niegodzien jesteś doprawdy, aby z nim o to wieść spór — pierwszy raz wtrąciła gniewnie żona — nie chcesz, aby dzieci były Niemcami, ja matka nie pozwolę, by Polakami były...

Radzca milczący jeszcze apostazyi nie mogąc strawić mrucał tylko.

— To są właśnie sprawy, które stanowczo uregulowane być powinny — odparł Wolski dosyć chłodno... Lischen jest u mnie i téj mi nikt w świecie odebrać nie może, wychowam ją na Polkę... co się tyczy Fryca i Emila... (obrócił się do radzcy) panu wiadomo, żem odziedziczył...

— A wiem, rzekł wzdychając Riebe.

— Pół miliona talarów...

— Piękna i poważna suma...

— Z której ani Fryc ani Emil grosza mieć nie będą, jeśli Niemcami mają zostać.

Radzca usta wydał dziwnie.

— Nie rozumiem — rzekł sucho...

— Pozwól mi pan, abym myśl moją mu wyjaśnił.

Riebe podsunął krzesło, Wolski skłonił się, lecz nie siadł.

— Rozwód dla nas obojga jest koniecznością — rzekł głosem spokojnym — pani to przyzna jak ja... Napróżnobyśmy uniknąć jój pragnęli... Nie chcę pani czynić dłużej nieszczęśliwą, ani sam cierpieć. Małżeństwa dwuplemienne kończą się zawsze apostazyą żony albo męża... Pani nie jesteś zdolną do takiej ofiary, ja się na nią wzdrygam.

Radzca ruszył ramionami. — Nie pozwolę, rzekł.

Wolski odwrócił się do niego. — Daj mi pan mówić.

— Synom nie dam nic albo im oddam wszy-

stko... z warunkiem, że ich odbiorę... że ich wychowam a raczej poprawię ich wychowanie, jak ze chcę... Trzykroć sto tysięcy talarów przeznaczam im aktem notaryalnym, ale mi ich oddacie. — Nie — to nic.

Nastąpiło głuche, długie milczenie. Radzca Riebe siedział z głową spuszczoną w dół jak przybity... Helma zrobiła kilka kroków w poprzek salonu i stanęła milcząca...

— Co się tyczy pańskiego majątku, panie radzco, ja się go dla synów nawet rzec jestem gotów.

Zdaje mi się — dodał Wolski — iż warunki moje są do przyjęcia — a przynajmniej ad deliberandum...

Wyraz ten radzca rozumiał i powtórzył cicho — Tak — ad deliferantum. (Według niego od Lieferung' musiał pochodzić.)

— Na podstawie tych warunków ze wzajemnem zadowoleniem nieszczęśliwą historią naszą, która trwa lat dziesięć przeszło, możemy spokojnie i zgodnie załatwić.

— Ad deliferantum! powtórzył radzca poważnie. Nie zgadzam się — ale... zobaczymy. Wolałbym układ bardzo prosty, powrót do obowiązków i wspólność majątkową. Złać kapitały w jedno, zostawić je w moich rękach...

Wolski mu nie dał dokończyć.

— Ja z moich warunków nie mam nic do odstąpienia.

To mówiąc skłonił się nisko, a że stał niedaleko drzwi, wyszedł pędkiem. Wszyscy zostali w miejscach nieporuszeni poglądając na siebie.

Riebe spojrzał na drzwi.

— Polnische Wirtschaft! mruknął... le-dwie dostał pieniędzy, już niemi rzuca... Szalona pałka!

Radzca żywo się przechodził po salonie — nie mówił nic i odgadnąć było trudno, co myślał. Stanął potem naprzeciw córki.

— Otóż to są skutki twojego postępowania. Co począć! miły Boże! co począć? Trzykroć sto tysięcy talarów! Hm...

Ale zje kaduka, żeby z nich Polaków porobił! Nigdy w świecie! Fryc ma dziesiąty rok i rozumie to dobrze, że kiedy go z tego cygaństwa polskiego wyciągnięto, wrócić doń byłoby ostatniem głupstwem... Będzie się rozbijał za idealną ojczyzną, kiedy ma gotową taką wspaniałą jak niemiecka i Bismarcka w dodatku, który ją jeszcze potężniejszą i większą uczyni!!

To człowiek głupi, on się w targu oszuka. Dać mu dzieci... one już Polakami nie będą... tam nie tylko niemiecka krew — ale niemiecka myśl w nich płynie.

Przerachował się pan Polak!

Dodał zacierając ręce. — Ja mu oddam chłopców — ja się o nich nie lękam...

Spojrzał na córkę — Helma stała na pozór obojętna...

— Wszak prawda? spytał — dać mu dzieci.

Matce lży się w oczach zakręciły... Padła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

Babka zamyślona wzdychała przypominając Lischen swoją, której od tak dawna nie widziała.

— Dzieci do niego z prawa należą — ani słowa — mówił chodząc radzca — temuby się nawet oprzeć trudno.

— Ale Lischen... Lischen? cicho szepnęła radczyni. Mąż odwróciwszy się ku niej, ruszył ramionami, ręce rozpostarł, nie mówiąc słowa.

W téj chwili chłopaki powracając ze szkoły, uchyliwszy drzwi salonu i zobaczywszy, że w nim nie ma nikogo, wpadły raźnie. Fryc nosił już rodzaj mundurku swój pensyi i kaszkiecik z jakąś opaską. Emil przebrał się był w wojskowe swe sukienki, które mu dziad na wigilią sprawił. Na głowie miał historyczną pikielhaubę ze szpicą na wierzchu, flintę w rękę i buty długie jak do kampanii. Zdawało się, jakby umyślnie się przebrał dla uspokojenia dziada, iż nigdy Prusakiem być nie przestanie. Riebe pocałował go w pi-

kielhaubę... Pobiegli oba do matki, która im otworzyła ramiona i łzy popłynęły na nowo.

W milczeniu rzecz w istocie wzięto do namysłu. Radzca poszedł po obiedzie do pastora na radę i w myśli oddziaływania jeszcze na Wolskiego z pomocą dra Cyliusza sądząc, że ten jako ekscelecencya pruska w sprawie narodowości niemieckiej przemówić zechce. Cylius ruszył ramionami, bo mu to było zupełnie obojętném.

— Idzie o to, rzekł, aby byli ludźmi wykształconymi, rozumnymi i uczciwymi — a czy będą Prusakami czy Chińczykami, przyznam się, że to mi wszystko jedno. Ojciec Polak ma niezaprzeczane prawo zrobić z nich synów a zatém Polaków, jeśli mu z tém dobrze. Ja się do tego mieszać nie będę.

W sprawie rozwodu pastor był tego zdania, iż lepiej się spokojnie rozejść niż powoli zjadać i Pana Boga obrażać niezgodą domową, którejby się dzieci od młodu przypatrywały.

Radzca już sam nie wiedział, co począć, a powtarzał nieustannie — Trzy kroć sto tysięcy talarów... nie do wyrzucenia...

Wszystko się więc zdawało skłaniać, jak Wolski życzył.

Dr. Arnheim, który przyszedł na drugie piętro, zastał Helmę z twarzą zarumienioną i w rozdrażnieniu nadzwyczajném. Podała mu rękę milcząca i spojrziała w oczy.

— Los szczęśliwy zbliża nas, dostojny przyjacielu — ufaj mi... Wolski chce rozwodu, ja go pragnę — ale mi zabiera dzieci.

Zdaje się, że doktor nic nie miał przeciwko temu, bo zmilczał i ramionami tylko ruszył.

— Wiesz dla czego? dorzuciła z gorzkim uśmiechem — oto, aby z nich uczynić Polaków.

Zdumiał się mędrzec. — Ha! ci Polacy, szepnął — to psychiczny fenomen, jakiego w dziejach nie ma. Wszystko święcą dla ojczyzny, której nie mają i mieć nie mogą. Sto kilkadziesiąt milionów ludzi ściska ich i opasuje grożąc, poddać się nie chcą, zrezygnować się nie umieją — umrzeć nie mogą. Nie jest-że to sza-

leństwo... najświetniejszą przyszłość poświęcać dla ślepoty, barbarzyństwa i nędzy?

Ruszył ramionami. — Ojciec nieprzyjaciół własnych dzieci... *Curiosum*, szepnął.

— Będę więc wolną — dodała Helma patrząc na przyjaciela, wolną dla ciebie — mój ojciec...

— Nie mówiliście z nim?

— Nie chcecie wy z nim mówić o tém? zagadnęła kobieta — rzecz byłaby zagajoną — ja przyjdę po was. Tak będzie lepiej.

Arnheim ręką tarł czoło długo, widocznie było mu to ciężkiem a odmówić nie chciał.

— Ojciec jest na dole u siebie — idźcie do niego, czekam was z powrotem... dodała.

— Jeszcze nie ma rozwodu! odważył się uczynić uwagę doktor.

— Gdy żądają go obie strony? dorzuciła Helma — idźcie i mówcie...

Rozkaz był tak stanowczy, iż profesor musiał być posłusznym — zszedł powoli ze schodów rozmyślając, jak się to wszystko skończyć może. Na dole oznajmiła go służąca p. Riebe i przyniosła odpowiedź — *Sehr angenehm!*

Profesor wszedł sztywniejszy niż kiedykolwiek z postawą urzędową.

Radzca go lubił dosyć i przyśłuchiwał mu się nie-raz z zadowoleniem, przywitał go grzecznie i znać odwiedziny przypisując prostej formalności, począł mówić o pogodzie, potem o czémś uczoném, w co się naj-fatalnięj zaplątał... Dr. Arnheim słuchał jakiś czas, w ostatku wstał i ukłoniwszy się zagaik, prosząc o ma-lenie posłuchanie w niezmiernie ważnym interesie.

Nie domyślając się jeszcze, Riebe wszakże zmienił oblicze — literat, który prosi o posłuchanie, jest dla kapitalisty rzeczą niebezpieczną... godzi na jego wo-rek, żądać może kaucyi, pożyczki — spółki do bibuty jakiegś... Dreszcz przeszedł po całym ciele radzcy komercyjnego, który sobie rzekł w duchu — Zje licha, jeśli u mnie złamany szeląg wyludzi. —

Z uśmiechem wszakże stanął naprzeciw profesora, który mu wyluszczył krótko, iż pozyskawszy serce i

szacunek pani baronowej a wiedząc, iż pierwsze jój małżeństwo jest zerwane, ośmiela się prosić ojca o poparcie go u córki i błogosławieństwo...

Radzca słuchał, jakby uszom nie wierzył, oczy otworzył szeroko, cofał się, cofał — kilka razy zawołał — Co, co? nareszcie śmiechem buchnął i odwrócił się...

Śmiech brzmiał jak trąba sądu ostatecznego w uszach zdumionego profesora. — Riebe odwrócił się nagle do niego pohamowawszy, wziął go za guzik i do brodusznie począł:

— Pan jesteś doktorem filozofii...

— I obojga praw — dodał Arnheim.

— Doskonale. I gdzieżeś pan się nauczył téj filozofii praktycznej, żeby ojciec raz córkę dawszy gołyszowi, posiwiawszy z jój przyczyny, z dobrej woli oddawał ją drugiemu takiemu samemu...

— Ale ja kocham Helmę! zawołał Arnheim —

— I dla tego chcesz jój pan dać do podziału los swój? Wiele pan masz dochodu? spytał gwałtownie — szczerze, otwarcie, wiele masz dochodu??

Zmieształ się Arnheim.

— Małżeństwo przecie nie jest spółką handlową.

— Przepraszam... ja je za nią uważam, odparł radzca.

Obżalowany stał przed nim milczący.

— Ja wiem, że pan tam bywałeś bardzo często i do bardzo późna. Ale to się mnie nie tyczyło, to była rzecz męża, żeby panu drzwi pokazał. I to wiem, że możecie bez mojego pozwolenia się pobrać, ale za to panu ręczę, że ja złamanego nie dam szeląga. Jeśli miłość jest tak żwawa, że się obędzie bez wszelkich przydatków...

Sklonił się i nie dokończył. Arnheim zmieszany nieco oddał mu ukłon i wyszedł. Stał chwilę namyślając się, czy udać się na górę lub czy opuścić dom ten na zawsze. Zwyciężył nałóg, poszedł do Helmy, która niespokojna czekała na niego.

Po twarzy poznała, jaką niósł odpowiedź, a zresztą domyslać się jój mogła po ojca usposobieniach.

Profesor cichym głosem zdał sprawę z poselstwa, łagodząc nieco otrzymaną odprawę.

— O! to nic, tegom się spodziewała, odezwała się Helma — ale lody są rozbite — ojciec wie o tém.

Pan mi mówiłeś, że jesteś dobrze położonym u ministra... że w pokrewieństwie dalekiem liczysz się jenerałowi...

— Tak jest — tak! zawołał profesor.

— Zechcą oni poprzeć pana i pomódz mu?

— Jestem tego prawie pewny.

— A ja pewną jestem i panu ręczę, że pośrednictwo wysoko położonych osób wszystko załatwić potrafi. Znam mojego ojca. — Idź i staraj się pan o to, niech przyjadą, niech nalegają... gdyby minister miał krzyżyk do ofiarowania za długie a wierne usługi ojca...

— Rozumiem — rzekł Arnheim całując ją w rękę z rozjaśnioną twarzą.

— Idź pan... idź...

To mówiąc, narzuciła na siebie chustkę i zbiegła na dół. Tu odgrywała się scena w sypialnym pokoju radczyni, którą aż w przedsieni słyhać było. Riebe wykrzykiwał:

— A! so! a! so!

Córka weszła z twarzą spokojną, nie strwożona. Jeszcze drzwi za sobą nie zamknęła, gdy ojciec przypadł samym widokiem jęj wzburzony.

Helma siadła w krześle, podparła się na rękę i słuchała nie odpowiadając wcale. Rozjątrzyło go to do tego stopnia, iż wreszcie począł wyzywać o tłumaczenie.

— Nie mam ani słowa do odpowiedzenia na to, co ojciec mówisz — odezwała się spokojnie, ze stanowiska ojca masz słuszość, ze stanowiska kobiety ja mam. A zatém nie mówmy o tém.

— Więc cóż? pójdziesz bez pozwolenia?

— Nie wiem — namysle się, odparła Helma — mogę na rozwód nie pozwolić, mogę dzieci nie oddać, — mogę pójść, mogę nie pójść — nie wiem.

Zimna krew córki do wściekłości prawie przywiodła skołatanego tyłą kłopotami radcę, który okrutnie drzwiami szarpnąwszy wyszedł.

Przyznajemy się, że dalszy przebieg sprawy tej szczególnie nam nie jest znanym. To pewna, że w kilka dni dwie karety, z których jedna ze strzelcem na koźle, zaszły przed kamienicę radzcy. Oznajmiono J. eksc. pana jenerała jazdy.

Riebe wybiegł na wschody.

Jenerał, którego zaledwie zdaleka widywał, zdumiewał go, ale widok ministra przeraził. W pierwszej chwili przyszło mu na myśl, że przyjeżdżają mu ofiarować tekę finansów... lub... głowa mu się zawracała....

Nadzwyczajnie grzeczni obaj dostojnicy weszli do salonu.... Riebe stracił przytomność, odsuwając stół dla uwolnienia kanapy o mało nie stłukł lampy,... biegnąc po cygara zagrożony był upadkiem... mówił prawie bez związku, tak go przejmowały te niespodziane odwiedziny.

Minister nadzwyczaj zręcznie ale nie bez cienia pewnej ironii począł mówić radzcy o jego zasługach na polu przemysłu i handlu — dał do zrozumienia, że usiłowaniom jego należała się nagroda.... Jenerał to potwierdził.

Jak potem przyszło *ad medias res*, dokładnych nie mamy wiadomości. — Odwiedziny trwały dobrą godzinę i głosy się razy kilka to podnosiły wysoko, to uciszały. Gdy radzca wyszedł odprowadzając swoich gości na wschody, był spocony, ocierał się chustką, wzdychał i zdawał się mocno przybity. Dopełnił jednak wszelkich należnych dla tak dostojnych gości form i ceremoniałów, poszedł z odkrytą głową aż do progu domu a wrócił jak po łaźni i zamknął się nie nikomu nie mówiąc w gabinecie.

Trawienie honoru, który go spotkał, trwało godzin parę; gdy wyszedł potem, blady był i zły.... Słomiankę, leżącą u progu krzywo, nogą podrzucił z gniewem, wszedł do pokoju żony i tu rzucił się na fotelik tak nie rozważnie, iż radzczyni krzyknęła, bo wszystkie sustawy starego sprzętu zapiszczały....

Nim miał czas się odezwać, Helma weszła. Spojrzał na nią z gniewem.

— Nasadziliście na mnie ekscellencye! ha no! do-

brze! zwycięziciel! trudno się rozkazowi z góry w formie prostej opierać... wszystkieby interesta sobie popsuł. Nie ma już o czém mówić! Będziemy żywili profesora — i drukowali książki.

— No! dodał, kto tych trutniów wpuszcza do domu, gdzie są baby... taki głupi jak ja...

Splunął.

— Dawać jeść! — zawołał.

Godzina obiadu biła i na tém się skończyło.

W jedném z małych miasteczek wielkopolskich — w cieniu starych drzew, na uboczu, gdzie się już ostatnia z ulic kończyła a pole poczynalo — dziwił wszystkich przejeżdżających świeżuteńko tu wzniesiony domek wytworny.

Wybrano mu tu posadę pewnie dla tych drzew i otaczających je krzewów, w których wiosną śpiewały słowiki — a wzniesiono szybko w miejscu zrzuconego starego dworku z takim smakiem i wdziękiem, że i stolicaby się téj willi nie powstydzila.

Widać było po niej, że właściciel musiał być bardzo zamożnym człowiekiem, gdy z taką miłością kosztowną kątek ten upiękniał i przyozdobił.

Mimowolnie z gościńca oczy wszystkich przejeżdżających biegły ku temu ustroniu, zazdroszcząc szczegółliwemu.

Na zielonym szerokim trawniku jak kobierzec wyciągniętym przed pałacykiem widać było czasami w białej sukience biegające dziewczątka i ogromnego psa czarnego, który zdawał się jego stróżem.

Pewnego letniego wieczora pocztowy powozik z szosy zwrócił się ku temu domowi i przystanął u murywaney bramy, która się jakby czarodziejskim rozkazem sama przed nim otwierała.

W ganku pod markizą pokazał się mężczyzna nie stary jeszcze, który w jednym ręku trzymając otwartą książkę, drugą z dala żywo witał przybywającego. — Obok niego bijąc w dłonie stała dziewczynka śliczna, złotowłosa, rumiana, ciesząc się także widocznie z miłego gościa.

W powieściach takich zawsze łatwo domyślić się wszystkiego, że ledwie autor śmie czytelnikom tłumaczyć, iż pod tą werandą stał pan Kajetan Wolski z Liską a na pocztowej bryczce przybył czcigodny garbus, Wojtuś, stary jego przyjaciel. Gdy powozik stanął a gość wyskoczył jakoś rażno, udając młodego, a potem schylił się naprzód dla powitania dziecka, które ku niemu napaśtliwie wyciągało rączki, i podniósł wreszcie oczy ku gospodarzowi, — Kajetan śmiejąc się zawołał:

— Jakże mi ty zawsze świeżo, młodo i ładnie wyglądasz! — jak elegancko! jak gdybyś w konkuryjechał albo od bohdanki powracał?

Wojtuś się rozśmiał wprowadzie, ale spojrzał dziwnie badawczo na Wolskiego i — ramionami tylko poruszył. Nie można było poznać, czy zaprzeczał hipotezie, czy się dziwił, że tak trafną była.

Weszli do pokojów z wielką prostotą i smakiem ale wygodnie urządzonych. Liska już udawała niby gospodynią i pytała czém przyjmować.

— A gdzie chłopcy? zapytał garbus.

— Odjechali już z nauczycielem do szkół, rzekł Wolski. — Nie mają czasu do stracenia. Łamiemy się z językiem. Fryc najgorzej wymawia i trudno go nakłonić, aby zadał sobie pracę przeczwycięzania trudności. Emil, choć się myli, mówi już nie źle po polsku a czyta jeszcze lepiej. Muszę z niemi spieszyć, aby stracony czas nagrodzić, bo potem przyjdzie ogólne wykształcenie a tego trudno gdzieindziej szukać jak w uniwersytetach niemieckich, choć w nich eliksir żywota pomieszany jest z trucizną.

Wolski westchnął.

Liska przyszła i sparta mu się na kolanach, kłietując garbusa.

— No — a ty? zwracając się do niej odezwał się doktor — po jakiemu mówisz?

— Ja... ja?... mówię... jak tatuś... po polsku... szybko zawołała śmiejąc się dziecina i pokazała zębki białe.

Starzy towarzysze zaczęli po cichu rozmawiać z sobą. Wojtuś czegoś częściej niż kiedykolwiek wzdychał, chwycił się za podłysiałą czuprynę i chodził za-

myślony. Wolski, który go doskonale znał, z daleka mu się przypatrując widział w nim jakąś zmianę, której sobie sam wytłumaczyć nie umiał a dopytywać się o przyczynę jej wahał.

Pod balkonem wychodzącym na drugą stronę domu ku ogrodowi ze starymi drzewami podano herbatę, Liska poszła z przyjacielem swym psem i nianką zabawiać się do ogrodu, Wolski pozostał z garbusem, zapaliwszy cygara; po chwili widząc go zamysłonym i ciągle jeszcze nie swoim, gospodarz odważył się — biorąc go za rękę — odezwać się z cicha:

— Ale zwierzę mi się ty, co ci jest?

Widzę, że coś masz na sercu.

Garbus spojrział, ramionami ruszył, nie odpowiedział nic.

— Co mi jest? co mi jest? odezwał się po bardzo długim namyśle — oto... w drodze dumiałem nad sobą i nad nami i wydumałem, żeśmy wszyscy słabi, niepoprawni, że z nas bodaj nic nie będzie i że nas Niemcy zjedzą!

— Cóż to znowu? zkąd takie rozpacz?

— Dosyć jest kilka mil krajem naszym przejechać... uwag się naciska bez liku...

Westchnął i zamilkł...

Zmierzchać zaczynało, rozmowa przerywana jak nie szła tak nie szła. Wolski zabiegał z różnych stron, nic się dobadać nie mógł.

Wojtuś był czémś przejęty, poruszony, a że nie miał tać się zwyczaj, zwracało to uwagę Wolskiego tém mocniej, iż rzecz zdawała się być większej wagi i natury delikatnej.

Postanowił nie nalegać a dać mu się — jak mówił — wysapać.

Przy wieczerzy i po kilku wina kieliszkach garbus się ożywił, ale pluł jakiemiś pesymizmami bez końca.

Ile razy Kajetan nań spojrział, jakby pochwycony na uczynku czerwienił się, pił i milczał... Mówiąc tak o wszystkiém i o niczém dosiedzieli do późniejszego nocy. Księżyc z po za starych lip ukazał się ze swą tarczą, srebrzystą jak ciekawy szpieg badający nocy

tajemnice. Tęsknota téj godziny duchów obwiała ich z wieczorném powietrzem. Sparty na ręku Wolski patrzył na ogród, Wojtuś także... Po długim milczeniu zerwał się nagle...

— Co ze mnie za dziecko — zawołał — przyjechałem do ciebie z wyznaniem a nie śmieję go przepuścić usta moje... Noszę się z niem jak z kamieniem za nadrą — trzeba je raz wyrzucić.

Chciałem ci oznajmić, że po długiej walce i oporze nakoniec — gdy czas było mieć rozum — robię uroczyście głupstwo...

— A! zlituj się! cóż takiego? zawołał ręce łamiąc Wolski.

— Odgadniesz łatwo. Nie ożeniłem się będąc młodym... ale dobrałem porę, gdy reumatyzm się czuć daje po kościach — gdy wyłysiał, gdym stetryczał, gdym się popsuł jak przcleżały owoc — chcę uszczęśliwić kobietę — moją garbatą i połamaną figurą...

Tupnął nogą o posadzkę.

— Na to, z pozwoleniem, trzeba być takim jak ja osłem! dokończył siadając.

— Hola! hola! przyznam ci się, że nie rozumiem — przerwał gospodarz. — Jeżeli przekonany jesteś, że to głupstwo, nie powinieneś go robić.

— Nie — już muszę, sam się przekonasz... to w moim przeznaczeniu; im dłużej będę czekał, tém solenniejsze popełnię... Nie! nie! już się ożenię... Przekonałem się, że to inaczej nie może być. — Jestem człowiekiem i samotność mi ciąży... jeżeli nie ożenię się teraz, grozi mi jutro coś okropnego... muszę się ratować... Myśmy wszyscy stworzeni do mieszkania pod pantoflem — A n a n k e!

— Radbym wiedział, co cię do tych wniosków doprowadziło — rzekł Wolski — spowiadajże się porządnie.

— A no muszę... ciąży mi to... — mówił garbus — chciaż i wyznanie a mea culpa łatwą nie będzie.

— Czekam więc... słucham...

— Zbieram materyały nie wiedząc, z którego zacząć końca — mówił Wojtuś.

— Ale ożenienie? czyż to już postanowione?

— Nieodwołalnie na nieszczęście. — Stało się — dałem słowo! — westchnął garbus.

— Stare twoje kawalerstwo może ci tak groźną przyszłość przedstawia. Weźmiemy ją pod mikroskop, pod skalpel i może się co innego pokaże.

— Daj Boże, ale wątpię — rzekł garbaty siadając i zapalając cygaro nowe. Przypomnijno sobie, ileśmy to razy rozprawiali o małżeństwie i jakie ja w zastosowaniu do siebie rozumne wygłaszałem teorye — jakim byłem filozofem.... Wszystko to nie obroniło mnie — od pantofla....

Westchnął garbus.

— Przybywszy do Poznania, jak wiesz, zacząłem bywać często w domu państwa P.... Starsza córka zachwyciła mnie, ale miałem tyle rozumu, żeś sobie wytłumaczył, jakiemby było szaleństwem rozumną i piękną a młodą panią skazywać na garbatego męża. — Czując, że ja dla niej nie mogłem być niebezpiecznym, a broniąc się od tego, aby ona dla mnie nie była pokusą — ograniczyłem się na czulej przyjaźni i bywałem w tym domu.... Panna była dla mnie bardzo miłą, ja czasem zapalonym, częściej chłodnym i trzymającym się na wodzy. Myślałem ciągle — pójdzie za mąż i wszystko się to skończy. Tymczasem zamiast kończyć się miłość się tak na dobre poczęła, żeś uciekł — cały rok jej nie widziałem.... Było to według mojej teoryi najlepsze lekarstwo, oprócz tego chciałem spróbować metody derywacyjnej.

Siedziałem właśnie w Berlinie, będąc jednym z tych nieszczęśliwych deputowanych na sejm, którzy muszą jeździć tam, aby kupeczyki i burmistrze narodowo-liberalni, cała ta gawiedź, embryon klasy średniej niedokształconej a zarozumiałej, miała sobie z kogo drwić i naśmiewać się, a taki genialny Braun z Wiesbaden pisać artykuły solone... glauberską solą.

Od czasu, jak mi ciebie tam zabrakło, nudziłem się okrutnie.

Przez niemieckich mych towarzyszków, z którymi

pewnych stósunków niepodobna było uniknąć — wprowadzony zostałem do domu, opisywanego mi jako ciekawe kółko, w którym się przyzwoite towarzystwo zbierało... na wieczory — polityczne — parlamentarne — ekonomiczne — artystyczno literackie.

Nawet stary Cylius bywał tam także... Gospodynią domu była niebieska pończocha ale jedwabna, baronowa von Weisstein... urodzona von Gruben... i t. d.

Zapowiedziano mi w niej znakomitość, dowcip, naukę, talenta...

Dałem się wciągnąć. — Dom znalazłem bardzo przyzwoity, urządzone skromnie ale dostatnio, towarzystwo w nim — acz niemieckie i kosmopolityczne, ale ludzkie... Co najdziwniejsza, przesądów przeciwko nam nie było... Sama pani, wdowa, bezdzietna, lat trzydziestu kilku, bardzo jeszcze ładna, podobała mi się z naturalności, niewieściego wdzięku i rozumu... Najmniejszej w niej zalotności nie znalazłem ani cienia, ale uprzejmość największą.

Zajęła mnie mocno — przyznaję się do grzechu — chcąc czémś zapłacić za mój garb, który nie miłe czyni wrażenie — starałem się być śmiałym, dowcipnym, paradoksalnym — jednym słowem, puszczałem fajerwerki... popisywałem się sobą. Pan Bóg mnie za tę próżność ukarał...

Wśród tych zimnych jak ryby Niemców — ja jeden bawiłem panią Weisstein — skutecznie. Prosiła mnie mocno, bym u niej jak najczęściej bywał... Zacząłem włóczyć się wieczorami, czasami zastając po osób kilkanaście, czasem po kilka, a czasem, co mi się bardzo podobało — nikogo.

Wówczas zagadywaliśmy się o bieżących kwestiach żywotnych do północy... a ja wychodziłem ozmarzony, zachwycony, ale nałożyłem munsztuk na serce i kochać się nie pozwalałem. Wara! Garb stał mi w oczach...

Wyjechałem napowrót do domu i miła pani Weisstein znikła mi z oczów, ale poszedłem do państwa P... i znalazłem Tolę, która mnie powitała rumieńcem...

Była zawsze śliczna i — za męża nie poszła... Siostry jej wybierały się jedna po drugiej, ta — siedziała... Od Toli broniłem się moją przyjaciółką Niemką, a od Niemki postanowiłem się bronić Tolą... Tym sposobem, zdawało mi się, że wyjdę cało...

Pani Weisstein napisała raz do mnie, odpowiedziałem żartobliwie.

Powróciwszy do Berlina drugiego dnia zaraz poszedłem do niej. — Ujęła mnie mocno przyjęciem serdeczném, rozjaśnioną twarzą i dowodem przyjaźni. Nawet mi się jeszcze piękniejszą teraz wydała...

Nazajutrz sam wzięwszy się za puls postrzegłem, że grozi niebezpieczeństwo... Niemka zajechała głębokoko...

Przez trzy dni nie poszedłem do niej ze strachu, czwartego odebrałem przynaglenie. Musiałem być posłusznym. Przybywszy zastałem ją samą i smutną. Czytała książkę jakąś, była to nowela Heysego, rzuciła ją i przyszła z wymówkami do mnie.

— A! niewdzięczny pan jesteś! jak można było o mnie zapomnieć.

Byłem w jakimś humorze osobliwym.

— Wie pani co — zawołałem siadając przy niej — nie gniewaj się pani na mnie, jeśli powiem co nieprzyzwoitego.

— Wy? nieprzyzwoitego? spytała zdumiona.

— Nie mogę u was bywać, pani baronowo...

— Dla czego?

— Czuję, że mógłbym się zakochać... w moim wieku i z moim garbem. Byłaby to miłość śmieszna a męcząca. Baronowa się zapłoniła.

— Ale, cóż to pleciesz, doktorze — odezwała się zmięszana, chyba nie myślisz o tém, co mówisz... Prawisz mi komplementa... jam za stara na te cukierki...

— Słowo daję, prawda szczerą...

— Seryo?

— Seryo, wolę się wycofać w porę.

— Ale ja nie przyjmuję téj wymówki i nakazuję panu, abyś bywał regularnie — zobaczymy...

Wieczór spędziłem jak najuprzejmiej, ale czułem, że diabeł, który nigdy, jak wiadomo, nie śpi, opętywał mnie coraz mocniej. Około dziesiątej, gdy rozmowa była jak najożywiejsza, wsuwa się figura mi nieznana, na której widok baronowa zarumieniła się jak wiśnia, ogromny mężczyzna barczysty, w surducie wojskowym, ze wstążkami, bardzo przystojny... Był to generał von... no, przypuśćmy, von der Teufel... Generał spojrzał koso na mnie, ja na niego, gospodyni nie rychło przysłała do równowagi z sobą i z nami. Odwiedziny były niespodziane dla wszystkich. Wyniosłem się wkrótce markotny... Znać nie uszło to uwagi pani, bo mnie nazajutrz bilecikiem zaprosiła do siebie, a że caro infirma, poszedłem, aby się dowiedzieć, że pan generał jest kuzynem jej i człowiekiem żonatym itd. itd. To mnie zupełnie uspokoiło... Jednakże sama wzrastająca sympatya ku baronowej, znajdująca zbyt dla garbatego łatwy oddźwięk w jej duszy, dawała do myślenia. Rachowałem się z sumieniem... Niebezpieczeństwo było wielkie... Uciekłem na wieś... Tu moja dawna miłość świeższą mi wybiła z głowy. Panna nie szła mąż — i — jak cię z duszy kocham, przyjęła mnie ze łzami w oczach...

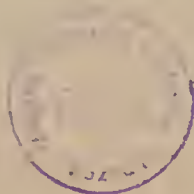
Wybierając z dwojga złego mniejsze... kochany Kaju — oświadczyłem się, kocham się jak kot i gryzę się losem nieszczęśliwej kobiety, która ma być moją żoną... ale gdybym jeszcze był raz do Berlina z wakującą ręką i sercem pojechał... kto wie, coby mnie tam czekało? Przestałem sobie wierzyć! Serce polskie zdobywa się na sofizmata niesłychane, gdyż *horret vacuum*. A nuż byłbym się... z Niemką ożenił. Drzę na myśl samą... zwłaszcza od czasu, jak się dowiedziałem, że generał jest istotnie kuzynem i rzeczywiście żonatym, ale nie mniej pani baronowej jawnym adoratorem od lat sześciu. Całe miasto wie o tém....

Patrzajże, do czego przyszedłem z mojami teoryami, mądrością, charakterem i uporem... patrz i listuj się.

— Ale ja się cieszę i winszuję ci z duszy, zawo-
łał Woleki ściskając go.

— Ja czuję się upokorzony — dodał garbus —
jesteśmy więc wszysej przeznaczeni — pod pantofel.
A n a n k e ! !

K O N I E C.



Biblioteka Raczyńskich

JK 263



JK0263